



**Zygmunt
Zeydler-Zborowski**

**SUKCES
DOKTORA
GORDONA**

WIELKI SEN 2011

Redaktor serii

Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii

Rafał BARTLET

Redakcja techniczna

Anna LEWANDOWSKA

Korekta

Zbigniew KOWALEWSKI

© Bimali HORSKA

ISBN 978-83-62391-00-4

Wydawnictwo WIELKI SEN

Al. Jana Pawła II 65/90,

01-038 Warszawa

tel. 0-502-322-705

www.klubmord.com,

prezesik13@wp.pl

ROZDZIAŁ I

- Uważaj, Fred, Zaza jest dzisiaj nie w humorze.

Marvan zaśmiał się krótko i strzelił z bata. Widział doskonale, że z jego pupilką dzieje się coś niezwykłego, ale nie miał zamiaru przerywać rozpoczętej pracy.

- Come on, Zaza! Come on! - zawołał wznosząc bat.

Lwica przywarła brzuchem do piasku areny i bijąc wściekle ogonem patrzyła nieruchomo na swego prześladowcę. Grube wargi, drgające nerwowo, odślaniały białe, groźne kły.

- Uważaj, Fred, uważaj. Daj jej lepiej spokój - doradzał przekornie stary Mathews, drepcząc niespokojnie koło krat.

Marvan zaklął pod nosem. Wiedział, że przyjaciel ma rację, ale ambicja nie pozwoliła mu ustąpić.

- Come on, Zaza! - powtórzył ze złością. - Come on! - Zwierzę nie ruszyło się z miejsca. Pogromca utkwiał rozkazujące spojrzenie w zmrużonych ślepiach i ująwszy mocniej lewą ręką krzesło postąpił krok naprzód. Gruby, ciężki bykowiec smagnął błyskawicznie płowe cielsko. Mathews krzyknął przeraźliwie. Trzeba było tak szybkiego człowieka jak Fred Marvan, żeby uniknąć morderczego skoku.

Krzesło rozleciało się w drzazgi. Stary Dan momentalnie otworzył drzwi i wypuścił z klatki przyjaciela. Lwica z głuchym rykiem rzuciła się na kraty. Marvan zbladł, w oczach miał pasję.

- Do wszystkich diabłów - warknął przez zaciśnięte zęby. - Co to znaczy? - Nie był przyzwyczajony do takich występów Zazy. Lwica była zazwyczaj spokojna i bardzo posłuszna. Śmiano się nawet, że jest zakochana w swym opiekunie.

- Daj już dzisiaj spokój - mruknął Mathews.

Marvan cisnął bat na ziemię.

- Kto rozdrażnił Zazę? - krzyknął.

Stary wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie było mnie z rana w cyrku. Przyszedłem przed

pół godziną.

- I nie wiesz kto dziś karmił lwicę?
- Nie mam pojęcia, ale chyba jak zwykle Patrick.
- Idź sprowadź Patricka! - rozkazał ostro pogromca.
- Co tu się dzieje? - zabrzmiał niespodziewanie basowy głos.
- A to pan, Borelli! - zawołał, odwracając się Marvan. -

Dobrze, że pan przyszedł. Niech się szanowny dyrektor dowie, że w tej budzie nie można wcale pracować.

- Spokojnie, mister Marvan, spokojnie, O co właściwie chodzi?
- spytał Włoch, ćmiąc wielkie cygaro.

- Chodzi o to, że ktoś mi drażni zwierzęta!
- Bajki. Któż tu może drażnić zwierzęta?

Właśnie chciałbym wiedzieć, kto tym się zajmuje - mruknął pogromca. - Przed chwilą Zaza o mały włos nie rozszarpała mnie na kawałki.

- Zaza? - zdumiał się Borelli. -Tak.
- Niestychane! Jak to się stało?
- Zwyczajnie. Wziąłem ją, jak co rano, na trening. Była rozdrażniona i rzuciła się na mnie. Spójrzysz pan na nią.

Włoch zwrócił głowę ku klatce. Lwica kręciła się niespokojnie i bijąc nerwowo ogonem, warczała groźnie. Widać było, że zwierzę jest niezwykle podniecone. W tej chwili zbliżył się Mathews, prowadząc młodego szczupłego chłopaka ubranego w czerwoną flanelową koszulę i szerokie poplamione spodnie.

- Ty karmiłeś dziś Zazę? - spytał groźnie Marvan.
- Ja - skinął głową Patrick.
- I nie zauważyłeś nic szczególnego?

Chłopak potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nic. A o co chodzi?
- Lwica jest rozdrażniona. Chciałbym wiedzieć dlaczego - warknął pogromca.
- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Patrick. - Była zupełnie spokojna, gdy ją karmiłem.
- Jesteś tego pewny?

- Najzupełniej.
- Nie zauważyłeś, kto się później zbliżał do klatki? - spytał

Mathews.

- Nie, dużo ludzi kręciło się po terenie.
- Co będzie z dzisiejszym przedstawieniem? - rzucił nagle

Borelli, zwracając się do Marvana.

Pogromca zapalił papierosa.

- A co ma być? - mruknął niechętnie.
- Wystąpisz?
- Oczywiście.
- Z Zazą?
- Tak. Dam sobie z nią radę do wieczora.
- To dobrze.

Włoch odwrócił się i odszedł z wolna, pogwizdując jakąś melodię. Marvan podniósł bat i patrzył zamyślony przed siebie. Na jego śniadej twarzy malował się niepokój. Po chwili wziął Patricka pod ramię i poprowadził go w kierunku klatek ze zwierzętami.

- Słuchaj chłopcze - powiedział łagodnie - bardzo mi na tym zależy, żebyś sobie przypomniał, kto dziś z rana kręcił się koło klatki z Zazą.

Patrick zastanowił się.

- Nie zwracałem na to zbyt uwagi - odparł z namysłem. - Wydaje mi się, że przechodził koło lwicy Mathews, dyrektor, panna Bianka, Somerss i...

- I Somerss także? - podchwycił Marvan zżywieniem.
- Tak mi się zdaje.
- Czy dziś karmiłeś już „Kapitana”? - spytał nagle pogromca, zatrzymując się przed klatką z ogromnym gorylem.

- Oczywiście. „Kapitan” dostaje jedzenie pierwszy.

Potworna małpa na widok swego pana podniosła się na całą wysokość i z głuchym pomrukiem potrząsnęła potężnie kratami.

- Hallo, Captain! - zawołał przyjacielsko Marvan.

Goryl wyszczerzył zęby w jakimś ponurym uśmiechu.

- Podziwiam pana - mruknął Patrick.

- Dlaczego?
- Że pan się nie boi tej bestii. Za nic na świecie nie wszedłbym do jego klatki. To musi być przerażające.

Marvan uśmiechnął się.

- „Kapitan” nie jest wcale taki groźny. Trzeba tylko umieć z nim postępować - powiedział nie odwracając głowy. - Każde zwierzę można po pewnym czasie opanować. Trzeba tylko mieć cierpliwość.

- A jednak goryl nie pozwala nikomu innemu zbliżyć się do siebie. Tylko panu jest posłuszny we wszystkim - zauważył chłopak.

- Widocznie wyczuwa we mnie bratnią duszę - zaśmiał się pogromca.

- Chciałbym zostać pańskim pomocnikiem - szepnął Patrick.

- Kto tam się kręci koło lwów! - zawołał nagle Marvan i w kilku skokach znalazł się przy klatkach.

Szczupły mężczyzna o muskularnych ramionach i bladej wyuzdanej twarzy spojrział niechętnie na pogromcę.

- Czego tu szukasz, Somerss? - warknął groźnie Marvan.

- Przyszedłem na randkę z Zazą - zaśmiał się akrobata.

- Słyszałeś, że nie wolno zbliżać się nikomu do lwów.

- Ty mi nie zabronisz!

Pogromca pobladł z gniewu.

- Słuchaj no, Somerss - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Słuchaj no. Nie prowokuj ze mną awantury, bo...

- Bo co?

Marvan błyskawicznie podniósł bat i z rozmachem trzasnął w bladą, bezczelną twarz. Akrobata zatoczył się i upadł na piasek, poderwał się jednak natychmiast i jak rozwścieczona pantera skoczył przeciwnikowi do gardła. W tej chwili kilku ludzi rozdzieliło walczących.

- Co ty wyprawiasz, Fred! Oszalałeś? Co ty wyprawiasz! - krzyczał stary Mathews, trzymając w pól przyjaciela.

Pogromca szarpnął się z wściekłością.

- Puszczaj! Rozgniotę tę gadzinę! Puszczaj!

- Uspokój się, chłopcze. Uspokój się - łagodził Mathews. - O

co ci właściwie poszło? Co się stało?

Marvan obciągnął na sobie bluzę i poprawił włosy.

- Ja jeszcze nauczę tę kanalię rozumu mruczał wzburzony. - Ja go...

- Halo, Fred! - Wysoka, piękna dziewczyna zbliżyła się do nich niepostrzeżenie.

- A, Bianka. Dobrze, że przysłaś - ucieszył się Mathews. - Może uda ci się trochę uspokoić tego awanturnika.

Dziewczyna ujęła łagodnie Marvana pod rękę.

- Co się stało, Fred? - spytała troskliwie. - Jesteś strasznie zdenerwowany. Chodź, przejdziemy się trochę.

Pogromca posłusznie pozwolił się prowadzić. Gdy odeszli od klatek, Bianka podniosła na Marvana swoje duże, niebieskie oczy.

- Muszę z tobą pomówić, Fred - powiedziała cicho. - Czy mógłbyś wyjść teraz ze mną do miasta?

- Dobrze - zgodził się Marvan. - Zjemy gdzieś razem śniadanie. Jestem głodny. Poczekaj na mnie chwilę, zaraz się ubiorę.

Dziewczyna usiadła na jakiejś skrzyni i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Czowała się dziś bardzo samotna i opuszczona. Ostatnia rozmowa z ojcem podziałała na nią przygnębiająco. Bała się go. Z niepokojem myślała o przyszłości. Żyła nadzieją, że Fred potrafi ją ochronić, ale czy rzeczywiście chłopak ten zdoła oprzeć się woli Borellego, czy naprawdę tak ją kocha, że zdecyduje się narazić swą karierę.

- Jestem gotów - zabrzmiał niespodziewanie głos pogromcy. - Chodźmy!

Bianka podniosła się z wolna i po chwili wyszli z cyrku, zagłębiając się w hałaśliwą, rozkrzyczaną ulicę.

- Co to była za awantura? - spytała dziewczyna.

Marvan niechętnie machnął ręką.

- Oh, głupstwo. Nie warto o tym mówić.

- Słyszałam, że pokłóciłeś się z Somerssem.

- Tak.

- Uważaj, Fred. Somerss to niebezpieczny człowiek. Będzie się

mścił.

- Nie boję się tego opryszka - mruknął Marvan. Był teraz zły na siebie, że wdał się w całą tę głupią awanturę z akrobatą.

Weszli do niedużej, prawie pustej restauracji i usiadłszy w głębi sali zamówili lunch. Atmosfera beznadziejnej nudy, napełniająca cały lokal, działała raczej kojąco... Marvan rozsiadł się wygodnie i zapalił papierosa.

- Czy stało się coś złego? - spytał, spoglądając badawczo na Biankę.

- Miałam dziś decydującą rozmowę z ojcem - szepnęła dziewczyna.

- I co?

- Postanowił zmusić mnie za wszelką cenę do małżeństwa z Hollayem.

- A ty?

- Powiedziałam, że prędeż się zabiję.

Marvan ujął delikatnie jej rękę.

- Nie przejmuj się tak bardzo kochanie - powiedział miękko. - Przecież nikt cię nie może zmusić do tego małżeństwa. Wiesz zresztą, że cię kocham i że nie dopuszczę do tego, żeby cię skrzywdzono.

- Nie znasz mego ojca! - zawołała żywo dziewczyna. - Jeśli on coś postanowi, to...

- Ależ, bądźże rozsądna - uśmiechnął się pogromca. - Nie żyjemy przecież w czasach średniowiecznych, kiedy to rodzice decydowali o losie swych dzieci. Powtarzam ci: nikt cię nie może zmusić do niczego i niepotrzebnie poddajesz się czarnym myślom. Zobaczysz, że wszystko ułoży się pomyślnie.

- Boję się, bardzo się boję - szepnęła Bianka. - Czuję, że jakies przeznaczenie zawisło nade mną. Boję się o ciebie, Fred. Boję się o nasze szczęście.

- Darling, nie bądź smutna. Już niedługo będziemy mogli się pobrać. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

- Kocham cię bardzo. Jesteś dla mnie dobry. Nigdy jeszcze nikt nie był tak dobry, jak ty. Uważaj na siebie, kochany. Nie narażaj się Somerssowi. Tak bardzo boję się o ciebie. Uważaj! Już i tak Winkler jest twoim śmiertelnym wrogiem.

Marvan zmarszczył brwi.

- Jeśli ten błazen nie przestanie zalecać się do ciebie, połamie mu wszystkie kości - warknął.

Kelner podał zamówione potrawy. Pogromca umilkł i zabrał się do jedzenia. Ten zdrowy, pełen żywotnych sił chłopak nigdy nie tracił dobrego apetytu. Bianka jadła niechętnie. Zdenerwowanie ścisnęło jej gardło. Nie podzielała optymistycznego nastroju narzeczonego. Od wielu dni żyła w trwodze przed despotyczną wolą ojca, prześladowana jednocześnie miłością Somerssa i Winklera. Zbyt często w ostatnich czasach nerwy poczynały odmawiać jej posłuszeństwa. Beztronski humor Freda nie uspokajał jej bynajmniej. Bała się o niego, drżała na myśl, że Marvan swym postępowaniem, szczerym i bezpośrednim, ściągnie na siebie zemstę któregoś z tych bezwzględnych ludzi.

- Słuchaj, Fred - powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

- Słucham. - Pogromca otarł usta serwetką i spojrzał pytająco na dziewczynę.

- Czy nie chciałbyś wyjechać ze mną i wydostać się z tej całej atmosfery, która mnie zabija?

Marvan posępniał.

- Myślałem już o tym - szepnął z wolna. - Myślałem o tym. Ale widzisz, muszę jeszcze odłożyć trochę pieniędzy. Tak dobrej posady nie dostanę prędko. Muszę wykorzystać tę szansę. Zdobę pieniądze i wtedy zabiorę cię stąd. Pojedziemy w szeroki świat. Będziemy szczęśliwi. Ufaj mi, najmilsza. Musisz być jeszcze trochę cierpliwa. Proszę cię tylko, nie rób takiej tragicznej miny i uśmiechnij się. Życie jest piękne. Nie warto się zamartwiać...

Bianka spojrzała na niego z niepokojem

- Będę cierpliwa - powiedziała cicho. - Chodźmy już stąd. Za pół godziny mam próbę.

Marvan zapłacił rachunek i wyszli. Wchłonął ich gwarny tłum. Nieśmiałe słońce wczesnej wiosny złoćło się łagodnym blaskiem na murach domów. Wiatr dmuchał łagodnie w twarze spieszących ludzi.

- Spójrz, jak przyjemnie na świecie! - zawołał Marvan. - Czyż warto zatruwać sobie życie „straszliwymi” przecuciami?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Może rzeczywiście bierze wszystko zbyt tragicznie, może Fred ma rację, że nie trzeba się tak wszystkim przejmować.

- Postaram się nie psuć ci humoru - rzuciła pośpiesznie, wskakując do autobusu. - Pa, darling. Zobaczymy się wieczorem.

Zostawszy sam, Marvan ruszył z wolna przed siebie. Rozmowa z Bianką dała mu dużo do myślenia. Kochał tę dziewczynę i pragnął jej szczęścia, ale zdawał sobie jasno sprawę z trudności, jakie się przed nimi piętrzyły. Borelli był człowiekiem bezwzględny i uparty. Pod żadnym pozorem nie zgodzi się na małżeństwo córki z ubogim pogromcą i zrobi wszystko, aby nie dopuścić do tego związku. Marvan, wychowany w kulcie siły fizycznej, czuł pewien respekt przed ogromnym Włochem nie tylko jako przed swym zwierzchnikiem i dyrektorem, lecz również przed potężnymi bicepsami byłego zapaśnika i championa areny. Wiedział, że poślubienie Bianki wbrew woli jej ojca nie będzie rzeczą tak prostą, jak to starał się przedstawić dziewczynie, był pewien, że walka będzie ciężka i nieubłagana. Z rywalami nie liczył się wcale. Ani Somerss, ani Winkler, ani tym bardziej tłusty Hollay nie należeli do ludzi, których by się on, Fred Marvan, musiał obawiać. Co najwyżej należało uważać, aby gdzieś zza rogu nie dostać nożem w plecy.

To wszystko. Niewątpliwie któryś z nich rozdraźnił dzisiaj Zazę, ale to się już więcej nie powtórzy. Somerss dostał już dobrą nauczkę i nieprędko zdecyduje się podejść do klatek ze zwierzętami.

Pogrążony w swych myślach Marvan ani się spostrzegł, jak znalazł się przed hotelem, w którym mieszkał. Postanowił wstąpić i trochę odpocząć. Energicznie pchnął drzwi obrotowe i znalazł się w mrocznym hallu.

- Ktoś czeka na pana w numerze, mister Marvan - powiedział

uprzejmie portier.

- Na mnie? - zdziwił się pogromca. - Któż to może być?
- Nie wiem. Jakaś dama.
- Dama?
- Yes, sir.

Marvan zaintrygowany wszedł do windy i pojechał na czwarte piętro. Tysiące domysłów błyskawicznie przebiegło mu przez głowę. Otworzył drzwi i stanął jak wryty.

- Rita!
- Hallo, Fred - smukła, ciemna dziewczyna podniosła się z fotela. Dwoje czarnych lśniących oczu spoczęło na twarzy pogromcy.
- Czego tu chcesz?
- Przede wszystkim poczęstuj mnie papierosem.

Marvan niezbyt uprzejmym ruchem podał papierośnicę. Dziewczyna ufała, że tego nie widzi.

- O, nie jesteś zbyt zadowolony z mych odwiedzin - powiedziała, zaciągając się dymem.
- Czego chcesz? - powtórzył.
- Przyszłam do ciebie z pewną propozycją.
- Dziękuję, nie skorzystam.
- Tym razem nie chodzi o miłość - uśmiechnęła się Rita.
- Więc o co? Nie po to chyba przychodzisz do mnie, żeby drażnić swego narzeczonego. A jeśli tak, to znajdź sobie do tych celów kogo innego.
- Boisz się Winklera, mój bohaterze?

Marvan spąsował.

- Nie boję się nikogo - warknął - ale...
- Ale co...?
- Ale nie życzę sobie głupich awantur przez ciebie.
- Nie ma obawy - zaśmiała się dziewczyna. - Winkler tak jest zakochany w twojej Biance, że nie zwraca na mnie żadnej uwagi. Radzę ci też lepiej pilnować swojej dziewczynki, bo...
- Milcz! - krzyknął Marvan. - Ani słowa więcej!

Rita strzepnęła popiół z papierosa.

- Mniejsza o to zresztą - powiedziała spokojnie. - Nie po to tu przyszedłam, żeby cię uczyć rozumu.

- O co ci chodzi? Mówże wreszcie -- zniecierpliwiał się.

- Mam pewną handlową propozycję.

- Handlową propozycję?

- Siadaj. Pogadamy. - rzuciła Rita.

Marvan usiadł niechętnie.

- Więc słucham.

- Chcesz zarobić grubszą sumę?

- Hm...

- Doskonale. Widzę, że z tobą można rozmawiać poważnie o interesie.

- Mów - zainteresował się Marvan.

- Widzisz, chciałabym ci zaproponować pracę w Afryce.

- W Afryce?

- Tak. Pewni ludzie chcą zorganizować łowy dzikich zwierząt.

Ty jako pogromca byłbyś niezbędny, dla pozorów.

- Jak to dla pozorów?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Przecież mówiłam ci, że tutaj chodzi o grubszą sumę.

- Nie rozumiem.

- Transporty zwierząt będą tylko pozorem. W klatkach zaś będzie przewożony zupełnie inny towar. Rozumiesz teraz?

- Tak, teraz rozumiem - powiedział w zamyśleniu Marvan.

- No i cóż?

- No więc radzę ci jak najprędzej wrócić do swego przyjaciela i powiedzieć mu, że ja się na taki podstęp nie dam nabrać - rzucił ostro. - Mam nadzieję, że cię już więcej u siebie nie zobaczę.

- Jesteś skończony głupiec! - krzyknęła Rita, zrywając się z miejsca. - Pożałujesz jeszcze tego.

- Good bye! - mruknął Marvan.

Dziewczyna wybiegła trzasnąwszy drzwiami.

Pogromca zdjął marynarkę i rzucił się na łóżko. Gra Winklera

była aż nazbyt przejrzysta. Chciał go wplątać w kryminalną aferę, ażeby się w ten sposób pozbyć niewygodnego rywala. Łajdak jest na tyle perfidny, że używa do tego zakochanej dziewczyny, która jest mu ślepo posłuszna. Cała ta historia wzbudziła w nim uczucie niesmaku. Sięgnął ręką i zapalił papierosa. Po chwili uspokoił się zupełnie. Wtedy przyszła refleksja. A może zbyt pochopnie odmówił Ricie? Może ta cała historia afrykańska nie ma nic wspólnego z Winklerem, może rzeczywiście stracił okazję dojścia wreszcie do pieniędzy. Pomysł przemytu w klatkach z dzikimi zwierzętami wydawał się znakomity. Prawdopodobnie chodziło o brylanty.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Tak lub inaczej, lepiej się stało, że nie dał się wciągnąć w tę podejrzaną aferę, która niewątpliwie pachniała więzieniem. Ale jak zdobyć pieniądze? Przecież jeżeli chce wywieźć stąd Biankę, to musi jej stworzyć jakieś warunki istnienia. On sam przyzwyczajony jest do niedostatku i niewygód, ale ona? - Zgniół w palcach papierosa i cisnął go z rozmachem pod piec. - Psiakrew - mruknął pod nosem. - To wszystko nie jest jednak takie proste.

Odechciało mu się spać. Zadzwoił i kazał podać sobie gorącej wody. Postanowił się ogolić. Gdy namydlał twarz, ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Wpadł Patrick blady i zziębły.

- Co się stało - zawołał Marvan, spojrzawszy na zmienioną twarz chłopca.

- Prędko, panie Marvan, prędko! Goryl wyrwał się z klatki! Pokaleczył Boba i Tomasza. Prędko!

Pogromca błyskawicznie otarł mydło z twarzy i włożył marynarkę.

- Jedziemy! - krzyknął podniecony.

Po chwili byli już na dole.

- Prędzej! Prędzej! - przynaglał przerażony Patrick.

- Jak to się stało? - spytał Marvan, gdy już siedzieli w samochodzie.

- Nie wiadomo. „Kapitan” wyłamał kraty i wydostał się z klatki. Był rozwścieczony, ryczał i rzucał się na ludzi. W całym

cyrku popłoch. Jeżeli nie zdążymy na czas, to policja go zastrzeli.

- Do diabła! - zaklął Marvan. - To niemożliwe!
- Co niemożliwe?
- Żeby goryl wyłamał kraty.
- A jednak tak się stało. Coś strasznego, co tam się dzieje.

Gdy zajechali przed cyrk, uzbrojeni policjanci wyskakiwali właśnie z auta. Opodal stała karetka pogotowia. Marvan szybko przedostał się przez tłum i wpadł do cyrku. Natychmiast natknął się na Borelliego.

- No, nareszcie jesteś! - zawołał Włoch. - Gdzie się podziewasz do diabła?

- Gdzie goryl? - rzucił pytanie pogromca.

Olbrzymia małpa stała pośrodku areny, kołysząc się na potężnych kabłąkowatych nogach. Z gardzieli wydobywało się głucho, ponure porykiwanie. Kilkudziesięciu zbrojnych ludzi stało dokoła, w oczekiwaniu czegoś strasznego.

- Róbże coś! - krzyknął Borelli.

- Jeżeli pan chce, żebym opanował sytuację, proszę natychmiast usunąć stąd wszystkich ludzi - powiedział spokojnie pogromca.

- All right. - Atleta wydał odpowiednie rozkazy. Po chwili ludzie wycofali się z wolna. „Kapitan” rozglądał się wokoło swymi małymi, krwią nabiegłymi oczami i nie przestawał warczeć groźnie.

- Każę przynieść bat - szepnął Borelli.
- Nie trzeba - mruknął Marvan. - Niech mi pan da rewolwer.

Włoch w milczeniu podał broń, którą pogromca szybko wsunął do kieszeni.

- Proszę teraz odejść - rozkazał krótko.

Atleta cofnął się za dużą skrzynię z dekoracjami. Marvan pozostał sam na sam z „Kapitanem”.

- Come on, Captain - powiedział łagodnie zrobiwszy krok w kierunku małpy.

Goryl wyprostował się na całą wysokość i uderzywszy się potężnie we włochatą pierś zaryczał ostrzegawczo. Pogromca szedł

jednak ku niemu stanowczym krokiem, ciągle przemawiając spokojnie i bez cienia gniewu. Wreszcie stanął o dwa kroki przed „Kapitanem” i utkwiał wzrok w oczach potwora. Goryl przestał ryczeć, a z jego kosmatej gardzieli dobywał się jeszcze tylko głuchy warkot. Wtedy Marvan podszedł jeszcze bliżej i położył rękę na potwornym łbie. Goryl przysiadł i zwiesił ku ziemi muskularne łapy. Sytuacja była opanowana. Pogromca już bez trudu zaprowadził „Kapitana” do przygotowanej klatki. Po chwili tłum ludzi otoczył Marvana. Wszyscy z podziwem patrzyli na bohatera dnia.

- Niech cię diabli wezmą, mój chłopcze! - zawołał stary Mathews, ściskając pogromcę. - Jak ty to robisz? Byliśmy już wszyscy przekonani, że trzeba będzie zastrzelić tego potwora. Doprawdy jesteś nadzwyczajny.

Marvan uśmiechnął się polectany mile komplementem.

- Nic nadzwyczajnego. Po prostu trochę zimnej krwi - powiedział, zapalając papierosa.

- Bob i Tomasz też mieli zimną krew, a teraz leżą w szpitalu - odezwał się z tłumu Somerss.

- Musieli popełnić jakąś nieostrożność - odparł pogromca.

Tymczasem Borelli dziękował policjantom za pomoc, która na szczęście okazała się niepotrzebna. Sierżant Grant zasalutował uprzejmie, zebrał swoich ludzi i opuścił cyrk. Powoli wszystko zaczęło się uspokajać. Cyrkowcy wracali do swych zajęć, komentując głośno wydarzenie i wychwalając niezwykłą odwagę Marvana. Stary Mathews wziął przyjaciela pod rękę i odprowadził na bok.

- Słuchaj Fred - powiedział półgłosem - chciałbym z tobą pogadać.

- Dobrze, ale nie teraz - odparł pogromca. - Muszę zająć się trochę zwierzętami. A o czym chcesz mówić? - Mathews przymrużył oko.

- O interesach - szepnął.

Marvan wzruszył ramionami i spojrzał zdziwiony.

- Cóż ty znowu możesz mieć za interes? - mruknął. - Ale

dobrze, jeśli chcesz, możemy pogadać po przedstawieniu.

- All right.

Marvan ruszył do klatki, z której niedawno wydostał się „Kapitan”. Był zaintrygowany w jaki sposób goryl mógł sobie poradzić z potężnymi kratami. Wydawało mu się to bardzo podejrzane. Po drodze zatrzymał Patricka.

- Kto pierwszy zauważył, że „Kapitan” jest na swobodzie? - spytał chłopca.

- Nie pamiętam - odparł Patrick. - Wydaje mi się, że Mathews pierwszy przybiegł do dyrektora, kiedy ja sprzątałem stajnie. Był bardzo przerażony.

Marvan podszedł do klatki, w której do niedawna przebywał goryl. Trzy grube kraty były wyłamane i leżały na ziemi. Pogromca podniósł je i obejrzał uważnie, a następnie podłubał coś szczyrzykiem przy klatce. Widać było, że jest podniecony.

- Hm - mruknął w zamyśleniu - ciekawe, bardzo ciekawe. - Wziął jedną kratę, zaniósł ją do swej garderoby i wrócił następnie do zwierząt. Musiał przygotować się trochę do wieczornego występu.

Lwica „Zaza” powitała go tym razem spokojnie, a nawet z oznakami wyraźnej życzliwości. Pogromca porozmawiał serdecznie ze swą pupilką i wszedł do klatki. Lwica pozwoliła się głaskać i piękny, płowy łeb położyła na kolanach Marvana. Z porannego podniecenia nie pozostało ani śladu. „Cesar” i „Cleo” zachowywali się również spokojnie. „Kleopatra”, „Mandaryn” i dwa bezimienne lamparty spały spokojnie po obiedzie. Pogromca rozkazał służbie rozstawić ogrodzenie i wypędził zwierzęta na arenę. Półgodzinny trening przekonał go, że jego wychowankowie są w dobrej formie i że wieczorem będzie mógł zupełnie spokojnie odbyć swój numer. Zwinął bat i zapędził bestie do klatek.

Właśnie szerokimi krokami zmierzał w kierunku wyjścia, gdy zastąpił mu drogę Winkler. Był to barczysty, dość wysoki mężczyzna o silnie rozwiniętej dolnej szczęce i wąskich nieco skośnych oczach. Cerę miał szarą, ziemistą, jak większość ludzi znękanym tropikalnymi chorobami. Głos niski, o ładnej aksamitnej

barwie, zdradzał byłego śpiewaka operowego. Winkler był obieżyświatem i awanturnikiem. Próbował niemal wszystkich zawodów, aż wreszcie został kłownem w słynnym cyrku Borelliego. Marvan nie lubił tego zarozumiałego, aroganckiego błazna, a jego czułe spojrzenia w kierunku Bianki doprowadzały go do wściekłości.

- Czego chcesz? - spytał opryskliwie, starając się ominąć natręta.

- Mam z panem do pogadania, mister Marvan - powiedział uprzejmie kłown.

- O co chodzi? - Winkler zmrużył swe wąskie oczy.

- Podobno Rita odwiedza cię w hotelu - wycodził przez zęby.

Marvan spojrzał zdziwiony.

- Przypuszczałem, żeś to ty ją do mnie przysłał - mruknął niewyraźnie.

- Słuchaj no, Marvan - warknął Winkler - nie udawaj durnia. Po cóż bym przysyłał do ciebie swoją dziewczynę. Widzę, że prowadzisz podwójną grę. Radzę ci daj spokój Ricie, bo to się może źle skończyć.

Marvan zaklął.

- Do wszystkich diabłów! - krzyknął zniecierpliwiony. - Mam już tego wszystkiego dosyć. Nic mnie z Ritą nie łączy i nie życzę sobie jej wizyt. Powiedziałem jej to dzisiaj - wyrzuciłem za drzwi. A ty przestań się mnie czepiać, bo mogę stracić cierpliwość, a wówczas nie ręcę za siebie.

Tyle było zdecydowania w całej postaci pogromcy, że widocznie Winkler uważał za wskazane usunąć się, gdyż odszedł, mrużąc coś pod nosem. Marvan zdenerwowany wybiegł z cyrku i wsiadłszy do auta, kazał się zawieźć na obiad do pobliskiego baru. Nie mógł jednak jeść. Był zły i zdenerwowany. Wypadki dnia wyprowadziły go z równowagi. Czuł zacieśniającą się wokoło sieć intryg i nieczystych machinacji. Ktoś drażni zwierzęta, chcąc doprowadzić do wypadku. „Zaza” była rano rozwścieczona, a później znowu ta historia z „Kapitanem”. Był niemal pewny, że ktoś przepiłował kraty, ale kto i w jakim celu? A czego chciała ta intrygantka Rita, po

co przysła do niego do hotelu? Czy Winkler naprawdę nic o tym nie wiedział? Co to za interesy zamyśla Mathews? Czy Bianka kocha go naprawdę i czy zdecydowałaby się na wyjazd z nim bez pieniędzy, bez możliwości wygodnego, beztrudnego życia?

Wszystkie te pytania huczały bezładną wrzawą w głowie pogromcy, nie dając mu spokoju. Wstał i zapłaciwszy rachunek za nietknięty posiłek, wyszedł na ulicę. Podmuch chłodnego wiatru orzeźwił go trochę. Szerokimi, nerwowymi krokami szedł przed siebie, patrząc badawczo w twarze mijanych ludzi. „Trzeba z tym wszystkim skończyć. Trzeba z tym skończyć” - myślał uparcie. Czuł, że musi jak najprędzej wyjaśnić sytuację, rozmówić się z Borellim. Tak dłużej trwać nie może. Duszna atmosfera ukrywanej miłości i ciągłych intryg męczyła go niesłychanie. Postanowił rzucić pracę u Borelliego i wyjechać z Bianką bodaj do Ameryki. Ostatecznie ma zawód, który nie da mu umrzeć z głodu. Zawsze znajdzie zajęcie. Może nie tak korzystne, jak tutaj, ale znajdzie. Ta decyzja uspokoiła go znacznie. Zwolnił kroku i począł przechadzać się, snując szerokie plany na przyszłość.

Wieczorem, bezpośrednio przed przedstawieniem, gdy Bianka przebierała się do swego występu, drzwi od jej garderoby otworzyły się nagle i krokiem zdecydowanym wszedł Marvan. Pogromca ruchem ręki odprawił garderobianą.

- Muszę z tobą poważnie pomówić - powiedział bez żadnych wstępów.

- Co się stało? - spytała niespokojnie dziewczyna.

- Nic się nie stało, ale musimy coś zdecydować. Ja mam już tego wszystkiego dosyć.

- Czego masz dosyć?

- Tej całej sytuacji. Postanowiłem rozmówić się kategorycznie z twoim ojcem, a jeżeli będzie się upierał, to zabieram cię stąd i wyjeżdżamy. Zgadzasz się?

Bianka zbliżyła się i położyła mu ręce na ramionach.

- Wiesz przecież, Fred, że od dawna o tym marzę. Mnie już samą to męczy.

- Dobrze - powiedział stanowczo Marvan. - Po przedstawieniu rozmówię się z Borellim. Dziś wszystko się wyjaśni.

- Uważaj kochany. Ojciec potrafi być nieobliczalny, gdy wpadnie w gniew.

- Nie bój się o mnie. Daję sobie radę z tygrysami - zaśmiał się pogromca.

Bianka patrzyła w ślad za nim, w tej chwili zdała sobie jasno sprawę z tego, jak bardzo kocha tego dzielnego chłopca. Tak była zamyślona, że nie zauważyła nawet, jak niepostrzeżenie wślizgnęła się garderobiana, aby dokończyć jej toalety.

Cyrk tego wieczoru był wypełniony po brzegi. Program rzeczywiście odbiegał od przeciętności. A sensacją dnia stała się znakomita grupa akrobatów Somerssa i wspinała tresura zwierząt Marvana. Gdy pogromca wychodził na arenę, spostrzegł w pierwszym rzędzie szeroką twarz Hollay'a. „Znowu ten worek złota przyszedł zalecać się do Bianki” - pomyślał ze złością. Zdenerwowanie pogromcy udzieliło się zwierzętom. „Zaza” warczała niezadowolona i chwytła bat zębami. Ogromny tygrys „Cesar” darł niecierpliwie pazurami piasek areny, „Kleopatra” zachowywała się niezwykle agresywnie, a lamparty starały się zaatakować od tyłu człowieka z batem. Jedynie stary, czarnogrzywy „Mandaryn” wykazywał stoicki spokój i równowagę ducha. Marvan potrafił jednak utrzymać w karbach całą zgraję i zmusić ją do posłuszeństwa. Numer wypadł niezwykle efektownie. W cyrku panowała bezwzględna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu okrzykami przerażenia bardziej wrażliwych kobiet. „Kapitan” tego wieczoru nie brał udziału w przedstawieniu. Borelli obawiał się wypuścić na arenę podnieconego niedawnymi przejściami goryla. Na próżno Marvan starał się przekonać dyrektora, że nie ma żadnego powodu do obaw. Włoch uparł się i goryl pozostał w klatce.

- Niech cię kule biją, mój chłopcze - mruczał Mathews, pomagając się przebrać przyjacielowi. - Byłeś nadzwyczajny. Bałem się już trochę o ciebie. Te bestie nie były dziś łagodnie usposobione.

- Głupstwo - rzucił chępliwie Marvan. - To tylko tak groźnie

wyglądało.

- Czy wiesz, że dwie kobiety zemdlały podczas twego występu?

- Niemożliwe!

- Słowo daję. Wyniesiono je z widowni.

- Nadzwyczajne. Co to za jedne? Młode, ładne?

- Będą miały ze sto lat razem - uśmiechnął się Mathews.

- Idź do diabła z takimi dowcipami - mruknął pogromca.

- Czy będziesz mógł dziś ze mną porozmawiać? - spytał stary.

Marvan spojrział na niego bacznie.

- Ach tak, prawda. Masz do mnie jakiś interes. Dobrze, możemy pogadać, ale później. Muszę po przedstawieniu rozmówić się z Borellim.

- Z dyrektorem?

- Tak. Dlaczego cię to dziwi?

- Cóż ty chcesz od niego?

- Mam swoje prywatne sprawy.

- Nie radzę ci - mruknął Mathews.

- Czego nie radzisz?

- Nie radzę ci rozmawiać dziś ze starym.

- A to czemu?

- Jest w bardzo kiepskim humorze.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ja go na pewno nie będę rozweselał.

- Rób jak uważasz, ale ja bym ci radził odłożyć tę rozmowę do jutra.

- Wykluczone. Dzisiaj musi się wszystko rozstrzygnąć.

- No dobrze, a jak my się umówimy?

Marvan pomyślał chwilę.

- Czekaj na mnie u Ritza. Po rozmowie z Borellim przyjdę tam do ciebie.

- All right. - Mathews włożył płaszcz, naciągnął swoim zwyczajem kapelusz na oczy i wyszedł.

Od strony areny dolatywały wesołe dźwięki orkiestry. To mister

Barss popisowywał się tresurą swych koni.

Wieczór był dość ciepły i padał deszcz. Stary zongler podniósł kołnierz i szerokimi krokami brnął przez kałuże. W pewnym momencie podszedł do niego wysoki, tężgi mężczyzna, w szerokim raglanie.

- Good evening. Mathews drgnął.

- A, mister Hollay... Dobry wieczór. Nie poznałem pana w pierwszej chwili.

- Czyżbym się tak zmienił od wczoraj? - zaśmiał się grubas.

- To chyba nie. Może ten płaszcz mnie zmylił.

- Co nowego z Marvanem? - spytał Hollay.

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

- A kiedy się coś od pana dowiem konkretnego?

- Dziś jeszcze mamy się spotkać u Ritza. Tam wszystko z nim omówię.

- Czy ma pan nadzieję, że Marvan się zgodzi?

- Nie wiem. Postaram się go przekonać, potrzebuje pieniędzy.

- Kto ich nie potrzebuje? - westchnął tęsknie I Hollay.

- Panie Hollay.

- Słucham.

- Niech mi pan powie zupełnie szczerze, czy to jest czysty interes?

- Ależ oczywiście! Jak pan może nawet pytać? Czyż ja bym panu proponował jakiś niepewny interes? Nonsens!

- Bo widzi pan - mruknął niepewnie Mathews - gdyby w tym było coś nieuczciwego, to jestem przekonany, że Marvan by się nie zgodził.

- Ale może pan być zupełnie pewny, mister Mathews. Ja się nie wtrącam do brudnych spraw - powiedział z godnością Hollay.

- No to w takim razie będę mógł śmiało namawiać Marvana. A zapewniam pana, że lepszego pogromcy nie znajdzie pan w całej Anglii.

- Widziałem go nieraz przy robocie - mruknął grubas. - Nie potrzebuje mi go pan zachwalać.

- A więc dam odpowiedź jutro - powiedział żongler.
- Czekam. Good bye, mister Mathews, good bye. - Hollay uchylił kapelusza i oddalił się pośpiesznie.

W swych ogromnych kaloszach przypominał wielkiego, ciężkiego słońca, brodzącego leniwie po szeroko rozlanych kałużach.

Mathews zatrzymał auto i kazał się zawieźć do Ritza. Był przemoknięty i chętnie napiłby się kieliszek koniaku. W restauracji już było gwarno. Kelnerzy uwijali się między gęsto poustawianymi stolikami. Orkiestra grała slowfoxa. Kilkanaście par poruszało się rytmicznie na parkiecie. Mathews zamówił kolację i ciekawie rozglądał się po sali. Bardzo rzadko bywał w nocnych lokalach, a w tak eleganckiej restauracji nie był od lat. Całe więc otoczenie bawiło go, przypominając dawne młode lata, kiedy jeszcze jako bokser zdobywał sukcesy na ringach. Później musiał zrezygnować z walki z powodu choroby i próbować innych zawodów. Był trenerem, kelnerem, woźnicą, wreszcie został żonglerem i włóczył się po całym kraju z wędrownymi cyrkami. Obecnie nie miał już dość pewnej ręki, aby występować na arenie i pełnił funkcje pomocnicze w słynnym cyrku Borelliego. Zaprzyjaźnił się też serdecznie z Marvanem, który polubił starego za jego dobre serce i prawdomówność. Stary żongler był szczerze oddany pogromcy. Nieraz służył mu dobrą radą i pomocą przy tresurze dzikich zwierząt. Tajemnym marzeniem Mathewsa było zdobycie takiej sumy pieniędzy, aby można było kupić chociaż maleńką fermę, na której mógłby osiąść na stare lata. I właśnie teraz otwierały się przed wysłużonym cyrkowcem wspaniałe perspektywy. Mógł zarobić przy pomocy Marvana duże sumy, mógł zdobyć upragniony własny dom i kawał ziemi. Żeby tylko Marvan się zgodził, żeby się zgodził. Propozycja tego bogacza Hollay'a była wyjątkowa, po prostu znakomita.

Stary żongler pogrążył się w marzeniach, popijając koniak i czekając cierpliwie na młodego przyjaciela. Czas płynął, a Marvan jednak się nie zjawiał. Po godzinie Mathews niespokojnie spojrzął na zegarek. „Co on porabia u diabła tyle czasu?” - mruknął z

niezadowoleniem. Pilno mu było podzielić się z kimś swymi nadziejami i pragnął jak najprędzej uzyskać zgodę pogromcy. „Gdzie on siedzi u licha?” - myślał, rozglądając się wokoło. Marvan już dawno odbył swój numer, a rozmowa z Borellim nie mogła przecież trwać tak długo. Włoch był w fatalnym humorze i należało się spodziewać, że w ogóle nie będzie chciał o niczym rozmawiać. Tym bardziej dziwnym się wydawać mogło, że pogromca tak długo nie nadchodził. Po upływie drugiej godziny Mathews począł nabierać przekonania, że musiał widocznie źle zrozumieć i że na pewno umówili się gdzie indziej. Zapłacił więc rachunek i wstał od stolika, gdy nagle na sali pojawił się Marvan. Pogromca był wzburzony i bardzo błady. Usiadł bez słowa i kazał sobie podać whisky. Stary zongler patrzył niespokojnie na przyjaciela, nie mając odwagi przemówić.

- Muszę mieć jutro pieniądze! - rzucił nagle Marvan.
- Jutro pieniądze?
- Tak. Wyjeżdżam.
- Wyjeżdżasz? - zdumiał się Mathews.
- Cóż się tak dziwisz! -- zniecierpliwił się pogromca. -- Wyjeżdżam jutro! Wyjeżdżam! Rozumiesz? Muszę!
- Fred, uspokój się na Boga! Co ci jest? Co się stało? Przecież masz kontrakt z Borellim. Nie możesz. Zastanów się!
- Niech diabli wezmą kontrakt i Borelliego - krzyknął Marvan, a oczy mu zabłyśły dziko. - Wyjeżdżam jutro i potrzebuję natychmiast pieniędzy. Rozumiesz?
- No dobrze, dobrze, ale skądże ja ci wezmę pieniądze. Wiesz przecież, że ja...
- Wiem, wiem - przerwał niecierpliwie pogromca. - Ciebie nie proszę o pożyczkę.
- Słuchaj Fred, uspokój się. Właśnie chciałem ci zaproponować pewien interes, na którym mógłbyś zarobić grubsze pieniądze.
- O co chodzi?
- No, oczywiście, nie możesz liczyć na natychmiastowy zarobek. Trzeba na to trochę czasu - zastrzegł się Mathews.

- Gadajże wreszcie co to takiego? - zniecierpliwiał się pogromca.

- Chodzi o wyjazd do Afryki. Dostałem propozycję, aby...

- Słyszałem już o tym, słyszałem - przerwał Marvan. - Nie zwracaj sobie tym głowy. Do żadnej Afryki nie pojedę ani z tobą, ani z Winklerem, ani w ogóle z nikim. Szkoda twego trudu.

- Ależ dlaczego? - zdumiał się Mathews. - Proponują świetne warunki.

- Dlatego, że ta cała propozycja pachnie o miłą aferą.

- Aferą?! - stary zongler wybałuszył oczy.

- Oczywiście - mruknął niechętnie pogromca.

- Nigdy bym nie przypuszczał.

- Bo jesteś naiwny jak dziecko. Powiedz mi lepiej kto ci zaproponował ten fenomenalny zarobek. Oczywiście miałeś mnie nakłonić do wzięcia udziału w tej całej imprezie. Czy tak?

- Coś w tym rodzaju - bąknął niepewnie stary. - Ale doprawdy nie...

- Doskonale. Więc któż to wszystko urządza?

- Hollay...

- Hollay?

- Tak.

- Właściwie mógłbym się być domyśleć - mruknął Marvan. - To zwierzę miewa czasem niezłe pomysły.

- Słuchaj Fred, chciałbym... - zaczął Mathews.

- Daj spokój, nie ma o czym mówić - rzucił stanowczo pogromca. - Nie licz na mnie w tej sprawie, a i tobie nie radzę się w to wdawać. No, do widzenia. Good bye. - Wstał i pośpiesznie wyszedł z restauracji, zostawiając zupełnie ogłuszonego przyjaciela.

Co mu się stało u diabła? -- mruknął po dłuższej chwili stary zongler. Zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę. Deszcz ustał i tylko przesycony wilgocią wiatr dął z północy. Światła latarń ślizgały się niepewnie po powierzchni mokrego chodnika. Od czasu do czasu w ciszę nocy wdierał się brutalnie wrzask klaksonu samochodowego. Zapóźnieni przechodnie śpieszyli do domów, jakby zażenowani swą

nocną obecnością na mieście. Wysoka sylwetka policjanta wyraźnie zarysowywała się na skrzyżowaniu ulic.

Mathews szedł wolno przed siebie, staczając niewidoczną walkę z rojem posępnych myśli. Nadzieja na poważniejszy zarobek rozwiąła się w mrokach nocy. Marvan z niezrozumiałych powodów odmówił stanowczo, nie chcąc nawet wysłuchać do końca jego propozycji. Musiał już być widocznie poinformowany i przeczował w tym wszystkim jakąś podejrzaną aferę. Stary żongler na próżno łamał sobie głowę nad tym, co nieuczciwego mogła kryć w sobie propozycja Hollay'a. Wiedział, że jest to człowiek niezmiernie bogaty i trudno mu było uwierzyć, aby taki milioner mógł maczać palce w niewyraźnych interesach. Przecież i tak już miał dosyć pieniędzy. Tak czy inaczej, Marvan odmówił kategorycznie i siłą rzeczy cała sprawa upadała. Ale co się mogło stać temu chłopakowi? - rozmyślał Mathews. Dlaczego był tak okropnie zdenerwowany i podniecony? Dlaczego chce jak najprędzej wyjeżdżać, rzucać pracę, zrywać kontrakt? Dlaczego, co się stało? Niezwykłe rozdrażnienie pogromcy zaniepokoiło starego żonglera. Podejrzał, że jego przyjaciel miał jakąś poważną awanturę z Borellim. Domyślał się, że chodziło o Biankę. Na pewno Marvan wyrwał się znowu z czymś niepotrzebnym i rozdrażnił dyrektora. Ten porywczy, pełen życia chłopak często wdawał się w zupełnie zbyteczne awantury. Ale dlaczego chce zaraz wyjeżdżać, dlaczego? Nagle stary żongler, tknięty jakąś myślą, zatrzymał się na środku ulicy. Przecież jeśli Marvan naprawdę pojedzie, to on, Mathews, zostanie zupełnie, ale to zupełnie sam. Dopiero teraz zdał sobie jasno sprawę z tego czym dla niego był ten chłopiec. Kochał go po swojemu i nigdy jakoś nie brał pod uwagę tej możliwości, żeby mogli się rozstać. Ale przecież to jasne, że Marvan nie zabierze ze sobą starego posługacza, bo czymże właściwie był dzisiaj dawny mistrz półciężkiej wagi. Niczym, zupełnie niczym. Myśl o utracie młodego przyjaciela przeraziła Mathewsa. Daremnie starał się sobie tłumaczyć, że przecież Marvan nie wyjedzie, że na pewno wszystko się zmieni, że to tylko takie chwilowe zdenerwowanie, które na pewno zniknie bez śladu do rana.

Oklamywał sam siebie, nie wierzył w to wszystko. Czuł, że pogromca powziął jakieś stanowcze i nieodwołalne postanowienie. Ale co będzie, co będzie? Samotność, straszna beznadziejna samotność. Będzie poniewierany i popychany w cyrku Borelliego, dopóki go nie wyrzucą. Marvana bali się wszyscy, sam dyrektor liczył się z nim poważnie i Marvan potrafił stanąć w obronie swego przyjaciela. Nie dał go skrzywdzić, a teraz? Rozpacz chwyciła starego za gardło. Przystanął na chwilę i oparł się o mur. Wydało mu się, że leci w przepaść bez dna, że musi zginąć bez ratunku i bez pomocy.

Było już bardzo późno, gdy Mathews wrócił do cyrku. Zrezygnowany powlókł się do swego wozu, gdy nagle spostrzegł, że ktoś siedzi na pustej skrzyni.

- Kto tu jest? - spytał żongler.
- To ja - usłyszał w odpowiedzi głos Patricka.
- Co tu robisz o tej porze? Dlaczego nie śpisz?
- Chodziłem do apteki.
- Do apteki? Po co?
- Po lekarstwo.
- Zachorował ktoś? - zdziwił się Mathews.
- Somerss. Jak to, nic pan nie wie?
- Nie, a co się stało?
- Stary pobił Somerssa.

Borelli?! Dyrektor?!

- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiadomo. Pokłócili się o coś.
- I Somerss ranny?
- Nie, lecz mocno poturbowany. Panna Bianka robiła mu kompresy. Była straszna awantura.

- Do diabła! - zaklął Mathews. - Co to za traktowanie ludzi! - Nagle przyszło mu do głowy, że Borelli mógł uderzyć także w czasie rozmowy Marvana. Ten wściekły Włoch był przecież zupełnie nieobliczalny. Taka pasja ogarnęła żonglera, że postanowił

natychmiast powiedzieć temu awanturnikowi, co o nim myśli. Przecież to on był powodem tych wszystkich nieszczęść. Przecież, gdyby nie on, to Marvan... Zacisnął pięści i ruszył zdecydowanym krokiem naprzód.

W sypialni Borelliego paliło się jeszcze światło. Mathews, niepomyślny na niebezpieczeństwo, wszedł i pchnął energicznie drzwi. Przy łóżku w blasku dużej stojącej lampy leżało na dywanie olbrzymie ciało dyrektora wygięte w przedśmiertnym skurczu.

- Jezus Maria! - krzyknął w nagłym przerażeniu Mathews.

ROZDZIAŁ II

Inspektor Hawkins nie był człowiekiem przesadnym i ujrawszy z rana na kalendarzu groźnie czerniącą się trzynastkę uśmiechnął się tylko lekceważąco i wyskoczył z łóżka. Ten pogardliwy stosunek musiał widocznie rozdrażnić złowróżbną cyfrę, która postanowiła się zemścić. Wszystko zaczęło się od spinki. Hawkins obudził się dość późno i musiał się śpieszyć bardziej niż zwykle. Umył się szybko, ogolił, a nie chcąc tracić ani chwili czasu postawił na elektrycznej maszynce garnuszek z mlekiem, przygotowanym na śniadanie. Dokonawszy tego, przycesał sobie włosy przed lustrem i włożył koszulę. Ale tu właśnie zaczęła się tragedia. Jedyna spinka wysunęła się z palców inspektora i zawirowawszy w powietrzu potoczyła się z cichym szmerem poprzez pokój. Hawkins spokojnie, z flegmą godną prawdziwego Anglika, rozpoczął poszukiwania, które jednak trwały około piętnastu minut. Złośliwy przedmiot ukrył się bardzo starannie przed wzrokiem zrozpaczonego człowieka i dopiero, gdy inspektor zupełnie zrezygnowany usiadł ciężko na krześle, spinka błysnęła ku niemu złośliwie spod nocnej szafki. Nie trzeba dodawać, że przez ten czas wykypiało mleko, co oczywiście zniweczyło wszelkie plany konsumpcyjne.

Hawkins, zły i głodny, wybiegł z mieszkania. Pośpiesznie wyprowadził motocykl z garażu. Daremnie jednak kopął pedał i

szarpał maszynę. Motor milczał. Nie było sposobu wprawić go w ruch. Wszystkie wysiłki spęły na niczym. Inspektor Hawkins był gentlemanem, unikał więc używania grubiańskich wyrazów. Tym razem jednak zaklął szpetnie, odstawił motor i pobiegł na przystanek autobusowy. Po drodze wpadł w głęboką kałużę, nabierając sporą porcję wody do butów. Autobusy kursują w Londynie często, pod warunkiem oczywiście, że się nie czeka na nie. Hawkins stał bardzo długo na przystanku, wyglądając zbawczego wehikułu. Mokre nogi nie przysparzały mu dobrego humoru. Uporczywy deszcz padał bez przerwy. Wreszcie inspektor wtłoczył się z trudem do przepełnionego wozu i pojechał do Scotland Yardu. Gdy przybył na miejsce, było już późno.

- Co nowego, John? - spytał, przywitawszy się z przyjacielem.
- Stary pytał o ciebie. Zdaje się, że jest bardzo zdenerwowany - odparł Rinc.

Hawkins przypomniał sobie, że nadinspektor prosił go o wczesne przybycie do biura. Zrobiło mu się trochę nieprzyjemnie.

- Czy mam się zaraz zgłosić do szefa? - spytał, zapalając papierosa.
- Zdaje się, że tak.

Hawkins przygładziwszy włosy wybiegł z pokoju. Windą pojechał na górę po czym zameldował się. Nie czekał długo. Po paru minutach pojawiła się chuda miss Milley oznajmiając, że nadinspektor czeka. Obciągnął marynarkę i wszedł. Był przygotowany na przykrą rozmowę.

W dużym, bardzo chłodnym gabinecie stał za biurkiem mężczyzna średniego wzrostu. Twarz miał dość dużą o regularnych rysach. Oczy stalowoszare, głęboko osadzone, zdawały się być na pozór bez żadnego wyrazu i nic w nich nie można było wyczytać. Przenikały jednak do głębi i mało było ludzi, którzy by się zdołali oprzeć temu zimnemu, nieprzejednanemu spojrzeniu. Nadinspektor Mellerson był człowiekiem bezwzględny i nieubłagany. Jego stalowa wola złamała już niejednego. Podwładni bali się go i szanowali, zwierzchnicy cenili go niezmiernie i liczyli się z nim

bardzo. Cały świat przestępczy drżał na dźwięk imienia strasznego „Białego Inspektora”. Mellerson miał bowiem piękną, zupełnie siwą czuprynę.

Hawkins skłonił się niepewnie i czekał. Spodziewał się wymówek.

- Proszę, niech pan siada, inspektorze - powiedział Mellerson, podając pudełko z cygarami. - Proszę zapalić - Hawkins zmieszał się jeszcze bardziej.

- Przepraszam za niespodziewane spóźnienie. Właśnie chciałem...

- Głupstwo - przerwał nadinspektor. - Nie ma o czym mówić. Chciałbym natomiast porozmawiać z panem o rzeczach ważniejszych.

- Słucham.

- Uważam pana za jednego ze zdolniejszych moich współpracowników.

- Dziękuję za słowa uznania - skłonił się Hawkins.

- Pan wie, że nie zwykłem prawić komplementów, inspektorze - ciągnął dalej Mellerson. - Pragnę panu powierzyć bardzo trudną i odpowiedzialną pracę i mam nadzieję, że się na panu nie zawiodę.

- Może pan na mnie liczyć, sir - zapewnił gorąco inspektor. - O co chodzi?

- Borelli zamordowany - powiedział wolno Mellerson.

Hawkins zerwał się gwałtownie z miejsca.

- Borelli! - zawołał podniecony. - Borelli zamordowany!

- Tak. Niech pan siada.

Inspektor usiadł posłusznie.

- Kiedy to się stało? - spytał już spokojnie. - Przecież...

- Dzisiaj w nocy.

- A papiery?

- Zniknęły.

- Do diabła! - zaklął mimo woli Hawkins.

- Chciałbym, inspektorze, powierzyć panu śledztwo - powiedział cicho Mellerson. - Zdaje pan sobie chyba sprawę z

powagi sytuacji. Miałem już dzisiaj poufny telefon z Ministerstwa. Musimy tę sprawę jak najprędzej wyjaśnić. Musimy. Rozumie pan. To nie jest takie proste, ale liczę na pańskie doświadczenie.

- Zrobię, co będzie w mej mocy - zapewnił Hawkins. - Czy są już jakieś materiały?

- Żadnych. Wie pan kim był Borelli. Dziś w nocy znaleziono go zamordowanego. Jest przypuszczenie, że został uduszony we śnie. Wstępne badania przeprowadził jakiś przygodny policjant. Kazałem wszystko zabezpieczyć i czekać na pana przybycie. Niech pan bierze doktora Prista i natychmiast jedzie. Dam panu tylu ludzi ilu pan zażąda.

- Rozkaz - powiedział Hawkins. - Wieczorem zdam panu raport ze swej działalności. Mellerson wstał.

- Życzę panu powodzenia - rzucił krótko. - Czekam na wiadomości. Hawkins wrócił do swego pokoju i natychmiast połączył się z garażem.

- Co masz dziś do roboty, John? - spytał Rinca.

- Nic specjalnego - odparł młody człowiek.

- Masz ochotę pojechać ze mną na ciekawą robotę? - ciągnął

Hawkins.

- Bardzo chętnie.

- To wkładaj płaszcz. Zaraz jedziemy. Czekam tylko na doktora Prista.

- Daleko?

- Do cyrku Borelliego.

- Czy tam coś się stało?

- Borelli zamordowany.

- Zamordowany?

- Tak, dzisiaj w nocy.

- Do licha, to rzeczywiście interesujące - zawołał Rinc.

W tej chwili dano znać, że samochód już czeka. Hawkins wyjął z biurka rewolwer, wsunął go do kieszeni. Miał zwyczaj nie wyruszać do pracy bez broni. Gdy znaleźli się w aucie, Rinc pochylił się do ucha przyjaciela.

- Czy uważasz, że to rzeczywiście taka trudna sprawa?
- Przekonamy się na miejscu - mruknął wymijająco inspektor.

Cyrk Borelliego był otoczony sporym tłumem gapiów. Konni i piesi policjanci utrzymywali porządek, nie wpuszczając nikogo do wnętrza. Hawkins porozumiał się natychmiast z dyżurnym oficerem i przeprowadził swoich towarzyszy. Maleńki, niezmiernie chudy doktor Prist dreptał drobnym kroczkiem w ślad za inspektorem, dźwigając dużą, skórzaną tekę ze swymi przyrządami. Dwóch policjantów zaprowadziło przedstawicieli Scotland Yardu na miejsce zbrodni. Ciało Borelliego leżało w tej samej pozycji, w jakiej je zastał stary Mathews. Hawkins spojrzął od progu i ruchem ręki powstrzymał towarzyszy.

- Czy ktoś tutaj coś ruszał? - spytał jednego z policjantów.
- Nie umiem panu odpowiedzieć, inspektorze. Dopiero przed pół godziną przyszlismy na służbę.
- Kto był tu najpierwszy z policji?
- Sierżant Burdy.
- Proszę zawołać do mnie sierżanta.
- Rozkaz, inspektorze.

Gdy policjant się oddalił, Hawkins zwrócił się do Rinca.

- Bierz wóz i jedź natychmiast do Jorgensa i Chaneya. Trzeba zdjąć odciski. Powiedz niech zabiorą wszystkie przyrządy. Robota musi być wykonana specjalnie troskliwie. Gdybyś miał jakieś trudności, skomunikuj się z Mellersonem. Rozumiesz?

- Tak jest.
- Dobrze. Jedź i spiesz się! Każda chwila dla nas jest droga.

Rinc wybiegł pospiesznie. Hawkins zaś zwrócił się do doktora Prista i poczęstował go papierosem.

- Doktorze - powiedział, zapalając zapałkę - czy mógłby pan określić w przybliżeniu godzinę śmierci ofiary?

- Oczywiście - odparł Prist. - Sądzę, że nie będzie to nic trudnego.

- Doskonale, gdy tylko Jorgens i Chaney załatwią się ze swoją robotą, przystąpi pan do obejrzenia zwłok.

- All right.

W tej samej chwili zbliżył się do nich gruby, dosyć niski policjant. Okrągła, różowa twarz świadczyła o dobrym zdrowiu tego człowieka.

- Jestem sierżant Burdy - oznajmił salutując. - Powiedziano mi, że pan inspektor życzy sobie mówić ze mną.

- Tak jest, sierżancie - powiedział Hawkins. - Chciałem się dowiedzieć, kto pierwszy przybył tutaj na miejsce zbrodni?

- Ja.

- Czy pana ktoś wzywał?

- Miałem nocną służbę. Połyszałem jakiś hałas i krzyki w cyrku. Przyszedłem więc, ażeby sprawdzić co takiego się stało.

- Kto pierwszy zauważył morderstwo?

- Stary cyrkowiec nazwiskiem Mathews.

- O której godziniełyszał pan krzyki?

Sierżant pomyślał chwilę.

- Musiało być chyba około drugiej w nocy. Dokładnej godziny nie mogę podać, bo akurat popsuł mi się zegarek - powiedział z wolna.

- Czy nikt nie ruszał trupa?

- Od chwili mego przyjścia tutaj - na pewno nikt.

- To dobrze. Co to za człowiek ten Mathews?

Burdy wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem. Taki sobie starowina, cyrkowiec, nic specjalnie ciekawego.

- Dziękuję, sierżancie - rzucił Hawkins. - Nie będę pana dzisiaj już potrzebował. Może pan iść do domu spać. Proszę do mnie przysłać tego Mathewsa.

- Rozkaz - odrzekł służbowo policjant.

Inspektor coś szybko zanotował w swoim dużym, oprawionym w skórę notesie.

Stary zjawił się niebawem, był przygnębiony. Twarz miał smutną, zgaszoną, oczy zmęczone i zaczerwienione po nieprzespanej nocy. Ukłonił się uprzejmie i stanął w wyczekującej pozycji. Inspektor

przez dłuższą chwilę patrzył badawczo na cyrkowca, jakby chciał z rysów jego twarzy wyczytać tajemnicę. Wreszcie podszedł bliżej i poczęstował starego papierosem.

- Więc pan się nazywa Mathews?
- Yes.
- Imię?
- Bill.
- Pracuje pan w cyrku Borelliego?
- Tak.
- Dawno?
- Od pięciu lat.
- Hm, to dość długo. Jakie funkcje pan tu pełnił?
- Byłem żonglerem - mruknął niechętnie stary. - A teraz

pomagam przy zwierzętach.

- Jakie stosunki łączyły pana z Borellim?
- Właściwie żadne. Bardzo rzadko rozmawiałem z dyrektorem.

Pan inspektor rozumie: nie jestem gwiazdą.

Hawkins w zamyśleniu obejrzał swe paznokcie.

- Czy Borelli miał córkę? - spytał nagle.
- Tak - odparł Mathews. - Miss Biankę.
- I kocha się w niej pogromca Marvan. Czy tak?

Oczy starego zabłyśły nagle niespokojnie.

- Tak. Zdaje się, że są zaręczeni - powiedział z wahaniem.

Straszliwy niepokój targał od wielu godzin starym żonglerem. Bał się, że Marvan... Nie, nie, przecież to niemożliwe, przecież... A jednak co chwilę napływała nowa fala przerażenia. Co znaczyło to niesłychane podrażnienie i zdenerwowanie pogromcy? Dlaczego chciał koniecznie natychmiast wyjeżdżać? Dlaczego potrzebował tak gwałtownie pieniędzy? Dlaczego? Mathews czuł, jak zimny pot występuje mu na czoło. Bał się, bał się okropnie, żeby nie powiedzieć coś niepotrzebnego, żeby nie zaszkodzić jakimś nieopatrzonym słowem przyjacielowi. Proste pytania inspektora wydawały mu się jakąś szatańską zasadzką. Nie, nie, nic nie powie, niczym się nie zdradzi. Będzie uważał na każde swe słowo.

- Czy panu wiadomo, że Borelli miał wrogów? - spytał Hawkins, patrząc uważnie na żonglera. Stary potrząsnął głową.

- Nie, nic o tym nie wiem. Nigdy mnie nie interesowały prywatne sprawy dyrektora.

- O której godzinie przyszedł pan w nocy do cyrku?

- Nie pamiętam. Było dość późno, może była pierwsza, a może później.

- Na razie dziękuję panu, mister Mathews. Niech pan jednak nie wychodzi. Będzie mi pan jeszcze potrzebny.

Żongler skłonił się i odszedł bez słowa. Dwóch wytwornych gentlemanów zbliżyło się do Hawkinsa.

- Jorgens, hallo. Dobrze żeście przyjechali! - zawołał inspektor. - Właśnie na was czekam. A gdzież to Rinc?

- Pozostał przy samochodzie - odparł wyższy mężczyzna - zaraz tu będzie. Masz podobno dla nas pilną robotę.

- Tak - przytaknął Hawkins. - Chodźmy. Zaraz wam wszystko pokażę. - Weszli do sypialni Borelliego. Wykręcone ciało olbrzymiego Włocha sprawiało makabryczne wrażenie.

- Musicie dokładnie opracować cały pokój - powiedział inspektor. - Chcę mieć przed wieczorem wyniki. Zabierajcie się więc zwawo do roboty. Obejrzyjcie sobie najprzód zwłoki, bo chciałbym je oddać jak najprędzej doktorowi Pristowi. Oczekuję was wieczorem w Scotland Yardzie. Pamiętajcie, że sprawa jest bardzo poważna.

- All right - mruknął Jorgens, podchodząc do ciała Borelliego.

- Zostawiam pana, doktorze - zwrócił się Hawkins do lekarza. - Niech się pan zabierze do pracy, gdy tylko oni skończą. Gdyby uważał pan to za konieczne, proszę zrobić sekcję. Nie wolno nam niczego zaniedbać. O wynikach swych badań niech pan będzie łaskaw zawiadomić mnie natychmiast w Scotland Yardzie.

Wydawszy polecenia, inspektor usiadł wygodnie na jakiejś grubej belce i polecił krążącemu obok policjantowi przyprowadzić Mathewsa. Stary żongler pojawił się niebawem. Hawkins ruchem ręki wskazał miejsce obok siebie.

- Niech pan siada, mister Mathews - powiedział swobodnie. -
Przepraszam, że pana niepokoję, ale chciałem pana jeszcze o coś zapytać.

- Słucham - mruknął niechętnie żongler.

- Czy pan wczoraj wieczorem wcześniej wyszedł z cyrku?

- Parę minut po dziesiątej.

- I można wiedzieć, gdzie pan wtedy poszedł?

Mathews spojrział niepewnie.

- Byłem na kolacji w jakimś barze - powiedział, nie patrząc na inspektora.

- Nie przypomina pan sobie - gdzie?

- Nie, nie pamiętam jak się ta restauracja nazywa.

- Sam pan jadł kolację?

- Sam - powiedział twardo żongler.

Czuł instynktownie, że nie należy wymieniać nazwiska Marvana.

- I po kolacji wrócił pan zaraz do cyrku. Czy tak?

- Tak. Wróciłem zaraz do cyrku.

- Bardzo długo trwała ta kolacja - mruknął Hawkins. - Wyszedł pan parę minut po dziesiątej, a wrócił pan do cyrku około drugiej w nocy.

- Spacerowałem trochę - bąknął stary żongler. - Jakoś nie...

- No, mniejsza o to - przerwał inspektor. - Więc po przyjsciu do cyrku około drugiej w nocy zauważył pan, że Borelli jest zamordowany wszczął pan alarm.

- Tak.

- Czy mógłby mnie pan objaśnić, mister Mathews, w jakim celu odwiedzał pan swego dyrektora o drugiej w nocy? Przecież podobno nie był pan jego serdecznym przyjacielem?

Stary żongler zmieszał się bardzo. Pytanie inspektora tak go zaskoczyło, że w pierwszej chwili nie wiedział co ma powiedzieć. Dopiero teraz zrozumiał z przerażeniem, że przedstawiciel Scotland Yardu skierowuje śledztwo w jego stronę. Poczul zimny dreszcz w okolicy krzyża.

- Zauważyłem światło, więc... - zaczął niepewnie.

- Mister Mathews - przerwał ostro Hawkins. - To nie są żarty. Radzę panu rozmawiać ze mną zupełnie szczerze i mówić wszystko co pan wie w tej sprawie. Ostrzegam pana, że wszelkiego rodzaju kręcenie może się bardzo źle dla pana skończyć. Więc niech pan nie próbuje swoich kombinacji.

- Ależ panie inspektorze, ja nie mam nic na sumieniu! - zawołał stary z przerażeniem. - Jakżeż pan może przypuszczać, że ja...

- Ja nic nie przypuszczam - powiedział spokojnie inspektor. - Pytam pana, w jakim celu wszedł pan wśród nocy do sypialni Borelliego?

- Dobrze, powiem wszystko, jak było - zdecydował się Mathews.

- Tak będzie najlepiej, więc?

- Gdy wróciłem w nocy do cyrku spotkałem Patricka - zaczął stary żongler.

- Kto jest Patrick?

- Chłopak, który karmi zwierzęta i sprzęta stajnie.

- Uhm. I cóż ten Patrick?

- Patrick mi powiedział, że dyrektor pobił dotkliwie Somerssa.

- Somerssa. Tego akrobatę?

- Tak.

- No i co dalej?

- Rozgniewało mnie to. Borelli zawsze brutalnie traktował ludzi. Zapragnąłem powiedzieć temu Włochowi co o nim myślę. Zobaczyłem światło w jego sypialni i wszedłem.

- Drzwi nie były zamknięte?

- Nie.

- Dziwne, dziwne - mruknął Hawkins. - Co za odwaga, żeby wśród nocy iść zwymyślać dyrektora. Musiał pan być chyba pijany?

- Wypiłem parę kieliszków, ale byłem zupełnie trzeźwy. Czasem tak coś człowiekowi przyjdzie do głowy, panie inspektorze.

- Tak, tak. Bywa różnie. Czy nic pan już nie ma w tej sprawie do dodania?

- Nie, chyba nic - powiedział po namyśle Mathews.

- Dobrze. Odeślę pana zaraz do Scotland Yardu. Zaczeka pan tam na mnie.

- Czy jestem aresztowany? - zawołał zongler.

- Nic podobnego. Na razie będzie pan naszym gościem w Yardzie - odparł inspektor. - O, dobrze, że jesteś - dodał, zauważywszy nadchodzącego Rinca. - Wydaj polecenie, żeby któryś z naszych ludzi odwiózł do nas mister Mathewsa

- All right! - rzucił krótko detektyw.

Gdy Hawkins pozostał sam, zapalił papierosa i w zamyśleniu zaczął się przechadzać. Cała ta historia wyglądała dość tajemniczo. Opowiadanie starego zonglera nie budziło w najmniejszym stopniu zaufania. Trudno było sobie wyobrazić, aby posługacz bez poważniejszych powodów ośmielił się wejść wśród nocy do dyrektora jedynie po to, aby mu nawymyślać. Z drugiej znowu strony nie wydawało się rzeczą prawdopodobną, aby wątry starowina mógł zadusić olbrzymiego atleę. Śladów ran ani krwi nie spostrzeżono, a ciało Borelliego wskazywało wyraźnie na to, że Włoch został uduszony we śnie. Nie ulegało wątpliwości, że Mathews nie powiedział wszystkiego i że nie chce się z czymś zdradzić. Należało to zbadać. Inspektor zgniótł w palcach papierosa i skinął na przechodzącego policjanta.

- Proszę przyprowadzić tu do mnie miss Biankę Borelli, córkę zamordowanego - rozkazał krótko.

- Yes, sir.

- Czy nikt nie opuścił cyrku od chwili wykrycia zbrodni?

- Nie, sir. Nikogo nie wypuszczamy.

- To dobrze. Idź, przyprowadź mi miss Borelli!

- Yes, sir!

Policjant oddalił się pośpiesznie.

- Co tam słyhać John? - spytał inspektor, zauważywszy zbliżającego się Rinca. - Gdzież ty się zapodziałeś?

- Rozmawiałem z Patrickiem - odparł detektyw.

- Z tym chłopakiem, który karmi zwierzęta w cyrku?

- Właśnie.

- No i co się nowego dowiedziałeś?
- Podobno była tutaj wczoraj straszna awantura.
- Opowiadał ci, jak Borelli pobił Somerssa?
- O tym słyszałem także, ale od kogo innego - mruknął Rinc, zły, że Hawkins wie już o wszystkim. - Patrick opowiadał mi o awanturze z Marvanem.

- Z Marvanem. Z tym pogromcą?

- Tak.

- Nic o tym nie wiem! - zawołał inspektor. - Sprowadź tu zaraz Marvana.

- Marvana nie ma w cyrku.

- Jak to nie ma? Przecież mówiono mi, że nikogo nie wypuszczono na miasto.

- Marvan mieszka w hotelu.

- Ach, tak - mruknął Hawkins. - Czy znasz jego adres?

- Oczywiście.

- To dobrze. Wezwij mi tu tego Patricka.

- All right!

Detektyw oddalił się powoli. W tej chwili nadszedł policjant w towarzystwie Blanki Borelli. Dziewczyna była bardzo blada i oczy miała zaczerwienione od płaczu. Hawkins na jej widok skłonił się bardzo uprzejmie.

- Nazywam się Hawkins - powiedział uchylając kapelusza. - Jestem inspektorem policji. Pani wybaczy, że ją fatyguję, ale chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli pani pozwoli.

- Proszę, niech pan pyta, inspektorze! - szepnęła bezbarwnie Biana.

Hawkins przyjrzał się jej uważnie.

- Widzę, że pani jest bardzo zmęczona - powiedział serdecznie.

- Niech pani odpocznie. Przyślę po panią po południu mój wóz. Wtedy będziemy mogli swobodnie sobie pomówić. Dobrze?

- Jak pan woli. Mnie jest wszystko jedno.

W tej chwili nadszedł Rinc, prowadząc wystraszonego Patricka. Hawkins zauważył, że Biana niespokojnym spojrzeniem obrzuciła

chłopaka.

Lepiej będzie, jeśli naprzód pomówimy z Marvanem - pomyślał inspektor.

- To jest właśnie ten chłopiec, inspektorze - powiedział detektyw.

- Jak się nazywasz? - spytał Hawkins.

- Patrick Smith - odparł chłopak.

- Pracujesz w cyrku?

- Tak.

- Co tu robisz?

- Karmię zwierzęta.

- Czy znasz Mathewsa?

- Oczywiście.

- A Marvana?

- Także. Przecież to nasz pogromca.

- Czy całą noc byłeś w cyrku?

- Tak.

- Z kim rozmawiałeś w nocy?

- Z Mathewsem.

- O której godzinie?

Chłopak zawahał się chwilę.

- Było bardzo późno. Mogła być pierwsza albo druga.

- Co powiedziałaś Mathewsowi?

- Opowiedziałem mu jak dyrektor pobił Somerssa.

- Czy wiesz, dlaczego Borelli pobił Somerssa?

- Nie wiem. O coś się strasznie pokłócili.

- Czy Marvan też brał udział w tej awanturze?

- Nie, Marvana już wtedy nie było w cyrku.

- A czy Marvan także kłócił się z Borellim?

- Tak. Myśleliśmy, że dyrektor zabije Marvana.

- Czy to było przed awanturą z Somerssem?

- Nie, Marvan przyszedł później i dyrektor był już strasznie zdenerwowany.

- Więc Marvan wyszedł z cyrku po swoim numerze i potem

wrócił, chcąc porozmawiać z Borellim?

- Tak. Tak mi się zdaje.

- Jak to ci się zdaje. Musisz wiedzieć na pewno! - nastawał inspektor.

- O ile dobrze pamiętam, to tak było.

Hawkins spojrzał badawczo na chłopaka.

- Czy lubisz Marvana? - spytał po chwili milczenia.

- Bardzo. Podziwiam go. Jest nadzwyczajny.

- A Somerss też jest taki nadzwyczajny?

- Somerssa nie lubię - mruknął Patrick.

- Dlaczegoż to?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Somerss nie jest dobrym człowiekiem.

- Nie jest dobrym człowiekiem?

- Tak.

- Czy zrobił ci coś złego? - spytał inspektor, podchodząc bliżej do chłopca.

- Mnie nie, ale...

- Ale co?

Patrick zawahał się

Mów śmiało! - nastawał Hawkins. - Nikt się nie dowie o naszej rozmowie. Więc...

- Somerss bardzo dokuczał miss Bianca.

- Jak to dokuczał?

- Zalecał się do niej. Prześladował ją. Miss Bianka bała się go.

- Czy sądzisz, że dyrektor pobił Somerssa za to, że się zalecał do miss Bianki?

- Nie wiem; Nie słyszałem o co im poszło.

Inspektor zapalił papierosa.

- Powiedz mi jeszcze Patricku, czy oprócz Somerssa ktoś niepokoił miss Biankę?

- Wiem, że Winkler chciał się z nią żenić, ale miss Blanka kocha Marvana.

- Kto to jest ten Winkler? - spytał z zaciekawieniem Hawkins.

- Występuje w naszym cyrku. Jest klownem.
- Czy możesz go do nas poprosić?

Chłopak potrząsnął głową.

- Winkler nie mieszka tutaj. Ma pokój w Savoyu.
- Czy widziałeś go wczoraj?
- Tak. Miał swój numer jak codziennie.

Inspektor rzucił niedopalonego papierosa i spojrzał na Rinca.

- Czy masz może jakieś pytanie? - spytał zapinając płaszcz.

Detektyw zaprzeczył ruchem ręki.

- Na razie nie. Sądzę jednak, że jeszcze będziemy chcieli pomówić z tym chłopcem.

- I ja tak myślę - zgodził się Hawkins. - Na razie jedziemy.

Skinął głową Patrickowi i ruszyli w kierunku wyjścia.

- Czy chcesz odwiedzić Winklera? - szepnął Rinc.
- Nie. Marvana.

Duża, ciężka limuzyna czekała przed bramą. Inspektor zabrał ze sobą rosnącego policjanta, którego usadowił koło szofera, sam zaś z Rincem usiadł na tylnym siedzeniu. Detektyw podał adres Marvana. Zawarczał motor.

Portier hotelu Astoria spojrzał niespokojnie na zajeżdżający czarny samochód. Instynktownie wyczuwał niezbyt pożądanego gościa. Hawkins wyskoczył z wozu, rzucił jakiś krótki rozkaz policjantowi i energicznym krokiem wszedł do hallu.

- Czy jest mister Marvan? - spytał bez żadnych wstępów.
- Nie - odparł uprzejmie portier - mister Marvan wyszedł na miasto przed chwilą. Powiedział, że zaraz wróci.

- Który numer zajmuje mister Marvan?

Portier zawahał się przez chwilę.

- Jesteśmy ze Scotland Yardu - wyjaśnił Hawkins. - Proszę nas natychmiast zaprowadzić do pokoju pogromcy.

Portier bez słowa wyjął klucz i skinął na służącego. Inspektor z Rincem wsiedli do windy, barczysty policjant zaś zajął miejsce w hallu pod oknem i zapalił fajkę. Marvan mieszkał na drugim piętrze. Numerowy otworzył drzwi i wprowadził w milczeniu niezwykłych

gości. Widać było, że jest ogromnie zdenerwowany. Hawkins wszedł śmiało i rozejrzał się bacznie dokoła. Nie trzeba było zbyt wnikliwego obserwatora, aby się zorientować, że wszystko tu jest przygotowane do wyjazdu. W całym pokoju panował nieprawdopodobny nieporządek, a pod oknem stały równo ustawione cztery duże walizy. Inspektor ruchem ręki odprawił służącego i zamknął drzwi.

- Marvan szykuje się do podróży - mruknął jakby do siebie.

- Yes - przytaknął Rinc. - I to bardzo pośpiesznie. To bardzo ciekawe.

- Warto by się tu trochę rozejrzeć - powiedział inspektor, podchodząc do otwartej szafy. - Chętnie bym też zajrzał do tych waliz. Co ty o tym sądzisz?

Detektyw nie zdążył odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem i na progu stanął Marvan. Był blady, a usta miał zaciśnięte.

- Co to ma znaczyć? Czego tu chcecie?! - zawołał ostro.

Hawkins spokojnie wyjął swą legitymację.

- - Jestem inspektor Hawkins ze Scotland Yardu - powiedział z flegmą. - Chciałbym prosić o chwilę rozmowy, mister Marvan. Pan pozwoli, że panu przedstawię mego asystenta mister Rinca. Postaram się nie zabrać panu zbyt wiele czasu.

Spokojny ton inspektora podziałał na pogromcę. Spojrzał wprawdzie jeszcze groźnie na nieproszonych gości, ale widocznie zrezygnował z awantury, gdyż szorstkim ruchem ręki wskazał krzesła.

- Niech panowie siadają, proszę - rzucił niezbyt uprzejmie. - Słucham, o cóż to chodzi?

Pan pracuje w cyrku Borelliego. Czy tak? - spytał grzecznie Hawkins.

- Tak.

- I jest pan pogromcą dzikich zwierząt?

- Tak.

- Czy był pan wczoraj w cyrku?

- Oczywiście. Co wieczór przecież mam swój numer.
- Czy rozmawiał pan wczoraj z mister Borelli?
- Codziennie z nim rozmawiam. Nie rozumiem - zdziwił się

pogromca.

- Chwileczkę. Zaraz pan zrozumie - powiedział wolno Inspektor, obserwując badawczo twarz młodego człowieka. - Czy nie prowadził pan przypadkiem wczoraj ze swoim dyrektorem jakiejś rozmowy o specjalnym dla pana znaczeniu?

- To są moje prywatne sprawy - mruknął Marvan.
- Doskonale, doskonale. A czy pan wie, że Borelli został tej nocy zamordowany?

Pogromca zerwał się gwałtownie z miejsca. Na twarzy jego malowało się zdumienie połączone z przerażeniem.

- Zamordowany! Borelli! Niemożliwe!!!
- Niestety. Zupełnie możliwe, mister Marvan. Zupełnie.
- Kto to zrobił? Jak to się stało?
- Właśnie, właśnie, to nas bardzo interesuje - rzucił skwapliwie

Hawkins. - Może pan mógłby nam coś wyjaśnić w tej sprawie?

- Jak to ja! - zachnął się Marvan.

Inspektor począł się bawić łańcuszkiem od zegarka. Wyglądał na człowieka bardzo zakłopotanego.

- Widzi pan - zaczął po chwili. - Sądziłem, że pan, stojący tak blisko Borelliego, będzie mógł rzucić jakieś światło na...

- Jak to blisko stojący Borelliego! Jak pan to rozumie?
- Słyszałem, że pan jest zaręczony z jego córką - uśmiechnął się inspektor.

- Proszę nie mieszać do tego wszystkiego tej dziewczyny - krzyknął porywczo pogromca. - Ona...

- Co, ona? - podjął Rinc.

Inspektor zgromił go spojrzeniem.

- Nie, nie, nic - mruknął Marvan. - Wybaczcie mi, panowie! Jestem bardzo zdenerwowany. Nie wiem co mam mówić.

- Niech się pan uspokoi! - powiedział łagodnie Hawkins. - Nie mamy przecież zamiaru obrażać pańskiej narzeczonej. Chcieliśmy

tylko dowiedzieć się od pana czegoś bliższego o stosunkach panujących w cyrku Borelliego. Pan rozumie, że tylko tą drogą możemy dojść do wykrycia zbrodni.

Marvan potarł ręką czoło.

- Tak, tak oczywiście.

Inspektor poczęstował go papierosem.

- I pan naprawdę nic nie wiedział o śmierci Borelliego? - rzucił nagle Hawkins.

Marvan zerwał się. Był bardzo blady.

- Co to ma znaczyć? - zawołał podniecony. - Przecież widzieliście chyba, jak mnie zaskoczyła ta wiadomość.

- Pan wybiera się w podróż? - spytał spokojnie inspektor, nie zważając na wybuch pogromcy.

Marvan spojrział na swoje walizy.

- Oczywiście.

- Jakaś chyba nagła decyzja?

- Tak.

- Niech pan zapali, to panu dobrze zrobi - uśmiechnął się przyjacielsko. - Czy dawno pan pracuje u Borelliego?

- Cztery lata.

- A czy dawno jest pan zaręczony z miss Bianką?

- Dwa lata.

- Czy stary Borelli panu sprzyjał?

Marvan skrzywił się niechętnie. Widać było, że te pytania drażnią go w straszny sposób.

- Borelli był przeciwny naszemu małżeństwu - odparł wreszcie z trudem.

- Czy dlatego, że chciał wydać córkę za kogo innego? - spytał inspektor.

- Tak. Za Hollay'a.

- Za tego przemysłowca?

- Tak.

- Skończył się już chyba panu kontrakt z Borellim - zauważył Hawkins.

- Nie.

- Więc.

- Postanowiłem zerwać kontrakt i wyjechać! - krzyknął pogromca. - Chyba mi wolno wyjechać i zerwać kontrakt.

- Oczywiście, że panu wolno, oczywiście - przytaknął skwapliwie inspektor. - Nikt przecież nie może panu zabronić. Absolutnie nikt.

- Więc dlaczego panów tak to dziwi?

- Nie, nic nas nie dziwi. Zdaje się panu, mister Marvan. Jest pan tylko dzisiaj wyjątkowo zdenerwowany i dlatego.

- Widocznie mam swoje powody, żeby być zdenerwowanym - rzucił pogromca.

- Niewątpliwie tak. Zdawało mi się jednak, że pogromca dzikich zwierząt powinien być człowiekiem bardziej opanowanym.

Marvan milczał ponuro.

- Chciałbym panu zadać jeszcze jedno pytanie, mister Marvan - ciągnął dalej Hawkins. Czy mógłby mnie pan objaśnić, dokąd pan poszedł wieczorem po wyjściu z cyrku?

- Byłem na kolacji.

- Gdzie?

- U Ritza.

- Czy był pan tam sam, czy też w towarzystwie?

- Byłem z Mathewsem.

Inspektor nadstawił pilnie ucha.

- Z tym cyrkowcem?

- Tak. Dlaczego pana to tak interesuje?

- Tak pytam. Chciałbym jeszcze wiedzieć, jaki jest stosunek pana do tego Mathewsa?

- Zaprzyjaźniłem się z nim. To bardzo porządny starowina.

- Czy Mathews miał jakieś zatargi z Borellim?

- Nigdy o tym nie słyszałem. Cóż Borelli mógłby mieć wspólnego z tym starym?

Hawkins w zamyśleniu bębnił palcami po stole, patrząc w okno. Nagle, jakby powziąwszy jakąś decyzję, wstał ze swego miejsca i

zapiął płaszcz.

- Dziękuję panu, mister Marvan - powiedział uprzejmie. - Nie będę panu więcej zabierał czasu. Muszę jednak pana prosić, aby pan nie opuszczał Londynu.

- Czy to znaczy, że jestem aresztowany?! - zawołał Marvan.

Hawkins potrząsnął głową.

- Nie, nie jest pan aresztowany, ale pańska osoba jest mi potrzebna do śledztwa i jeśli pan zechce się przychylić do mej prośby, nie spotka pana żadna przykrość. Sądzę, że nie będzie pan usiłował opuścić Londynu.

- Nie mam innego wyjścia jak zastosować się do pańskiego życzenia - mruknął pogromca. - Rozumiem to doskonale.

- To bardzo dobrze, mister Marvan. Do widzenia panu! - powiedział Hawkins i dodał zwracając się do Rinca. - Musimy już jechać.

Na dole w hallu inspektor wydał jakieś polecenie czekającemu cierpliwie policjantowi i wraz z detektywem wsiadł do samochodu.

- Co pan sądzi o tym wszystkim? - spytał półgłosem Rinc, gdy maszyna ruszyła z miejsca. - Ten pogromca wydaje mi się bardzo podejrzany.

- Nic jeszcze nie mogę powiedzieć na ten temat - mruknął w zamyśleniu inspektor. - Wydaje mi się jednak, że Marvan nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą.

- Tak pan sądzi?

- Takie odniosłem wrażenie. Nie jest jednak wykluczone, że się mylę.

- To dziwne - powiedział Rinc. - Gdybym ja prowadził śledztwo, to po tej rozmowie kazałbym od razu aresztować Marvana.

- Bo jesteś jeszcze młody i niedoświadczony, mój chłopcze - uśmiechnął się Hawkins. - W tego rodzaju wypadkach trzeba się przede wszystkim kierować podstawowymi zasadami psychologii ludzkiej.

- Te wszystkie naukowe teorie przeważnie w praktyce zawodzą - skrzywił się Rinc. - Nie można ludzi oceniać według stworzonego

szablonu.

- Masz rację. Istnieją jednakże ogólne reguły, według których postępujemy. W pewnych szablonowych wypadkach dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi zachowuje się niemal identycznie. Oczywiście, że zdarzają się wyjątki, jeżeli spotkamy się z psychiką nieprzeciętną. Marvan należy do ludzi o bardzo prostej konstrukcji psychicznej i dlatego po rozmowie z nim jestem prawie pewien, że on nie ma nic wspólnego z morderstwem Borelliego.

Rinc z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Byłbym zupełnie innego zdania - powiedział w zamyśleniu. - Pogromca jest nazbyt podniecony.

- No, zobaczymy - uśmiechnął się Hawkins. - Mam nadzieję, że w niedługim czasie będziemy znali prawdę.

W tej chwili samochód się zatrzymał.

- Czy chcesz, żebym tutaj wysiadł? - spytał detektyw.

- Tak, pójdiesz do „Savoyu” i przywieziesz mi do Yardu tego Winklera. Z tym człowiekiem musimy też dla porządku porozmawiać. Gdyby go nie było w hotelu, poczekasz na niego.

- All right! - rzucił Rinc, wyskakując z wozu.

Był trochę zły na Hawkinsa, że używa go do takich prymitywnych funkcji. Inspektor wydał rozkaz szoferowi i pojechał na lunch do Ritza. Był bardzo głodny.

Elegancka restauracja była wypełniona po brzegi. O znalezieniu wolnego miejsca nie można było marzyć. Kilka osób rozglądało się bezradnie po sali. Na szczęście maitre d'hotel znał osobiście Hawkinsa i natychmiast kazał dostawić jakiś stoliczek. Inspektor zamówił pośpiesznie lunch i skinął na gospodarza sali.

- Niech mi pan powie, kto z personelu znajdującego się obecnie w lokalu, był wczorajszej nocy na służbie.

- Czy się co stało, inspektorze? - zawołał niespokojnie maitre d'hotel.

- Nie, nic takiego - uspokoił go Hawkins. - Niech mi pan odpowie na pytanie.

Maitre d'hotel zastanowił się chwilę.

- Nocni kelnerzy przyjdą dopiero na służbę wieczorem - powiedział półgłosem - jedynie szatniarz mógłby może pana objaśnić.

- Dobrze, dziękuję - inspektor sięgnął ręką po ilustrowane pismo, na okładce którego widniało duże zdjęcie Marvana w stroju pogromcy, a następnie wstał i wyszedł do szatni.

- Pan był tu wczoraj przez całą noc? - spytał, częstując szatniarza papierosem.

- Yes sir.

- Czy nie zauważył pan wczoraj na sali tego człowieka? - pytał dalej inspektor, pokazując zdjęcie.

- Tak jest. To pogromca Marvan. Byłem w zeszłym tygodniu na jego występie. Poznałem go od razu, gdy tylko przyszedł tutaj.

- O której godzinie mógł być tutaj wczoraj mister Marvan?

Szatniarz pomyślał chwilę.

- Wydaje mi się, że było już po północy. Jim był już zupełnie pijany.

- Czy Marvan był sam?

- Nie. Siedział razem z jakimś starszym jegomościem. Obserwowałem ich z daleka. Nie ma pan pojęcia, jakie ten pogromca pokazywał sztuki z dzikimi zwierzętami. Coś nadzwyczajnego. Chciałem go wczoraj poprosić o autograf, ale zabrakło mi w ostatniej chwili odwagi. Może...

- Dziękuję - przerwał inspektor. - To mi wystarczy, Hawkins powrócił do swego stolika i pośpiesznie zjadł lunch, który mu właśnie podano.

Maitre d'hotel zbliżył się do niego niepostrzeżenie.

- Czy pan inspektor zadowolony jest z otrzymanych informacji? - spytał uprzejmie.

- Tak - odparł Hawkins.

Zapłacił i pośpieszył do samochodu. Był dosyć zadowolony dotychczas ze swej pracy. Nie miał jeszcze co prawda stworzonej żadnej konkretnej koncepcji co do całej sprawy, ale czuł, że wszystko to skryształizuje się w niedługim czasie.

- Do Scotland Yardu! - rzucił szoferowi
- Yes sir.

Duża limuzyna ruszyła z miejsca. Gdy inspektor przyjechał do Scotland Yardu, Rinc już siedział za swoim biurkiem.

- Jest Winkler? - spytał od razu Hawkins.
- Yes.
- A Mathews?
- Czeka od dawna.

- To dobrze. Każ zaraz przyprowadzić Mathewsa do mego gabinetu, a sam weź wóz i jedź po Biankę Borelli. Zabierz z sobą na wszelki wypadek dwóch ludzi do pomocy.

- All right - rzucił lakonicznie detektyw i wyszedł.

Hawkins zaś przeniósł się do swego gabinetu i czekał, kreśląc coś na kawałku papieru. Poczynał odczuwać lekkie zdenerwowanie. Wiedział, że niedługo będzie rozmawiać z Mellersonem i chciał koniecznie stworzyć sobie jakąś teorię morderstwa. Nie miał odwagi stanąć przed szefem bez konkretnych wyników śledztwa. I tak już ta ostatnia sprawa z brylantami bardzo podważyła jego opinię w oczach całego Yardu. Nie było w tym oczywiście jego winy, ale trudno takie rzeczy ludziom wytłumaczyć. W tej chwili zapukano do drzwi.

- Come in! - rzucił inspektor.

Wszedł Mathews. Żongler twarz miał zmęczoną i jakby zgaszoną. Pochylił się z rezygnacją i tylko od czasu do czasu jego wypłowiałe oczy rzucały niespokojne, trwożne błyski.

- Niech pan siada, mister Mathews - powiedział inspektor, wskazując krzesło. - Przepraszam pana, że pan tak długo na mnie czekał.

- Nie szkodzi - mruknął stary. - Jestem przyzwyczajony.

Hawkins podał mu pudełko z papierosami. Stary sięgnął łąpczywie i zapalił pośpiesznie.

- Panie Mathews - zaczął inspektor. - Chciałbym pana o coś zapytać na wstępie.

- Proszę bardzo. Słucham.
- Dlaczego pan kłamie?

Stary drgnął gwałtownie i wystraszone spojrzenie utkwiał w inspektorze. Widać było, że wszystkimi siłami stara się odgadnąć o co chodzi.

- Ależ panie inspektorze. Ja, ja?...
- Dlaczego pan kłamie? - powtórzył ostro Hawkins.
- Ja kłamię?

Głos Mathewsa załamał się z przejęcia.

- Tak, pan. Pytałem pana, co pan robił wczoraj wieczorem po wyjściu z cyrku. Powiedział mi pan, że zjadł pan kolację w jakiejś przygodnej restauracji, której nazwy pan nawet nie pamięta. Na moje zapytanie, z kim pan jadł kolację, odpowiedział pan, że był pan zupełnie sam. Tak czy nie?

- Tak jest, panie inspektorze - wyszeptał niepewnie.
- Rozmawiałem z pańskim przyjacielem Marvanem - ciągnął dalej Hawkins, nie spuszczać oczu z twarzy Mathewsa - który oświadczył, że ostatniej nocy był w pańskim towarzystwie u Ritza. Szatniarz z tego lokalu potwierdza to stanowczo. Więc... Dlaczego pan kłamie, mister Mathews? Dlaczego pan kłamie?

Inspektor przechylił się przez biurko i ze specjalnym naciskiem powiedział ostatnie zdanie. Stary zongler skurczył się jeszcze bardziej, jak zagonione w kąt zwierzę.

- Panie inspektorze, ja rzeczywiście - bąknął niewyraźnie.
- Więc przyznaje się pan do kłamstwa? - nastawał Hawkins.
- Cóż mam robić! Przecież to jasne. Pan inspektor wszystko wie.
- Więc dlaczego pan skłamał? Czy może mi pan wyjaśnić?

Stary zawahał się chwilę. Inspektor zauważył to momentalnie.

- Tylko ostrzegam pana! - zawołał groźnie. - Niech pan nie próbuje znowu kręcić, bo to się źle skończy.
- Ależ panie inspektorze, nie mam zamiaru.
- Więc słucham.
- Marvan jest moim serdecznym przyjacielem - zaczął. - Kocham go prawie jak własnego syna, panie inspektorze, więc po prostu...

- Więc co?
- Więc bałem się, żeby...
- Niechże pan mówi nareszcie po ludzku - zniecierpliwiał się

Hawkins.

- Kiedy, bo, bo ja nie wiem jak to wszystko... - płatał się Mathews.

- To w takim razie ja panu wszystko wyjaśnię - przerwał inspektor. - Powiem panu, jak to było. Pomogę panu. Marvan miał jakąś poważniejszą awanturę z Borellim. Pan nie chciał powiedzieć, że byliście razem na kolacji, ponieważ nie chciał pan mieszać nazwiska Marvana do tej sprawy. Bał się pan, że Marvan w przystępie gniewu...

- Panie inspektorze! Na miłość boską, panie inspektorze! - krzyknął stary żongler w najwyższym przerażeniu.

- Dosyć! - uciął ostro Hawkins. - To wszystko. Może pan odejść. Na razie jest pan wolny. Proszę nie opuszczać Londynu i być w każdej chwili do mojej dyspozycji.

Stary Mathews podniósł się ciężko z miejsca i powlókł się w kierunku drzwi. Robił wrażenie człowieka całkowicie złamanego.

Hawkins zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju. Musiał się trochę uspokoić i zebrać myśli. Cała ta sprawa wyglądała tajemniczo. Dotychczas najbardziej obciążające poszlaki były mimo wszystko przeciwko Marvanowi, ale inspektor miał głębokie wewnętrzne przekonanie, że pogromca jest na pewno niewinny. Zbrodniarz nie zachowuje się i nie rozumuje w ten sposób. Postać żonglera właściwie odpadała zupełnie. Trudno było przypuścić, ażeby ten starowina mógł udusić olbrzymiego Włocha, chyba, żeby go przedtem otruł. W każdym bądź razie należało jeszcze przesłuchać Biankę, Winklera i czekać spokojnie na rezultat pracy doktora Prista i Jorgensa. Odciski palców mogą bardzo dużo wyjaśnić. Somerss chyba nie może wchodzić w rachubę w tej sprawie, ponieważ Borelli przed śmiercią tak pobił akrobatę, że był on właściwie zupełnie unieszkodliwiony. Tak rozmyślając inspektor nacisnął dzwonek.

Natychmiast pojawił się dyżurny policjant.

- Czy inspektor Rinc już wrócił? - spytał Hawkins.
- Yes sir. Czeka na dole.
- Poproś go do mnie!
- Yes sir. - Policjant zniknął błyskawicznie.

Po chwili wszedł Rinc. Detektyw miał wygląd człowieka zniechęconego i zmęczonego.

- Siadaj John - powiedział Hawkins. - Cóżżeś taki skwaśniały?
- Nie podoba mi się ta cała sprawa - mruknął detektyw.
- Cóż tam nowego?
- Właśnie, że nic. Pracujemy od rana i właściwie nic nie zmądrzeli. Wszystko jest ciągle niezwykle tajemnicze. Nie wiem, jak my z tego wybrniemy.

- Masz za duże wymagania, mój drogi - zaśmiał się Hawkins. - Takich spraw nie wyświeśla się w jeden dzień. Gdyby tak było, to cały Scotland Yard należałoby zlikwidować. Zwyczajny posterunkowy prowadziłby dochodzenia i koniec. Powiedz mi lepiej, czy przywiozłeś tu do nas piękną miss Borelli?

- Tak. Przywiozłem.
- No i cóż ty o niej sądzisz?
- Jest bardzo ładna.
- No, dobrze, dobrze. Nie o to mi chodzi. Sam widziałem, że jest ładna. Chciałbym wiedzieć, co ty o niej sądzisz. Musiałeś przecież z nią rozmawiać trochę dłużej.

Rinc pomyślał chwilę.

- No, cóż - powiedział wreszcie - dziewczyna jest niemożliwie zdenerwowana. Zresztą, nie można się dziwić. Straciła ojca tak tragicznie. Poza tym...

- Co poza tym?
- Wydaje mi się, że drży o Marvana. Chciała się koniecznie czegoś o nim dowiedzieć.

- Czy wyczułeś, że miss Borelli bardzo rozpacza po stracie ojca?

Rinc zapalił powoli papierosa.

- Wiesz, wydaje mi się, że nie bardzo.
- I ja odniosłem to samo wrażenie. Stary Borelli nie był zbyt rozkosznym ojczulkiem.

- Słuchaj no, Hawkins - powiedział nagle detektyw. - W tej chwili przychodzi mi jedna myśl do głowy

- To bardzo cenne. Mów prędko!
- Nie żartuj. Naprawdę wartoby się nad tym zastanowić!
- Nad czym?

Rinc wstał i podszedł do okna.

- Cały czas szukamy mordercy pomiędzy cyrkowcami. Czy nie sądzisz, że mógłby to być ktoś nie z cyrku?

Hawkins się uśmiechnął.

- Myślę o tym od samego początku, mój drogi. Ale na razie musimy zbadać stosunki cyrkowe, ażebyśmy mogli stworzyć sobie pewien obraz życia Borelliego. Możliwe, że w tym czasie wyłoni się coś zupełnie niespodziewanego. Bardzo możliwe.

- Czy chcesz teraz mówić z miss Borelli?

- Tak. Poproś ją do mnie, a ty tymczasem pogadaj sobie z Winklerem.

- All right.

Rinc wyszedł, pozostawiając po sobie zapach dobrej wody kolońskiej. Gdy zapukano do drzwi, Hawkins odruchowo poprawił krawat.

- Come in!

Weszła Bianka. Dziewczyna była zdenerwowana i nienaturalnie podniecona. Nic nie pozostało z jej spokojnego, zrównoważonego nastroju, w jakim ją inspektor zastał z rana.

- Nie rozumiem czego pan właściwie chce ode mnie! - zawołała, stając przed biurkiem inspektora.

- Niech pani będzie łaskawa siadać, miss Borelli - uśmiechnął się uprzejmie Hawkins, wskazując krzesło. - Żałuję bardzo, że byłem zmuszony trudzić panią o tej porze, chciałbym się jednak czegoś dowiedzieć. Przecież chyba pani zechce mi dopomóc w wykryciu sprawcy tego nieszczęścia?

- Ja nic nie wiem w tej sprawie i nic panu nie mogę pomóc. Jestem bardzo zmęczona i chciałabym, abyście mnie wszyscy pozostawili w spokoju.

- Postaram się bardzo pani nie męczyć - powiedział Hawkins. - Niech pani zechce łaskawie trochę się uspokoić i odpowiedzieć na parę moich pytań.

- Słucham.

Inspektor zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju. Znać było, że zastanawia się nad tym od czego ma zacząć.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli może niektóre moje pytania będą trochę kłopotliwe.

- Słucham pana.

- Czy pani dawno zna mister Marvana?

- Cztery lata.

- Czy to prawda, że państwo są ze sobą zaręczeni?

- Tak.

- Jak do tej sprawy ustosunkował się ojciec pani?

- Ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć.

- I cóż pani na to? Co pani wreszcie postanowiła?

- Postanowiłam poślubić Marvana wbrew woli ojca.

- I co dalej?

- I wyjechać.

- Kiedy zapadło to postanowienie?

- Wczoraj.

- I kiedy miała pani wyjechać ze swym narzeczonym?

- Choćby dzisiaj.

Hawkins spojrział na dziewczynę z zainteresowaniem.

- Dzisiaj?

- Tak.

- Czy widziała pani dziś swego narzeczonego?

- Nie. Policja nie wypuszczała nikogo z cyrku. Byłam uwięziona.

- Żałuję bardzo, że tak się stało - powiedział inspektor. - Wydam zaraz zarządzenie, aby nie czyniono pani żadnych trudności.

- Dziękuję panu.

Uprzejme zachowanie się inspektora podziało na dziewczynę uspokajająco.

- Chciałbym jeszcze o coś zapytać - odezwał się po chwili Hawkins.

- Słucham.

- Proszę mi jednak obiecać, że pani nie weźmie mi za złe tego pytania.

- Dobrze. Postaram się.

- Czy miała pani na terenie cyrku jeszcze innych adoratorów?

Tak - odparła Bianka niechętnie.

- Czy można wiedzieć, kto to był?

- Winkler.

- Czy tylko Winkler?

- I Somerss.

- A jak pani odnosiła się do tych ludzi?

- Jak najgorzej. Miałam z tego powodu bardzo wiele przykrości. Właśnie wczoraj.

Inspektor pilnie nadstawił ucha.

- Co wczoraj?

- Wczoraj doszło do strasznej awantury między moim ojcem i Somerssem.

- O co poszło?

- Somerss przyszedł do mojej garderoby. Był trochę pijany i zachowywał się niesłychanie bezczelnie. Musiałam się bronić. Narobiłam hałasu. Przyszedł mój ojciec i strasznie pobił Somerssa. Ojciec był bardzo silny i nie zawsze zdawał sobie sprawę z tej siły. Mógł niechcący zabić człowieka.

- Czy to prawda, że ojciec pani był niegdyś atletą ciężkiej wagi?

- Tak. Był nawet zwycięzcą w turnieju międzynarodowym.

- Czy pani wiadomo, że wczoraj Marvan rozmawiał z pani ojcem? - spytał nagle inspektor.

Bianka niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Marvan? - spytała bezdźwięcznie, chcąc zyskać na czasie.
 - Tak. Pytam, czy pani coś wie o tej rozmowie?
 - Nie. To jest nie bardzo.
 - Jak to? Nie rozumiem?
 - To znaczy, nie wiem dokładnie, jaki miała przebieg ta rozmowa, ponieważ potem nie widziałam się już z Marvanem.
 - Czy pani pali? - spytał niespodziewanie Hawkins podając papierosy.
 - Nie. Dziękuję - odparła trochę zaskoczona dziewczyna.
 - Proszę mi jeszcze powiedzieć, dlaczego właściwie ojciec był taki przeciwny temu małżeństwu z Marvanem?
- Bianka zawahała się przez chwilę.
- Ojciec nie lubił Marvana - powiedziała cicho.
 - Nie lubił Marvana? Dlaczego?
 - Nie wiem. Może mieli jakieś dawne nieporozumienia, a poza tym...
 - Co poza tym?
 - Poza tym ojciec chciał mnie wydać za mąż za kogo innego i nie znosił Marvana, że mu krzyżuje plany.
 - A czy nie będę niedyskretny pytając, za kogo chciał ojciec wydać panią za mąż? - spytał inspektor uśmiechając się uprzejmie.
 - Za Hollay'a.
 - Cóż to za jeden?
 - Bogacz. Milioner.
 - I pani nie chciała go poślubić?
 - Za nic w świecie. To wstrętny typ.
 - Wstrętny. Dlaczego?
 - Nie wiem. Nie znoszę go. Czuję do niego odrazę.
 - Nie chcę pani już dłużej dręczyć, miss Borelli. Niech pani pojedzie odpocząć. Obiecuję, że nie będzie pani miała żadnych przykrości ze strony policji. Jestem tylko zmuszony panią prosić, aby pani nie wyjeżdżała na razie z Londynu. Mam nadzieję, że pani spełni moją prośbę.
 - A jeśli nie spełnię, to co?

- To może się pani spotkać pewnymi trudnościami na dworcu kolejowym, więc nie radziłbym.

- Rozumiem. Zastosuję się do pańskiego życzenia, inspektorze.

- Dziękuję pani i nie zatrzymuję pani dłużej.

Bianka wstała i skłoniwszy lekko głowę, wyszła z pokoju pewnym stanowczym krokiem. Hawkins patrzył w ślad za nią, obracając w palcach ołówki. Wreszcie zadzwonił.

- Wprowadzić Winklera! - rzucił krótki rozkaz, gdy policjant ukazał się w drzwiach.

Po chwili człowiek o szarej twarzy stanął przed inspektorem.

- Nazwisko?

- Winkler.

- Imię?

- Edgar.

- Zawód?

- Cyrkowiec.

- Pracuje pan w cyrku Borelliego?

- Tak jest.

- W jakim charakterze?

- Jestem kłownem.

- Czy był pan wczoraj w cyrku?

- Tak. Miałem swój numer jak codziennie.

- O której miał pan swój numer?

- Parę minut po dziewiątej.

- Co pan wie w sprawie morderstwa Borelliego?

Winkler spojrzał zdziwiony.

- Jak to, co ja wiem, panie inspektorze? Cóż ja mogę wiedzieć w tej sprawie? Mieszkam w „Savoyu”, jak panu inspektorowi wiadomo i zaraz po swoim numerze poszedłem do hotelu. Portier może zaświadczyć, że byłem już u siebie przed dziesiątą wieczorem. Położyłem się wcześniej, bo jakoś źle się wczoraj czułem. Ta pogoda jest zabójcza.

Ten typ zapewnia sobie na wszelki wypadek alibi - pomyślał Hawkins, spoglądając spod oka na Winklera.

- No, to jeżeli pan tak wcześnie poszedł do łóżka - powiedział głośno - to nie mógł pan oczywiście słyszeć awantury z Somerssem.

- Nie, nic o tym nie wiem.

- No dobrze, a może mi pan w takim razie powie, jakie zamiary miał pan w stosunku do miss Borelli.

- To są moje prywatne sprawy - odpowiedział energicznie Winkler. Hawkins zmrużył oczy.

- Zwracam panu uwagę, mister Winkler, że nie znajduje się pan w salonie, a na śledztwie! - syknął groźnie. - Radzę odpowiadać na pytania.

- Co pan inspektor chce wiedzieć? - powiedział ugodowo kłown.

- Pytałem, jakie pan miał zamiary w stosunku do miss Borelli?

- Chciałem się z nią ożenić.

- A ona?

- Odmówiła mi stanowczo.

- A jakie stosunki łączyły pana z Borellim?

- Jak najlepsze. Dyrektor darzył mnie dużym zaufaniem.

- Czy pan był już karany sądownie? - spytał nagle Hawkins.

- Ja? Nie. Skądże znowu! - zaprzeczył gwałtownie Winkler.

- W jakim garniturze był pan wczoraj?

Kłown spojrzał zdumiony.

- Słucham? Nie rozumiem?

- Czego pan nie rozumie? Przecież chyba wyraźnie pytam. Jaki pan wczoraj nosił garnitur?

- Ten sam co dzisiaj.

Hawkins spojrzał uważnie.

- Dziękuję panu, mister Winkler - powiedział sucho. - Może pan odejść. Proszę pod żadnym pozorem nie opuszczać Londynu.

- Nie mam zamiaru.

- To się bardzo dobrze składa. Do widzenia panu!

- Do widzenia!

Gdy drzwi się zamknęły za Winklerem, Hawkins potarł w zamyśleniu czoło i zanotowawszy coś na kartce papieru położył rękę

na telefonie. W tej chwili zapukano do drzwi. Wszedł Rinc.

- Co nowego, John? - spytał inspektor.
- Doktor Prist przyjechał. Zaraz tu będzie.
- Czy mówił ci coś?
- Nie. Chce się osobiście zobaczyć z tobą.
- Idź po niego! Czekam przecież na wynik badań.

Detektyw wszedł i po chwili powrócił w towarzystwie doktora. Staruszek pozdrowił Hawkinsa i usiadł pośpiesznie. Robił wrażenie człowieka bardzo zaaferowanego.

- No i cóż, doktorze? - spytał inspektor.
- Zbadałem trupa.
- Jakież rezultaty badania?
- Nic specjalnie ciekawego. Zwykłe uduszenie. Zupełnie szablonowy przypadek.

- Czy nie stwierdził pan objawów jakiegoś zatrucia?
- Nie.
- Czy nie wydaje się to panu dziwne, doktorze, żeby taki olbrzym, atleta pozwolił się udusić?

Doktor Prist zastanowił się chwilę.

- Przyznaję, że to jest dość dziwne - powiedział z namysłem. - Ciało jest rzeczywiście niebywale muskularne. Ten człowiek musiał odznaczać się potężną siłą.

- No właśnie. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, ażeby go ktoś zdołał tak po prostu udusić rękami.

- A jednak to nie ulega wątpliwości.
- Musiał trafić na jeszcze silniejszego - zauważył Rinc.

Hawkins przeszedł się po pokoju.

- Nadzwyczajne, nadzwyczajne - mrucał zamyślony - i jest pan zupełnie pewien, że wyłącznie uduszenie było przyczyną śmierci?

- Najzupełniej. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszystkie charakterystyczne symptomy stwierdziłem bardzo dokładnie.

- Czy Jorgens i Chaney jeszcze nie wrócili? - spytał nagle

inspektor.

- Jeszcze nie, ale niedługo powinni nadjechać.

- Czy uważa pan, że sekcja jest w danym wypadku niepotrzebna?

- Mam wrażenie, że to jest najzupełniej zbędne - odparł Prist. - Nie mam żadnych powodów przypuszczać, aby sekcja mogła wykazać coś nowego.

- Dziękuję panu, doktorze - powiedział Hawkins. - Niech pan będzie łaskaw złożyć mi swe orzeczenie na piśmie. Muszę je dołączyć do akt sprawy.

- All right! - mruknął stary.

Podniósł się ociężale z krzesła i nie żegnając się z nikim, wyszedł z pokoju. Inspektor spojrzął na Rinca.

- Cóż ty na to? - spytał, częstując przyjaciela papierosami.

- No cóż, nic! Zobaczymy! Na razie trudno coś mądrego wymyślić.

- Nie mogę jakoś uwierzyć w to uduszenie - mówił Hawkins. - To musiałby być jakiś nie lada atleta. W każdym razie nie wydaje mi się, aby to mógł być ktoś z cyrku.

- I ja tak myślę - przytaknął Rinc - Czy rozmówiłeś się z miss Borelli?

- Tak.

- Z jakim rezultatem?

- Właściwie z żadnym. Wydaje mi się, że ta dziewczyna wie więcej, aniżeli chce powiedzieć. Kocha tego Marvana i drży o niego. Nie jest przy tym pewna niewinności pogromcy. Wszystko to jednak nie rzuca wyraźniejszego światła na sprawę, a teraz opinia doktora Prista w ogóle zmienia wszystko. Gdybyśmy nawet przyjęli, że Marvan jest mordercą, to przecież niepodobna przypuścić, aby ten chłopak zdołał udusić Borelliego.

- A może Borelli był pijany? - zauważył detektyw.

- O ile wiem, to nie pił prawie wcale, a poza tym Prist byłby niewątpliwie zauważył działanie alkoholu. To nie jest koncepcja przekonująca.

- Więc?
- Na razie musimy czekać na wyniki badań Jorgensa. Mam nadzieję, że uzyskamy jakiś konkretniejszy materiał.

Zadzwiećcał telefon.

- Hallo! - rzucił inspektor w słuchawkę.

Dano znać, że Jorgens i Chaney przyjechali i chcą się widzieć z inspektorem.

Zapukano do drzwi. Jorgens i Chaney weszli pospiesznie do gabinetu. Obaj byli bardzo zmęczeni, ale i podnieceni zarazem.

- No i co? - spytał niespokojnie Hawkins.
- Daj przede wszystkim papierosa -- powiedział Jorgens.

Inspektor wyciągnął papierośnicę.

- No i co? - powtórzył niecierpliwie.

Jorgens zaciągnął się dymem.

- Mamy dużo materiału, ale najciekawsze jest to...
- Co? - krzyknął Rinc. - Gadajże na Boga!
- Najciekawsze jest to, że na szyi zmarłego oraz na podłodze znaleźliśmy wyraźne ślady łap goryla.

- Co takiego? - zawołał Hawkins.
- Wyraźne ślady łap goryla - powtórzył z naciskiem Jorgens.
- Aresztować natychmiast Marvana! - krzyknął rozkazująco inspektor.

ROZDZIAŁ III

ŁAPY GORYLA

Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim pacjentem, doktor Gordon przeciągnął się i ziewnął szeroko. Był zmęczony. Wielogodzinne zagłębianie się w ludzką psychikę, systematyczne docieranie do źródeł kompleksów, wymagało nieustannego skupienia uwagi i niezwykłego opanowania nerwów. Błądzenie po wąskiej ścieżce dzielącej świat tak zwanych „ludzi normalnych” od świata istot

patologicznie zboczonych, badanie podświadomości, było pracą niezwykle męczącą i wyczerpującą. Nic też dziwnego, że doktor przyjmował tylko ściśle określoną liczbę osób, a każdy pacjent musiał się ubiegać o wizytę co najmniej na dwa tygodnie naprzód. Wierny służący Horacy, towarzysz wielu przygód doktora, strzegł pilnie wejścia do gabinetu swego pana.

Dnia tego dr Gordon był zmuszony przyjąć extra trzy osoby i czuł się wyjątkowo wyczerpany. Właśnie leniwym ruchem sięgnął po papierosa, gdy przypomniał sobie, że przecież to dzisiaj umówił się z Nelly na dancing i że już najwyższy czas zacząć się ubierać. Nie mógł się przecież spóźnić. Zdziwił się trochę, że mógł o tym spotkaniu zapomnieć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Come in! - rzucił niedbale Gordon.

W progu pojawił się osobnik wysoki, niebywale chudy, odznaczający się olbrzymim nosem, którego dominująca rola na ascetycznej twarzy zdawała się być nieco przesadzona. Był to Horacy, wierny służący i przyjaciel doktora Gordona.

- Pan doktor kazał sobie przypomnieć, że... - zaczął właściciel olbrzymiego organu powonienia.

- Wiem, wiem. Pamiętam - przerwał Gordon, podnosząc się ze swego miejsca. - Przygotuj mi kąpiel!

- Yes, sir! - zabrzmiał chudy lokaj i zniknął. Doktor odruchowo pociągnął dłonią po twarzy i skonstatował, że bez-względnie należało się ogolić. Zrezygnowany poszedł więc do luksusowo urządzonej łazienki i przygotował wszystkie potrzebne przybory. Właśnie borsuczym pędzlem rozrabiał pracowicie krem na policzkach przeistaczając go w gęstą tłustą pianę, gdy do łazienki wsunęła się nieśmiało głowa Horacego.

- Co tam znowu? - spytał Gordon, nie ustając w swej pracy.

- Ktoś przyszedł, sir.

- Oszalałeś? - krzyknął doktor. - Wiesz przecież, że już nikogo nie przyjmuję.

- To nie jest pacjent, sir.

- Tylko kto?

- To jest ktoś ze Scotland Yardu.

Gordon upuścił pędzel na kamienną posadzkę.

- Ze Scotland Yardu?

- Yes, sir - przytaknął skwapliwie Horacy.

- Kto taki? - spytał Gordon, gołąc się pospiesznie.

- Nie wiem. Zapomniałem się zapytać.

- Idź, dowiedz się nazwiska tego pana! Ja tymczasem się ubiorę.

- Yes, sir. Horacy zniknął, natychmiast jednak wrócił.

- Nadinspektor Mellerson - powiedział zmieszany.

- Mellerson? - zdumiał się Gordon. - Przeproś inspektora i powiedz, że zaraz mu służę - rzucił doktor. - Spiesz się i pamiętaj, żebyś nikogo więcej nie wpuszczał! Nie ma mnie w domu.

Po wyjściu służącego, Gordon umył się pospiesznie i włożywszy wieczorowe ubranie, wyszedł do saloniku. W głowie mu się nie mogło pomieścić, żeby to mógł być rzeczywiście nadinspektor. Nie było jednak wątpliwości. Z głębokiego fotela podniosła się dobrze mu znana postać groźnego przedstawiciela Scotland Yardu.

- How do you do, mister Mellerson. - powiedział przejmie Gordon, ściskając wyciągniętą prawicę. - Wielki to za szczyt dla mnie gościć pana u siebie.

- Jest pan zapewne nieco zaskoczony moją wizytą? - uśmiechnął się Mellerson.

- Rzeczywiście, nie spodziewałem się pana u siebie, pa nie nadinspektorze - przyznał szczerze doktor. - Tym niemniej jestem bardzo rad, że pan był łaskaw...

- Czy mógłbym swobodnie pomówić z panem, mister Gordon? - przerwał rzeczowo Mellerson.

- Oczywiście. Proszę do mojego gabinetu. Tu będziemy mogli spokojnie porozmawiać - powiedział uprzejmie Gordon, patrząc uważnie na swego gościa i starając się daremnie odgadnąć, co mogło sprowadzić do niego nadinspektora. - Napije się pan czegoś? - spytał zapalając lampę na biurku.

- Chętnie.

Doktor podszedł do szafki w murze i trochę niecierpliwie przygotował dwa coctaille. Chciał już się czegoś nareszcie dowiedzieć.

Nadinspektor Mellerson popijał z wolna trunki i zmrużywszy oczy zdawał się zastanawiać od czego zacząć. To trwało dobrą chwilę.

- Mister Gordon - powiedział wreszcie z wolna, cedząc słowa. - Swego czasu były pewne nieporozumienia pomiędzy nami.

- Ach, drobnostka - wtrącił pospiesznie Gordon.

- Przez tę drobnostkę wyszedł pan jednakże ze Scotland Yardu.

- Myli się pan, inspektorze - zaprzeczył doktor. - Porzuciłem pracę w Yardzie, ponieważ postanowiłem poświęcić się całkowicie mojemu właściwemu zawodowi.

- Z pańskimi zdolnościami trudno sobie chyba wyobrazić właściwszy zawód jak właśnie praca w Scotland Yardzie!

- Pan mi pochlebia, inspektorze - uśmiechnął się mimo woli Gordon.

- Domyśla się pan zapewne, mister Gordon, że nie przyszedłem tu po to, aby panu prawić komplementy - zauważył spokojnie Mellerson.

- Nie przypuszczam.

Nadinspektor obrzucił doktora lodowatym spojrzeniem.

- Przyszedłem pana ostrzec, mister Gordon. Mam nadzieję że mnie pan dobrze rozumie.

- Ostrzec mnie? Przed czym?

- Mister Gordon - powiedział wolno Mellerson, obserwując uważnie swą ofiarę. - Niech się panu nie zdaje, że pan jest tak świetnie zakonspirowany, ja o panu wiem wszystko.

Doktor zupełnie spokojnie wytrzymał cios.

- Daję panu słowo, że nie rozumiem o co chodzi. Mówi pan zagadkami - odparł wznosząc ze zdziwieniem brwi do góry.

Mellerson wykonał niecierpliwy gest.

Grajmy w otwarte karty, mister Gordon! - rzucił ostro. - Ta komedia na nic się panu nie przyda. Ja wiem doskonale, jaką pan

robotę prowadzi i wiem również, że pan często bywa na Queen Street. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że za działalność rewolucyjną mógłbym pana natychmiast aresztować.

Gordon spokojnie spojrział w oczy mówiącemu. Mogło się здаwać, że cała ta przemowa wcale go nie dotyczy.

- Proszę, niech mnie pan aresztuje, inspektorze! - powiedział swobodnie. - Mogę pana zapewnić, że nie będę uciekać ani się bronić.

Mellerson niechętnie popatrzył na doktora.

- Nasz dialog zaczyna wpadać w ton melodramatyczny. Nie przychodzę tu po to, aby pana aresztować, mister Gordon. W tym celu delegowałbym na pewno któregoś z moich ludzi. Odwiedziłem pana osobiście dlatego, że chciałem panu uczynić pewną propozycję.

- Propozycję, mnie? - zdziwił się lekarz.

- Yes.

- Intryguje mnie pan, inspektorze. O cóż to chodzi?

- Pragnę panu zaproponować powrót do Scotland Yardu.

- Do Scotland Yardu?

- Tak. Dlaczego pana tak to zdumiewa?

Doktor wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Przyznam się panu, że jestem niezwykle zaskoczony. Czy mam to traktować poważnie?

- Najzupełniej. Zna mnie pan chyba na tyle, żeby wiedzieć, że jeśli coś mówię, to poważnie.

- No tak, ale...

- Ale co?

- Ale nie rozumiem, jak po tych zarzutach może pan wysuwać taką propozycję. Przecież przed chwilą groził mi pan aresztowaniem.

- Mellerson uśmiechnął się.

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Wiem o panu bardzo wiele, może więcej, aniżeli by pan sobie tego życzył, ale poza tym niezmiernie pana cenię jako współpracownika. Brak mi w tej chwili człowieka pańskiego pokroju i dlatego mimo zasadniczej różnicy poglądów polityczno-społecznych pragnąłbym mieć pana z

powrotem w Yardzie.

- To niemożliwe - potrząsnął głową Gordon.

- Dlaczego?

- Czy mam być szczerzy?

- Oczywiście.

- Dlatego, że nie wyobrażam sobie współpracy z panem inspektorem. Moje metody działania i mój stosunek do ludzi różni się tak zasadniczo od zapatrywań pańskich, że...

- Rozumiem, że się pan nie może tak od razu zdecydować - przerwał sucho nadinspektor. - Niech pan wszystko dobrze rozważy i niech pan dobrze przemyśli naszą rozmowę. Jutro czekam pana u siebie. Mam nadzieję, że dojdziemy jednak do porozumienia. Nie chciałbym w tej chwili stawiać kropki nad i. Na razie nie zabieram panu drogiego czasu, mister Gordon, i żegnam. Good bye!

Doktor skłonił się uprzejmie.

- Może pozwoli pan jeszcze jeden cocktail? - powiedział z uśmiechem.

- Nie, dziękuję. Na mnie już czas. Do widzenia panu.

Gdy drzwi za nadinspektorem Mellersonem się zamknęły, Gordon w zamyśleniu potarł ręką czoło. Sytuacja była bez wątpienia groźna. Mellerson rzeczywiście wiedział za dużo i w każdej chwili mógł spełnić swe pogroźki. Było rzeczą zdumiewającą, skąd nadinspektor posiada tak świetne wiadomości, ale nie ulegało wątpliwości, że jest dobrze poinformowany. Gordon wiedział, że nie wolno mu było tego lekceważyć. Zbyt dobrze znał swego byłego zwierzchnika.

Nie mógł jednak zrozumieć, co miała oznaczać ta dziwaczna propozycja. Odnosił wrażenie, że Mellerson chciał go w pewien sposób zaszantażować i zmusić do przyjęcia stanowiska w Scotland Yardzie. Tak czy inaczej należało natychmiast przestrzec towarzyszy i możliwie zmylić ślady. Z tą myślą położył rękę na telefonie, ale natychmiast odłożył słuchawkę, uświadomiwszy sobie, że jego aparat musi się niewątpliwie znajdować pod obserwacją. Zaklął pod nosem i zadzwonił. Po chwili wsunął się dyskretnie do gabinetu

ogromny nos Horacego.

- Pan dzwonił?
- Tak. Sprowadź mi zaraz samochód.
- Już i tak pan się spóźnił.
- Jak to się spóźniłem?
- Na spotkanie z miss Nelly.
- Do diabła! Zupełnie zapomniałem! - zawołał Gordon. - No, trudno wyślesz jej jutro róże. Teraz mam co innego do roboty.

Służący zniknął, doktor zaś podszedł do telefonu i próbował się połączyć z narzeczoną. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie lubił być niesłowny. Aparat jednak nie odpowiadał. Widocznie nikogo nie było w domu. Nie było rady i Gordon musiał chwilowo zrezygnować z rozmowy z Nelly. Wyobrażał sobie, że jutrzejszy dzień nie będzie należał do najmiłszych. To trudno, nie mógł przecież wyrzucić Mellersona i powiedzieć, że musi jechać na dancing. Kobiety jednak nie rozumieją tych spraw. Należało się więc przygotować na przykrą scenę.

Doktor Gordon nerwowymi krokami przemierzał pokój, starając się zebrać rozproszone myśli. Wszedł Horacy, oznajmiając, że samochód czeka przed domem. Gordon natychmiast włożył płaszcz i wyszedł. Znalazłszy się na ulicy, rozejrzał się bacznie dookoła i usadowił się w aucie. Ponury szofer w milczeniu zapuścił motor. Gdy zajechali na Queen Street, doktor wysiadł przed jakąś restauracją i wszedł do wnętrza. Pomimo zdenerwowania zamówił spokojnie kawę i bezmyślnie zaczął przeglądać jakieś pismo, udając człowieka pochłoniętego lekturą. Po upływie pół godziny zapłacił i wyszedł.

Szara, dość smutna kamienica nie odznaczała się niczym specjalnym. Gordon wszedł szybko, do bramy i postawszy chwilę, pobiegł na drugie piętro. Stara siwa kobieta otworzyła mu drzwi.

- Jestem doktor Gordon. Wzywano mnie tutaj do pacjenta.

Starowina skinęła głową i zniknęła natychmiast za szklanymi drzwiami. Po chwili pojawiła się znowu, zapraszając do wnętrza.

W dużym, bardzo skromnie umeblowanym pokoju siedział za

biurkiem zarzuconym papierami wysoki, niemłody już mężczyzna o suchej twarzy ascety i dużych myślących oczach. Silnie zarysowana dolna szczęka znamionowała niezłomną wolę. Na dźwięk otwieranych drzwi człowiek pogrążony w pracy podniósł głowę i spojrzał na doktora.

- Siadajcie, towarzyszu! - powiedział, wskazując krzesło. - Cóż was do mnie sprowadza o tej porze?

- Wybaczenie, że was niepokoję - zaczął Gordon. - Ale mam bardzo ważną sprawę.

- Ważną sprawę. Słucham.

- Czy nikt nas nie słyszy?

- Nie, nikt. Możecie mówić swobodnie.

Gordon opowiedział dokładnie całą rozmowę z Mellersonem nie pomijając żadnego szczegółu, który by mógł naświetlić sytuację. W sposobie jego mówienia i formułowania zdań znać było wytrawnego detektywa. Człowiek o twarzy ascety wysłuchał wszystkiego bardzo uważnie, nie spuszczać z oczu mówiącego, a gdy doktor skończył, pomyślał chwilę.

- Dziękuję wam za wiadomości. Wygląda to rzeczywiście bardzo poważnie. Zaraz zajmę się tym, aby ostrzec naszych towarzyszy. Dzisiaj mamy same złe nowiny; właśnie chciałem się z wami skomunikować.

- Co się stało?

- Marvan aresztowany.

- Marvan? - zawołał Gordon. - To niemożliwe.

- Niestety, tak jest.

- Kiedy to się stało?

- Dzisiaj.

- Kto go aresztował?

- Podobno inspektor Hawkins.

- Hawkins?

- Tak.

- Ciekawe, czy Mellerson wiedział już o tym, będąc u mnie? - mruknął Gordon.

- Chyba nie.
- Więc nie można przypuszczać, aby Marvan wygadał się z czymś niepotrzebnym na badaniach?
- Wykluczone. To zupełnie pewny człowiek i prędeż dałby się zabić, niżby nas zdradził. Poza tym nie podejrzewają go wcale o kontakt z naszą organizacją.
- Więc o cóż go oskarżają? - zawołał doktor.
- O zamordowanie Borelliego.
- O zamordowanie Borelliego?
- Tak.
- Trudno mi w to uwierzyć, żeby Marvan mógł być mordercą.
- I mnie również. To mało prawdopodobne.

Gordon nerwowo zapalił papierosa.

- Wobec tego wydaje mi się, że będę zmuszony przyjąć propozycję Mellersona - powiedział.
- I ja tak sądzę.
- Czy nie macie żadnych bliższych szczegółów dotyczących aresztowania Marvana?
- Absolutnie żadnych. Przecież to się stało dopiero przed paru godzinami.
- W takim razie nie zabieram wam więcej czasu - po wiedział Gordon. - Jutro będę w Scotland Yardzie. Trzeba wyjaśnić jak najprędzej sprawę Marvana.
- W każdym razie należy spróbować.

Doktor pożegnał się pospiesznie i wyszedł. Był bardzo podniecony. Aresztowanie jednego z najbardziej aktywnych towarzyszy wywarło na nim przygnębiające wrażenie. Nie mógł pojąć, w jaki sposób Marvan mógł być zamieszany w sprawę o morderstwo. Wiedział, że pogromca bywał czasem porywczy i impulsywny, ale nie wierzył, aby ten chłopak był zabójcą. Instynktownie wyczuwał w tym wszystkim jakąś tajemnicę. Poczęła się w nim odzywać żyłka zawodowa. W jednej chwili przemknęły mu przez myśl wspomnienia z pracy w Scotland Yardzie. Nieraz miał do czynienia z podobnymi wypadkami, gdy wszelkie poszlaki

były przeciwko oskarżonemu i dopiero szczegółowe i staranne śledztwo kierowało sprawę na właściwe tory, ujawniając właściwego przestępcę. Gordon przypuszczał, że aresztowanie Marvana było wynikiem jakiegoś fatalnego splotu wydarzeń.

Ulica otulona gęstym woalem lepkiej mgły zapadała się w wilgotną noc. Doktor szedł szerokimi krokami, szukając na próżno jakiegoś samochodu. W pewnym momencie poczuł, że jest głodny. Od rana właściwie prawie nic nie jadł. Nie namyślając się więc długo, wszedł do jakiejś podrzędnej restauracji i usiadł przy brudnym stoliku. Gruba jejmość, królująca majestatycznie za bufetem, obrzuciła spóźnionego gościa krytycznym spojrzeniem. Lustracja snadź wypadła dla Gordona korzystnie, gdyż po chwili podeszła do niego zaspana kelnerka i spytała co ma podać. Doktor poprosił o coś gorącego i czekając na kolację zapalił papierosa. Zaciągnąwszy się dymem, automatycznie rozejrzał się po sali. Lokal był dość duży, ale wyjątkowo ponury i brudny.

Pod oknem spał jakiś znużony biesiadnik, ułożywszy głowę na stoliku, w kącie zaś dwóch pijanych mężczyzn rozmawiało podniesionymi głosami. W pewnym momencie do uszu Gordona doleciało nazwisko Borelliego. Zwrócił więc z zainteresowaniem głowę w tę stronę i spojrzał uważniej na pijaków. Jeden z nich był to tęgi barczysty drab o szerokiej czerwonej twarzy i potężnych dłoniach, drugi zaś starszy szczupły człowieczek stanowił jaskrawy kontrast ze swym towarzyszem. Obaj popijali gin z wysokich szklanek i gestykulując rozmawiali o czymś z zapałem.

- A ja ci mówię, że jeśli go aresztowali, to będzie wisiał - wołał właściciel szerokich barów. - Policja wie co robi. Oni go już nie wypuszczą.

Stary machał niecierpliwie rękami.

- Co ty wygadujesz, Bob! Oszalałeś! Przecież to jest jakieś nieporozumienie. Zobaczysz, że za dzień, dwa Fred będzie wolny. Przekonasz się.

Olbrzym, nazwany Bobem, wzruszył ramionami i splunął pogardliwie.

- Bajki! Nie licz na to! Kogo zamkną do mamra, ten nie wychodzi tak prędko. Jeżeli go nie powieszają, dostanie najmarniej dziesięć lat, Możesz mi wierzyć.

Gordon postanowił wtrącić się do rozmowy. Temat był zbyt interesujący, aby nie skorzystać z okazji. Podniósł się więc od swego stolika i podszedł do pijących.

- Panowie pozwolą, że się przysiadę - powiedział uprzejmie. - W towarzystwie będzie może trochę weselej. Może się czegoś razem napijemy?

Barczysty drab spojrział niechętnie na intruza.

- Siadaj pan! - mruknął niezbyt uprzejmie.

Doktor usiadł i poczęstował nowych znajomych papierosami.

- - Mam wrażenie, że ja już gdzieś panów widziałem - próbował nawiązać rozmowę. - Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

- Możliwe.

- Czy panowie nie są cyrkowcami?

- Owszem, jesteśmy, albo co? Gordon uśmiechnął się.

- Ano właśnie. Musiałem widzieć panów w cyrku Borelliego.

Pewnieście po przedstawieniu przyszli tu na kolację, co?

- Dziś nie było przedstawienia - odparł Bob.

- Nie było przedstawienia? Dlaczego? - zdumiał się Gordon.

- Cóż to nie czyta pan gazet! Dyrektora zamordowali!

- Dyrektora Borelliego?

- No tak. Całe miasto już wie o tym. Chyba pan z prowincji przyjechał.

- Rzeczywiście dopiero dziś wróciłem do Londynu - przytaknęła doktor. - I mówią panowie, że rzeczywiście tego biednego Borelliego zamordowali?

- No, chyba. Przecież nie żartujemy.

- I wykryto już mordercę?

- Aresztowali Marvana. I właśnie tu o tym mówiliśmy przed chwilą.

- Marvan jest niewinny! - zawołał z przekonaniem stary.

- Cicho bądź, Mathews! - warknął olbrzym. - Jakby nie był winny, to by go nie zamknęli. Muszą już coś o nim wiedzieć.

- Kto to jest ten Marvan? - spytał Gordon, zabierając się do jedzenia, bo właśnie kelnerka postawiła przed nim dymiący talerz.

- Jak to, nie wie pan, kto to Marvan? - zdziwił się Mathews. - To najślawniejszy pogromca dzikich zwierząt. Takiego drugiego chłopaka nie znajdzie pan na całym świecie.

- I jego aresztowali w związku z zamordowaniem Borelliego?

- No, właśnie. Tłumaczę tu temu drabowi już od godziny, że to jakieś nieporozumienie, a on nic tylko swoje! - zawołał stary żongler.

- Głupie gadanie! - mruknął Bob. - Idź, wytłumacz to policji!

- A dlaczego ten Marvan miałby zamordować dyrektora cyrku? - spytał doktor.

- Diabli go wiedzą! Podobno kocha się w córce Borelliego, a stary nie chciał się zgodzić na to małżeństwo. Ale bo to wiadomo.

Gordon uważnie spojrział na mówiącego. W tej chwili uświadomił sobie, że już gdzieś widział tę twarz.

- Jak się nazywasz? - rzucił niespodziewane pytanie.

Bob Smith - padła posłuszna odpowiedź.

- Od kiedy to? - spytał z naciskiem doktor.

Drab o czerwonej twarzy zmieszał się wyraźnie.

- Jak to? Co to ma znaczyć?

Masz krótką pamięć, Natanie Stomer. Czyżbyś już za pomniał o Szkocji?

Czerwona twarz przybladła gwałtownie.

- Pan inspektor. Pan inspektor!... - wybełkotał, zrywając się z miejsca.

- Więc przypominasz sobie mnie, przyjacielu? - uśmiechnął się groźnie Gordon.

- Panie inspektorze. Ja... ja... Jak Boga Kocham... Panie inspektorze.

- Dosyć! - przerwał doktor. - Czy wiesz, że powinienem cię natychmiast aresztować. Tak jest. Powinienem cię natychmiast wpakować do więzienia.

- Panie inspektorze, błagam. Ja już jestem porządnym człowiekiem.

- Dobrze, nie zaaresztuję cię, ale pod jednym warunkiem.

- Słucham pana inspektora. Zgadzam się na wszystko.

Gordon pomyślał chwilę.

- Musisz przyjść jutro do mnie po południu. Oto mój adres.

- Przyjdę. Na pewno przyjdę, panie inspektorze.

- Pamiętaj, nie próbuj uciekać. Znajdę cię wszędzie i wiedz, że następne nasze spotkanie źle się dla ciebie skończy.

Powiedziawszy to Gordon wstał i rzuciwszy na stół pieniądze, wyszedł, pozostawiając przy stoliku osłupiałych cyrkowców.

Na ulicy padał deszcz. Doktor zatrzymał jakiś przejeżdżający samochód i kazał się zawieźć do domu. Poczucił się nagle bardzo zmęczony.

Samochód sunął wolno po mokrym asfalcie, wdzierając się w mglistą noc słabym światłem reflektorów. Szofer jechał ostrożnie, obawiając się ukrytych we mgle przeszkód. Gordon oparł się wygodnie o poduszki i patrzył w ulicę. Mózg jego pracował intensywnie. Nagle doktor spostrzegł idącą brzegiem chodnika samotną postać kobiecą. Nieznajoma szła bardzo wolno i słała się na nogach. Robiła wrażenie pijanej lub bardzo wyczerpanej. Doktor kazał stanąć szoferowi i wysiadł z auta.

- Proszę. Może pani zechce wsiąść do samochodu? - powiedział uprzejmie.

Nie usłuchała, nie zatrzymała się nawet. Szła przed siebie ze spuszczoną ku ziemi głową. Gordon w jednej chwili zorientował się, że to nie jest pijana prostytutka.

- Proszę pani. Niechże pani wsiądzie do auta. Straszny deszcz pada. Przemoknie pani zupełnie! - spróbował perswadować.

Samotna dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale zachwiała się tak gwałtownie, że o mało nie upadła. Doktor podtrzymał ją silnie i o nic już nie pytając zaprowadził do samochodu. Nieznajoma wsiadła posłusznie, nie mówiąc ani słowa.

- Dokąd panią odwieźć? - spytał Gordon.

Nie odpowiedziała. Sytuacja poczynała się stawać kłopotliwa. Szofer zapuścił motor i ruszył powoli, nie mając pewności dokąd właściwie ma jechać. Nie było rady i doktor powtórnie podał swój adres.

Gdy auto zajęchało na miejsce, Gordon zapłacił szoferowi i ostrożnie wyprowadził z wozu dziewczynę. Nie mógł jej przecież zostawić na ulicy. Wydawało mu się, że jest chora. Zaspany Horacy dopiero po dłuższej chwili otworzył drzwi i ze zdumieniem przetarł oczy widząc swego pana w towarzystwie nieznamym kobiecie. Tak nie był przyzwyczajony do tego rodzaju widoków, że wydało mu się, iż śni.

- Czego się gapisz? - krzyknął Gordon. - Szykuj natychmiast herbatę i pokój gościnny! Spiesz się.

- Yes sir. Zaraz będzie herbata.

Doktor zaprowadził swego niezwykle gościa do gabinetu i pomógł się dziewczynie rozebrać. Usiadła na krześle i nagle wybuchnęła gwałtownym, spazmatycznym płaczem. Poglądził ją łagodnie po mokrych włosach.

- Niech się pani uspokoi! - powiedział miękko. - Wszystko będzie dobrze. Niech się pani uspokoi!

Podniosła na niego duże zapłakane oczy. Dopiero teraz zauważył, że nieznajoma była bardzo piękna.

- Może pani zapali? - zaproponował, podając papierosy.

Dziewczyna nagle zerwała się z miejsca.

Gdzie ja jestem? - zawołała przerażona.

Doktor uśmiechnął się dobrotliwie.

- Proszę się uspokoić. Jest pani w bezpiecznym miejscu.

- Ale gdzie ja jestem? - nalegała nerwowo.

Gordon zrozumiał, że ma przed sobą normalną kobietę, pozostającą pod wpływem chwilowej bardzo silnej depresji.

- Niechże się pani uspokoi! Nic pani tu nie grozi. Spotkałem panią samą na ulicy i zaprosiłem do siebie. Nic się tu pani złego nie stanie. Jest pani bardzo wyczerpana, musi pani przede wszystkim odpocząć.

- I co teraz będzie? I co teraz będzie? - zawołała dziewczyna.
- Na razie napijemy się herbaty, potem pójdzie pani spać, a jutro pomówimy - powiedział Gordon - żeby pani nie uważała że nie wypada korzystać z gościnności nieznanego, pani pozwoli, że się przedstawię: jestem doktor William Gordon.

- Doktor William Gordon - szepnęła dziewczyna.
- Tak. Niech się pani uspokoi i proszę mi wierzyć, że nie spotka tu panią nic złego.

- Ależ ja nie mogę tutaj pozostać, nie mogę tak spokojnie siedzieć. Muszę coś zrobić! Muszę coś ratować!

- Kogo pani musi ratować? - zainteresował się Gordon.
- Freda! Mojego Freda! Uwięzili go! Słyszysz pan? Uwięzili go.
- Kto go uwięził?
- Policja. Aresztowali go, ale on tego nie mógł zrobić, on tego nie zrobił. On jest niewinny! Fred! Fred! Marvan!

- Marvan? - zawołał Gordon.

- Marvan! Marvan! Fred!

- Kto pani jest? - spytał nagle doktor.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jestem cyrkówką. Nazywam się Borelli, Bianka Borelli.

Gordon zapalił papierosa i odwrócił się do okna, aby nie dać poznać po sobie, jakie wrażenie zrobiła na nim ta wiadomość.

- I ten Marvan to pani narzeczony? - powiedział po chwili.
- Tak. Właśnie mieliśmy się pobrać. Zaaresztowali go. Boże! Boże! Co ja pocznę? Co ja pocznę? Błagam pana, błagam pana, niech mi pan pomoże, niech pan go ratuje.

- Ja? - zdziwił się Gordon.

- Pan. Właśnie pan. Pierwszy raz pana widzę, ale czuję, że pan jeden może tego dokonać - zawołała Bianka. - Pan jeden może mi pomóc. Pan jest bardzo dobry i bardzo mądry. Niech mi pan nie odmawia! Błagam pana!

Doktor uśmiechnął się.

- Proszę się uspokoić! - powiedział łagodnie. - Jutro sobie o wszystkim pomówimy. Na razie musi pani wypocząć i nabrać sił.

Jeśli...

- Ja nie chcę wypoczywać! - krzyknęła dziewczyna. - Nie! Nie! Nie! Ja nie mogę spać spokojnie, podczas gdy Fred...

Gordon przerwał jej ruchem ręki.

- Jeśli pani chce pomóc swemu narzeczonemu, to musi mi pani być posłuszna. Te wszystkie histeryczne występy na nic się nam nie przydadzą. Proszę się napić gorącej herbaty i iść do łóżka. Jeżeli się pani nie uspokoi, to nie zdołam nic pani pomóc.

- Będę posłuszna - wyszeptała Bianka.

W tej chwili do pokoju zająztał Horacy oznajmiając nieśmiało, że kolacja stoi na stole.

Bianka nic jeść nie mogła, ale herbatę z rumem wypić chętnie i doktor zauważył z zadowoleniem, że dziewczyna zaczyna coraz bardziej panować nad sobą. Nie zmuszał jej do jedzenia, a po herbacie zaprowadził gościa do przygotowanego pokoju i życzył spokojnego snu. Sam zaś wydał Horacemu polecenia na dzień następny i poszedł do siebie. Rozebrał się szybko i usiłował usnąć, ale na próżno. Ostatnie wypadki szumiały mu w głowie.

Nazajutrz doktor Gordon wstał bardzo wcześnie. Siedząc w wannie zastanawiał się nad szczegółami rozmowy z Mellersonem oraz rozważał możliwości ratowania Marvana. Poznanie Blanki Borelli mogło mu dać niewątpliwie bardzo cenny materiał w tej sprawie, ale przede wszystkim należało ustalić, czy pogramca rzeczywiście zamordował dyrektora cyrku, czy też padł ofiarą jakiegoś fatalnego splotu wypadków. W każdym razie należało wy badać Biankę, a następnie porozumieć się z Mellersonem i przekonać się, jakimi materiałami dowodowymi dysponuje Scotland Yard.

Gordon zbyt długo pracował w policji, aby wyczuwać poza tą całą sprawą coś więcej, aniżeli zwykłe morderstwo. Jeżeli Hawkins osobiście aresztował Marvana, to znaczy, że Scotland Yard przywiązuje do tej historii specjalną wagę. Nie było też rzeczą wykluczającą, że zatrzymano Marvana z zupełnie innych powodów, oskarżając go na razie dla pozorów o morderstwo. Tak rozmyślając,

Gordon wyskoczył z wanny i począł się szybko ubierać, by jak najprędzej rozpocząć akcję. Wiążąc krawat przed lustrem zadzwonił na Horacego.

- Czy miss już wstała? - spytał, gdy służący pojawił się w drzwiach.

- Yes, sir. Czeka już od pół godziny w gabinecie.

- Tak wcześnie?

- Yes sir.

- To dobrze. Podawaj zaraz śniadanie! - rozkazał doktor. - Czekaj, czekaj jeszcze chwilę. Odwołasz wszystkie wizyty. Spakujesz walizy do drogi. Wyjeżdżam na dwutygodniowy urlop. Rozumiesz?

- Yes sir. A czy mam posłać kwiaty miss Nelly?

- A do diabła, zapomniałem o Nelly. Dobrze, dobrze, pošlij kwiaty. Albo nie, czekaj, czekaj. Nie, nie wysyłaj! Ja sam zajdę do miss Nelly. Tak będzie najlepiej.

- Yes sir. Tak będzie najlepiej - przytaknęła poważnie Horacy.

- Spiesz się! Dawaj śniadanie - rzucił Gordon.

- Yes sir.

Lokaj zniknął, doktor zaś przyczesał włosy, włożył marynarkę i wyszedł do gabinetu.

Bianka blada i zmęczona siedziała w fotelu i przerzucała bezmyślnie jakieś pisma. Na widok wchodzącego zerwała się z miejsca i podbiegła ku doktorowi.

- Przepraszam - powiedziała pospiesznie. - Bardzo przepraszam.

- Za co mnie pani przeprasza? - zdziwił się Gordon.

Dziewczyna zmieszana się.

- Za, za... Za wszystko, za wczorajsze - szepnęła niewyraźnie. - I dziękuję, że pan był dla mnie taki dobry. Wydaje mi się, że uratował mi pan życie!

- Nie przesadzajmy - uśmiechnął się doktor, biorąc Biankę za rękę. - Niech mi pani lepiej powie, jak się pani dziś czuje.

- O, już o wiele lepiej. Jestem trochę słaba, ale to przejdzie.

- Proszę się przede wszystkim nie poddawać zwątpieniom! Wszystko się jakoś ułoży, a teraz chodźmy na śniadanie.

Przeszli do jadalni, gdzie już Horacy nalewał gorącą kawę. Przyjemny zapach świeżego pieczywa drażnił nozdrza.

- Musi pani zjeść porządne śniadanie - uśmiechnął się Gordon.
- Musi pani nabrać sił. Jest pani tak wyczerpana, że może się pani rozchorować.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko w milczeniu zabrała się do jedzenia. Doktor obserwował ją dyskretnie, smarując sobie grubo masłem chleb. Gdy skończyli śniadanie, Bianka spojrzała niespokojnie na Gordona.

- Proszę pana! - zaczęła nieśmiało.
- Słucham!
- Czy mogę brać poważnie pańskie słowa?
- O cóż to chodzi? - spytał łagodnie.
- Pan mi wczoraj coś obiecał.
- Ja?
- Tak! Powiedział pan, że jeśli będę posłuszna, to mi pan dopomoże.

Gordon zaśmiał się serdecznie,

- No i w dowód posłuszeństwa zjadła pani solidne śniadanie - powiedział szczerze ubawiony.

Dziewczyna zaczerwieniła się.

- No, tak, to jest... nie. Ale czy pan naprawdę chciałby coś dla mnie zrobić? Czy pan mógłby mi jakoś pomóc? Przecież to niemożliwe, żeby jego tam mieli zabić. Przecież pan mi wierzy, że on jest niewinny.

Gordon spojrzał na nią poważnie i zapalił papierosa.

- Proszę pani - zaczął powoli - Nie jest moim zadaniem wtrącać się w tego rodzaju sprawy. Jestem lekarzem, a nie adwokatem i zagadnienia kryminalne nie interesują mnie, ale ponieważ w tak dziwny sposób poznałem panią, postaram się pani pomóc, postaram się coś poradzić. Oczywiście, wiele tu zależy od pani samej.

- Ode mnie? - zdumiała się Bianka. - Ależ panie doktorze, zrobię wszystko, co pan każe, żeby tylko ratować Freda.

- Musi pani się postarać możliwie dokładnie odpowiedzieć na moje pytania. I zastrzegam się, że musi pani mówić tylko prawdę. To jest jedyna możliwość zrobienia tu czegośkolwiek.

- Niech pan pyta! Powiem wszystko co będę mogła, wszystko co wiem - zawołała żywo dziewczyna.

Gordon wstał od stołu.

- Dobrze więc. Przejdźmy do mojego gabinetu - powiedział rozkazująco.

Nieśmiały promyk wiosennego słońca zaglądał ciekawie do pokoju. Doktor starannie pozasłaniał okna ciężkimi czarnymi kotarami i odgrodziwszy się w ten sposób od świata, zapalił małą zieloną lampkę na biurku.

- Dlaczego pan zasłania okna? - zdziwiła się Bianka.

- Żeby nam nic nie przeszkadzało. Niech pani siada tutaj w tym fotelu i proszę dobrze sobie wszystko przypomnieć. Jeżeli pani to pomoże, niech pani zamknie oczy.

- Dobrze!

Doktor usiadł za biurkiem i przygotował papier i ołówek. Dłuższą chwilę milczał. W pokoju wytworzyła się jakaś dziwna atmosfera ciszy i oczekiwania.

- Kiedy pani ostatni raz widziała Marvana? - spytał wreszcie Gordon. Słowa akcentował wyraźnie, ale głos miał dziwnie bezbarwny, jakby bezosobowy.

- Tego dnia kiedy zamordowano mego ojca. Zjedliśmy razem lunch - odparła Bianka.

- O czym mówiła pani wtedy z narzeczonym?

- O naszej przyszłości. Fred postanowił rozmówić się kategorycznie z ojcem i był gotów wyjechać ze mną bez jego woli i zgody na nasze małżeństwo.

- Czy pani się na to zgodziła?

- Tak.

- A czy wieczorem w cyrku widziała pani Marvana?

- Tak, był u mnie w garderobie. Później widziałam go tylko na arenie ze zwierzętami.

- Skąd się pani dowiedziała, że Marvan został aresztowany?

- Byłam u niego wczoraj w hotelu.

- Wieczorem?

- Tak. Przez cały dzień policja nie wypuszczała nikogo z cyrku.

Nie mogłam się wydostać.

- Czy była pani badana?

- Tak. Zawieźli mnie do Scotland Yardu.

- Kto panią badał?

- Inspektor Hawkins.

- Więc to po zbadaniu pani kazano aresztować Marvana?

- Tak mi się wydaje.

- Czy pani nie zauważyła, że ojciec pani był w ostatnich czasach wybitnie zdenerwowany?

- Tak, rzeczywiście, zauważyłam to. Papa był strasznie rozdrażniony. Wpadał w gniew o byle głupstwo.

- Kto przychodził najczęściej do ojca?

- Różni ludzie. Ojciec przyjmował wielu interesantów.

- Ale kto był najczęstszym gościem?

Bianka pomyślała chwilę.

- Chyba Hollay.

- Któż to jest ten Hollay?

- Bogacz. Przemysłowiec czy handlowiec. Ojciec chciał, żebym została żoną tego człowieka.

- Czy ojciec pani prowadził jakieś uboczne interesy? Czy trudnił się czymś jeszcze poza prowadzeniem cyrku?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy może mi pani dostarczyć jakieś fotografie ojca?

- Mogę.

- A czy może mi pani dać korespondencję ojca?

- Nie. Wszystkie papiery opieczętowała policja.

- Nie chodzi mi o wszystkie papiery. Chciałbym mieć jakieś pismo własnoręczne ojca pani.

- Przypuszczam, że znajdę jakiś list.
- To dobrze. Proszę mi jak najprędzej dostarczyć fotografię i list ojca. Czy pani przypomina sobie takiego cyrkowca imieniem Bob Smith?

- Nie, nie pamiętam. Czy pracuje u nas?
- Tak. Niech pani sobie dobrze przypomni. Taki tęgi.
- Ach, taki tęgi, z czerwoną, niemiłą twarzą. Tak pamiętam go.
- Jak dawno ten człowiek pracuje w cyrku Borelliego?
- Parę miesięcy.
- Jaką funkcję pełni?
- Jest posługaczem.
- Czy nie zauważyła pani kiedy w jego zachowaniu czegoś niezwykłego?

- Nie, nic. Chyba to, że lubił grywać na jakimś dziwnym instrumencie.

- Na jakimż to instrumencie?
- Nie wiem co to za instrument. Podobno Bob przywiózł go z Afryki.

- Z Afryki?
- Tak. To jakiś murzyński instrument.

Gordon wstał i odsłonił okna.

- Na razie dziękuję pani. To by było chyba w tej chwili wszystko co chciałem wiedzieć.

- Czy to się panu na coś przyda? - spytała dziewczyna.
- Zobaczymy. Jakie ma pani projekty na najbliższą przyszłość?

Bianka zawahała się.

- Właściwie nie wiem co mam z sobą począć.
- Gdzie pani mieszka?
- W tej chwili nigdzie. Mieszkałam w cyrku, ale nie chcę tam wracać.

- Tak?

Gordon zastanowił się chwilę.

- No cóż, mogłaby pani na razie zamieszkać u mnie, ale wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli pani weźmie pokój w jakimś

pensjonacie.

- Oczywiście. Tak będzie najlepiej.

Gordon wstał.

- Muszę panią na razie pożegnać - powiedział uprzejmie. - Nie będzie mnie w domu przez dłuższy czas. Wyjeżdżam prawdopodobnie jeszcze dzisiaj.

- Jak to pan wyjeżdża? - zawołała przerażona dziewczyna.

- Niech się pani nie denerwuje - uśmiechnął się doktor. - Wyjeżdżam, ale zajmę się pani sprawą. Proszę mi zaufać. Mam nadzieję, że narzeczony pani rzeczywiście jest niewinny i że się wszystko wyjaśni w najbliższym czasie. Niech pani będzie łaskawa przysłać tu swój adres, gdy tylko pani znajdzie odpowiednie mieszkanie. Mój służący Horacy będzie przyjmował całą moją korespondencję i będzie mnie o wszystkim zawiadamiał.

- Na długo pan wyjeżdża?

- Nie wiem. Może na tydzień, a może na dwa. W każdym razie będę cały czas czuwał nad pani narzeczonym. Niech pani będzie spokojna.

- Jeśli pan pozwoli, to ja jeszcze godzinę u pana odpocznę - powiedziała Bianka.

Gordon skinął głową.

- Ależ oczywiście. Całe mieszkanie jest do pani dyspozycji.

- Dziękuję!

Gordon wydał rozkazy Horacemu i pożegnawszy się z Bianką wyszedł, zamykając starannie drzwi za sobą. Na ulicy owionęło go łagodne wiosenne powietrze. Wesołe słońce kąpało się radośnie w szerokich kałużach, będących wspomnieniem nocnej ulewy. Wiatr spieszenie pędził białe obłoki po pogodnym niebie. Miasto, pozbywszy się czarnego tłumu parasoli, robiło dnia tego jakieś odświeżone wrażenie. Gordon przeszedł się trochę dla zdrowia, ale ponieważ chciał jak najprędzej pomówić z Mellersonem, wziął taxi i kazał się zawieźć do Scotland Yardu.

Nadinspektor nie dał mu zbyt długo czekać na siebie i niebawem przeraźliwie chuda sekretarka otworzyła ciężkie drzwi zimnego

gabinetu. Mellerson podniósł się zza biurka i przywitał się uprzejmie z doktorem.

- Cieszę się, że pan mnie tak szybko rewizytuje - powiedział z uśmiechem. Piękną mamy dziś pogodę. Prawda?

Gordon skinął głową.

- Rzeczywiście ładny dzień - powiedział spokojnie. - Zastanawiałem się dziś w nocy nad pańską propozycją, panie nadinspektorze.

- I do jakich wniosków pan doszedł?

- Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

Mellerson lekko zmarszczył brwi.

- Pod jakimż to warunkiem, mister Gordon?

- Chcę się na początek zająć sprawą morderstwa Borelliego - odparł doktor.

- Ta sprawa już jest wyjaśniona. Morderca aresztowany.

- Wiem o tym, ale pomimo wszystko proszę, aby mi pan pozwolił ponownie zbadać tę sprawę.

- W jakim celu? Czy ma pan jakieś podejrzenia co do tego, że...

- Tak - przerwał Gordon. - Mam poważne wątpliwości, czy to rzeczywiście ten pogromca zamordował Borelliego.

Mellerson uważnie popatrzał na mówiącego.

- Mister Gordon - powiedział półgłosem. - Właśnie takiego człowieka potrzebuję jak pan. Przyznam się panu, że i mnie ta cała sprawa się nie podoba. Wszelkie poszlaki są przeciwko Marvanowi, a jednak... Jeżeli mam być szczerzy, to właśnie miałem pana prosić, żeby pan spróbował się tym zająć. Jeśli nie znajdziemy innego mordercy, no to jasne, że Marvan będzie odpowiadał, bo mordercę znaleźć musimy. Rozumie pan?

Doktor obojętnie zapalił papierosa.

- Dobrze, zajmę się tą sprawą, ale proszę o zupełną szczerść w stosunku do mnie. Tylko na tej płaszczyźnie mogę pracować.

- Oczywiście, to się samo przez się rozumie - zapewnił Mellerson.

- W takim razie może mi pan powie, panie inspektorze, kim był

właściwie Borelli?

- Dyrektorem cyrku.

Gordon skrzywił się niechętnie.

- O tym wie każde dziecko. Ja zaś chciałbym wiedzieć, kim był dla was ten człowiek. Niech pan nie zapomina, że pracowałem w Scotland Yardzie przez sześć lat i że się dobrze orientuję w tutejszych stosunkach.

- Borelli pracował dla Intelligence Service - rzucił Mellerson. - Ale niech pan nie zapomina, że od tej chwili obowiązuje pana tajemnica służbowa, mister Gordon.

- Pamiętam o tym.

- A więc, mister Gordon, uważam pana od dziś za naszego pracownika. Mam nadzieję, że nie będzie pan zbyt na mnie narzekał i że dawne nasze nieporozumienia pójdą w niepamięć.

Doktor udał, że nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa.

- Czy mógłbym rozpocząć robotę zaraz? - spytał, częstując nadinspektora papierosami.

- Jak pan sobie życzy - odparł sucho Mellerson. - O tej porze zastanie pan jeszcze inspektora Hawkinsa, który udzieli panu odpowiednich informacji co do sprawy Borelliego.

Gordon wstał.

- Dziękuję panu, panie nadinspektorze. Sądzę, że niedługo będę mógł się z panem podzielić moimi spostrzeżeniami. Do widzenia!

- Do widzenia, mister Gordon! Życzę powodzenia.

Gordon wyszedł z gabinetu nadinspektora i nie czekając na windę, udał się do Hawkinsa.

Inspektor przyjął go bardzo uprzejmie, ale zimno.

- Słyszałem, że pan do nas wraca - powiedział po przywitaniu. - Rad jestem, że znowu będziemy kolegami.

- I ja się bardzo cieszę - skłonił się doktor. - Właśnie przychodzę do pana zapoznać się ze szczegółami dochodzenia odnośnie sprawy Borelliego.

- Wiem o tym - odparł Hawkins. - Ale nie rozumiem, co tu jest jeszcze do zrobienia. Sprawa jest zupełnie prosta. Badania

daktyloskopijne wykazały dokładnie winę oskarżonego. Zbrodniarz został aresztowany. Szkoda więc pańskiego trudu, doktorze.

Gordon spokojnie popatrział na mówiącego. Wiedział, że inspektor nie darzy go specjalną sympatią, nie mogąc strawić jego sukcesów.

- Widzi pan - powiedział po chwili - mam pewne podejrzenia, pewne, powiedzmy to sobie, wątpliwości. Oczywiście, że materiał obciążający przeciwko Marvanowi jest bardzo poważny, ale jednak będę bardzo wdzięczny, jeśli mnie pan wprowadzi w szczegóły dochodzenia.

Hawkins możliwie dokładnie streścił przebieg swej akcji, starając się nie opuścić żadnego szczegółu, Gordon zaś słuchał bardzo uważnie, przymknąwszy lekko oczy. Robił wrażenie człowieka oddającego się poobiedniej drzemce. Gdy inspektor skończył, doktor zapalił papierosa i milczał chwilę.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - mruknął jakby do siebie. - Rzeczywiście, te odciski łap goryla są bardzo obciążającym dowodem. Musiał pan niewątpliwie wydać rozkaz aresztowania. Chciałbym jednak zadać panu pewne pytanie, jeśli oczywiście pan pozwoli, inspektorze.

- Proszę bardzo, słucham!
- Czy sprawdził pan identyczność tych odcisków?
- Jak to? - zawołał Hawkins.
- No, tak Czy pan jest pewien, że odciski łap goryla znalezione w pokoju Borelliego należą rzeczywiście do goryla tresowanego przez Marvana?

Twarz Hawkinsa oblała się purpurą.

- Pan kpi sobie ze mnie, mister Gordon! - zawołał gwałtownie.
- Ależ uchowaj Boże! Jakżeż bym śmiał?
- W cyrku Borelliego nie ma drugiego goryla ani drugiego pogromcy. A zresztą niech pan z łaski swojej spróbuje zdjąć odciski z łap żywego goryla. Proszę bardzo.

Inspektor był bardzo wzburzony.

- Niech mi pan wybaczy, mister Hawkins - powiedział

spokojnie Gordon. - Nie chciałem pana denerwować. Tak sobie tylko powiedziałem. Mam zwyczaj brać pod uwagę wszystkie ewentualności, nawet najbardziej nieprawdopodobne.

- To, co pan mówi, nie ma najmniejszego sensu.
 - Możliwe, bardzo możliwe - powiedział w zamyśleniu doktor.
- Czy pan jest zupełnie pewien winy Marvana, inspektorze?
- Oczywiście, to nie ulega dla mnie wątpliwości
 - Czy pan go badał po aresztowaniu?
 - Naturalnie.
 - I co?
 - Nic. Nie przyznaje się do niczego. Twierdzi, że nie było go w tym czasie w cyrku.
 - Czy pozwoli mi pan przejrzeć akta sprawy?
 - Tak. Sąsiedni gabinet jest na razie wolny. Może się pan tam zainstalować i poczytać, jeśli to pana interesuje. Zaraz każę panu przysłać wszystkie papiery.

Gordon pożegnał Hawkinsa i udał się do wskazanego pokoju, gdzie niebawem jakiś ponury staruszek przyniósł mu teki z aktami. Doktor zabrał się natychmiast do pracy i studiował bardzo uważnie, robiąc w swoim notesie krótkie notatki.

Gdy skończył, dochodziła godzina dwunasta. Nie poszedł już do inspektora, lecz wybiegł pospiesznie na ulicę i zatrzymawszy jakiś samochód, kazał się zawieźć do Nelly. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Wczoraj zachował się fatalnie.

Nelly Simon, córka bogatego fabrykanta, mieszkała wraz z rodzicami w najelegantszej dzielnicy Londynu. Bogactwa i powodzenie zepsuły piękną dziewczynę, która była przyzwyczajona mieć zawsze wszystkich u swych stóp. Zaręczyła się z Gordonem dość przypadkowo na jakimś balu, ale właściwie nie była jeszcze zdecydowana czy wyjdzie za niego za męża, ponieważ doktor za mało ją adorował i za mało jej poświęcał czasu.

Szytynny stylowy lokaj wpuścił Gordona do pięknie urządzonego saloniku. Znac tu było, że każdy mebel kosztował dużo pieniędzy. Stary Simon miał zwyczaj nabywać tylko kosztowne rzeczy.

Nelly dość długo kazała czekać narzeczonemu. Już zniecierpliwiony Gordon postanowił jechać do domu, gdy drzwi się otworzyły i weszła wysoka bardzo piękna brunetka o dużych aksamitnych oczach i pełnych pąsowych ustach. Ubrana była w skromną sportową sukienkę przybraną zamsem.

- How do you do mister Gordon? - powiedziała bardzo chłodno. Doktor skłonił się u przejmie.

- Przyszedłem przeprosić cię, darling, za wczorajszy zawód, ale miałem niespodziewaną wizytę. Próbowałem się z tobą połączyć telefonicznie, niestety bez skutku.

Nelly popatrzała niechętnie na mówiącego.

- Ostatnio masz coraz więcej niespodziewanych wizyt - zauważyła z przekąsem. - Ośmieszasz mnie tylko wobec przyjaciół.

- Ależ...

- Tak, tak. Nie zaprzeczaj. Czekam na ciebie całymi godzinami, a ty nie jesteś łaskaw się zjawić. Ostatni raz już się z tobą umawiałam. Chciałabym...

- Zrozum mnie kochanie - przerwał Gordon - mnie samemu bardzo przykro, ale naprawdę nie mogłem się wyrwać. Obecnie zaś wyjeżdżam na pewien czas z Londynu.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Muszę załatwić bardzo pilne sprawy rodzinne, ale mam nadzieję, że wrócę niedługo.

- Rób jak uważasz - szepnęła nadąsana dziewczyna.

Doktor uśmiechnął się i spojrzał na nią uważniej. Nelly była niewątpliwie bardzo ładna, ale Bianka miała o wiele więcej kobiecego wdzięku. Dopiero teraz uświadomił sobie, że córka Borelliego wywarła na nim duże wrażenie.

- Nie chciałbym, żebyśmy się rozstawali w gniewie - powiedział pojednawczo. - Jeśli chcesz wpadnę po ciebie wieczorem i pójdziemy do teatru.

- Nie, dziękuję. Dziś jestem zajęta - odparła Nelly.

Gordon podniósł się.

- W takim razie napiszę do ciebie. Na razie muszę cię

pożegnać. Raz jeszcze proszę o przebaczenie i do widzenia, darling.

- Do widzenia!

Znalazłszy się na ulicy Gordon odczuł pewien niesmak, będący wynikiem nieudanej rozmowy z narzeczoną. Czuł, że był jakiś niezręczny i nieszczerzy. Zdawał sobie sprawę, że coś się wyraźnie psuje między nimi i że właściwie nie znajduje w sobie dość energii i chęci, aby to naprawić. Nelly miała niewątpliwie rację. Zaniedbywał ją ostatnio i właściwie nie wiedział dobrze dlaczego. Wczorajszy dzień był tylko epizodem, był ogniwem tych zmian, które się w nim kształtowały.

Ale właściwie co się stało. Tak niedawno przecież zdawało mu się, że szczerze kocha tę dziewczynę. Jeszcze przed tygodniem, a teraz? Czyżby się wszystko skończyło. Chyba nie, a jednak... I znowu stanęła mu przed oczami postać Bianki. Ta dziewczyna miała w sobie coś takiego, czego właśnie brakowało Nelly. Czyżby... Czyżby pojawienie się w jego życiu córki Borelliego wpłynęło na jego stosunek do narzeczonej?

Gordon przyspieszył kroku i zatrzymał taxi. „Do licha z kobietami!” - mruknął pod nosem. Miał przecież teraz ważniejsze sprawy na głowie, aniżeli zastanawianie się nad tym, czy Nelly chce z nim iść do teatru, czy nie. Kazał się zawieźć do Ritza, gdzie postanowił zjeść lunch.

Zająwszy stolik, powrócił znowu myślami do sprawy Marvana. Nie można było mieć żadnej pewności, że Marvan jest niewinny. Mógł przecież... Ale nie, nie. Marvan pracował dla sprawy i trudno było przypuścić, aby ten chłopak dał się do tego stopnia ponieść chwilowemu afektowi.

Zresztą nawet Mellerson nie jest stuprocentowo pewny wyników śledztwa. Jedynie Hawkins broni swej pozycji, ale właściwie trudno się liczyć ze zdaniem inspektora.

Gordon rozumiał, że czeka go bardzo trudna i skomplikowana praca. W tej chwili przypomniał sobie Stomera. Ten łajdak może mu się bardzo przydać. Doktor wiedział doskonale, że jeśli chodziło o zbrodnie, to „Czerwony Natan” zawsze miał najlepsze informacje.

Mógł co prawda przerazić się tym niespodziewanym spotkaniem i uciec, ale to było mało prawdopodobne. Natan wierzył w nadprzyrodzoną moc strasznego inspektora.

Poważny kelner podał zamówiony lunch. Gordon jadł bezmyślnie, zastanawiając się jednocześnie, jaka taktyka w danym wypadku będzie najstuszniejsza. Trzeba było działać szybko, ponieważ nie można było dopuścić do sprawy przeciw Marvanowi. Wobec obciążających dowodów pogromca zostałby bez wątpienia skazany na śmierć lub dożywotnie więzienie, oskarżony o morderstwo z premedytacją.

Gordon postanowił jak najprędzej zobaczyć się z Marvanem i wywnioskować, czy pogromca rzeczywiście dopuścił się zbrodni. Skończył jeść i poprosił o rachunek. Gdy płacił kelnerowi, zauważył, że na salę weszła jakaś szczupła kobieta w towarzystwie Mathewsa, którego poznał ubiegłego wieczoru. „Cóż tu robi ten stary?” - pomyślał doktor. Wstał i wyszedł z restauracji. Pogodny poranek zniknął już bez śladu i zaczął padać drobny uporczywy deszczyk. Gordon wsiadł do samochodu i kazał się zawieźć do domu.

Zatroskany Horacy otworzył natychmiast drzwi swemu panu. Służący przeczuwał jakąś nową eskapadę i był bardzo z tego niezadowolony.

- Czy spakowałeś rzeczy? - spytał doktor.
- Yes sir!
- Nie było do mnie żadnych listów?
- No sir.
- I nikt nie przychodził?
- Przyszedł mister Smidt. Powiedział, że się umówił z panem.

Czeka w gabinecie.

- To dobrze - ucieszył się Gordon, rad że opryszek nie uciekł.

Barczysta postać siedziała nieruchomo w fotelu. Na dźwięk otwieranych drzwi cyrkowiec nie poruszył się nawet, jakby był pogrążony w głębokiej zadumie.

- Hallo. Natan! Dobrze, że przyszedłeś! - powiedział doktor.

Drab nie drgnął. Gordon podszedł szybko do fotela i dopiero teraz

zauważył, że ma przed sobą trupa. - Do wszystkich diabłów! - zaklął pod nosem.

ROZDZIAŁ IV

Gordon dotknął zimnej, nieruchomej ręki. Nie było wątpliwości, Natan Stomer nie żył. Doktor natychmiast podszedł do telefonu. Należało zawiadomić Scotland Yard. Niemał od razu odezwał się Hawkins.

- Niech pan przyjedzie zaraz do mnie, inspektorze. Proszę zabrać ze sobą doktora Prista i dwóch pewnych ludzi - rzucił w słuchawkę Gordon.

Hawkins zbyt dobrze znał swego współpracownika, aby pytać o jakiegokolwiek wyjaśnienia. Nie zwlekając wydał odpowiednie rozkazy i w niespełna dziesięć minut siedział w samochodzie w towarzystwie doktora, Rinca i dwóch policjantów. Gdy przedstawiciele Yardu weszli do gabinetu, Gordon kończył właśnie pobieżne badanie.

- Świetnie, że pan przyjechał, mister Prist - powiedział z zadowoleniem - mam tu dla pana pacjenta. Obejrzałem go naprędce, ale pan posiada w tym zakresie dużo większą wprawę.

Mały człowieczek nie zwlekając zbliżył się do ciała.

- Co tu się stało? - spytał półgłosem inspektor.

- Za chwilę panu wszystko wyjaśnię - odparł Gordon. - Na razie chciałbym bardzo posłyszeć zdanie mego kolegi po fachu.

- No cóż? - mruknął po dłuższej chwili doktor Prist. - Chcąc dokładnie ustalić przyczynę śmierci, należałoby dokonać sekcji. Na razie mogę tak na oko powiedzieć, że ten człowiek zmarł najdalej przed dwiema godzinami i wydaje mi się, że został albo uduszony albo otruty.

- Uduszony - zdumiał się Hawkins.

- Uduszony lub otruty - powtórzył chudy staruszek.

- To się całkowicie pokrywa z moimi spostrzeżeniami - szepnął

Gordon. - Chciałbym pana prosić, inspektorze, aby poddano ciało specjalnie dokładnym badaniom - dodał głośno. - Muszę mieć w tej sprawie zupełną pewność i liczę na pana, mister Prist - zwrócił się z kolei do doktora.

- Zrobimy sekcję - powiedział obojętnie Prist.

Hawkins wydał swoim ludziom rozkazy i niebawem uprzątnięto trupa. W gabinecie pozostali tylko Gordon, inspektor i Rinc. Młody detektyw dokładnie obejrzał cały pokój i usiadł w głębokim fotelu. Hawkins zapalił papierosa.

- Co to wszystko ma znaczyć, doktorze? - spytał spoglądając na Gordona. - Co to za człowiek i kto go zamordował?

Gordon pobieżnie opowiedział o wczorajszym spotkaniu w restauracji i o tym, że zaprosił do siebie „Czerwonego Natana”.

- Czy badał pan już w tej sprawie swego służącego? - spytał inspektor.

- Nie jeszcze. Nie zdążyłem.

- Niech pan go tu zaprosi.

Gordon w milczeniu nacisnął dzwonek. Po chwili ukazała się we drzwiach przerażona twarz Horacego. Doktorowi wydało się, że ogromny nos lokaja jeszcze się wydłużył.

- Kiedy do nas przyszedł ten człowiek?

- Na pół godziny przed panem, sir - odparł Horacy.

- Czy zauważyłeś w nim coś niezwykłego?

- Nic nadzwyczajnego. Miał tylko twarz bardzo czerwoną i krwią nabiegłe oczy. Nie chciałem go wpuścić, ale powiedział, że pan doktor kazał mu przyjść, więc pozwoliłem mu wejść. Chyba nie zrobiłem nic złego, sir?

- Nie, nie, oczywiście. Ten człowiek powiedział prawdę. Umówiłem się z nim na dzisiaj. Czy nikt później nie przychodził?

- Nie. Zamknąłem drzwi starannie i nie wpuszczałem nikogo.

- Czy ten człowiek nie pił tutaj wody, albo nie jadł czegoś?

- Nie - odparł ze zdumieniem służący. - Nie mam zwyczaju częstować nieznanym.

Gordon uśmiechnął się lekko.

- To wszystko. Nie jesteś mi na razie potrzebny.
- Czy pan wyjeżdża dziś? - spytał od progu Horacy.

Doktor potrząsnął głową. Nie. Rozmyśliłem się. Zostaję. Rozpakuj rzeczy. Gdy Horacy zniknął za drzwiami, Hawkins spojrzął uważnie na Gordona.

- Cóż to - miał pan zamiar wyjechać z Londynu, doktorze?
- Niezupełnie - uśmiechnął się Gordon. - Miałem zamiar symulować wyjazd i przenieść się do innej dzielnicy. To mogło mi z wielu względów dopomóc w robocie. Po tym jednak, co zaszło, postanowiłem zrezygnować z tej przeprowadzki.

- Nie bardzo pana rozumiem, ale mniejsza z tym - powiedział inspektor. - Co pan sądzi o tym nowym morderstwie? Czy przypuszcza pan, że ma ono coś wspólnego ze sprawą Borelliego?

- Oczywiście - odparł bez namysłu doktor. - Ten wypadek utwierdza mnie w przekonaniu, że Marvan jest niewinny.

- Jak to?

- To proste. „Czerwony Natan” przyszedł do mnie z zamiarem zdradzenia mi pewnych rzeczy. Musiał się przedtem jednak wygadać, a człowiek któremu zależało na tym, aby te wiadomości do mnie nie dotarły, zgładził go. Marvan oczywiście nie mógł tego dokazać, ponieważ siedzi w więzieniu.

- Rozumowanie nieco fantastyczne - mruknął Hawkins. - Ale przypuśćmy, że to morderstwo ma jakiś związek z naszą sprawą, to przecież można także podejrzewać, że tego człowieka sprzątnęli jacyś wspólnicy Marvana, obawiający się zdrady.

- Naturalnie - zgodził się doktor. - Ale wydaje mi się, że to byłoby jeszcze bardziej skomplikowane. Trzeba by przyjąć, że działa tu cała zorganizowana banda.

- Musimy każdą ewentualność brać pod uwagę. Jakie ma pan teraz plany doktorze? - spytał inspektor.

- Pragnę jak najprędzej pomówić z człowiekiem nazwiskiem Mathews. Jeżeli panowie mogą mnie podwieźć do cyrku Borelliego, będę bardzo zobowiązany.

- Oczywiście, niech pan jedzie z nami.

Stary żongler z niemałym zdziwieniem powitał niespodziewanego gościa. Właśnie siedział na swym trochę pogiętym łóżku i cerował pracowicie stare, wysłużone spodnie, gdy wszedł Gordon. Mathews poznał wprawdzie doktora poprzedniego dnia, ale był wtedy tak pijany, że ta nowa znajomość zupełnie mu się zatarła w pamięci.

- Czego pan sobie życzy? - spytał uprzejmie, przypuszczając, że ma przed sobą znowu kogoś z policji.

Gordon usiadł na niezbyt czystym krześle i poczęstował starego papierosem.

- Mister Mathews - powiedział, zaciągając się dymem - przyszedłem do pana w sprawie Marvana.

- W sprawie Marvana?

- Yes. Słyszałem, że pan jest najlepszym przyjacielem pogromcy.

- Tak - powiedział cicho Mathews. - Tak, to prawda.

- Czy pan by chciał dopomóc Marvanowi?

- Ależ naturalnie. Zrobiłbym wszystko, żeby ratować tego chłopca. Niestety nic chyba mu nie pomoże.

Doktor pochylił się do ucha starego i zniżył głos do szeptu.

- Ja chcę ratować Marvana. Jeżeli mi pan pomoże, wyciągniemy go z tej paskudnej historii.

Żongler spojrzał trochę podejrzliwie na mówiącego. Pragnął odgadnąć, gdzie tu się kryje podstęp.

- Czego pan chce ode mnie? - mruknął niechętnie. - Czy pan jest z policji?

- Chcę, żeby pan ze mną szczerze pomówił - odparł Gordon puszczając mimo uszu ostatnie pytanie.

- O co chodzi?

- Czy zna pan człowieka nazwiskiem Bob Smidt?

- Oczywiście. To cyrkowiec od nas.

- Czy to porządny człowiek?

- Myślę, że tak. Nie miałem z nim zresztą wiele do czynienia.

- A gdzie on jest teraz? Czy może go pan do nas zaprosić?

Mathews potrząsnął głową.

- Nie. Boba teraz nie ma w cyrku. Poszedł do jakiegoś inspektora, którego wczoraj spotkał w knajpie.

- Cóż on panu opowiadał o tym inspektorze? - spytał Gordon.

- Nic ciekawego - mruknął niechętnie stary.

- No, mniejsza o to. Lubi pan chodzić do restauracji, mister Mathews?

- Czasami.

- O ile mnie pamięć nie myli, był pan dziś na lunchu u Ritza?

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany. Rzeczywiście byłem u Ritza.

- Z piękną panią.

Mathews uśmiechnął się mimo woli.

- Nie przypuszcza pan chyba, że w moim wieku... Tak, byłem z koleżanką.

- Któż to taki?

- Interesuje to pana?

- Bardzo!

- Byłem z Ritą, woltyżerką.

- Czy to mężatka, czy panna?

Mathews zaśmiał się.

- O, widzę, że pan ma matrymonialne plany! Mogę pana pocieszyć, że Rita jest panną, ale niestety jest już zajęta.

- Ma narzeczonego?

Stary skrzywił się pogardliwie.

- Et, taki tam i narzeczoney. Nie myślę, żeby Winkler miał zamiar z nią się żenić.

- Więc ta Rita jest kochanką Winklera?

- Ano niby tak.

- Tego kłowna?

- No właśnie.

- Ale przecież ten Winkler jest podobno zakochany w miss Borelli.

- Tak, to prawda. Ale panna Bianka nawet patrzeć na niego nie chce. Kochają się z Fredem.

- Z Marvanem?
- Tak, ale cóż? Nie wiadomo jak to teraz będzie z tym chłopakiem.
- Więc pan powiada, że teraz nie ma w cyrku Smidta? - spytał nagle Gordon.
- Mówilem już przecież panu, że go nie ma - odparł trochę zdziwiony Mathews.
- Czy pan słyszał, że ten Smidt grywa na jakimś instrumencie?
- Tak, jak sobie podpije to wyciąga z kufra coś takiego dziwnego i niby coś tam próbuje grać.
- Cóż to za instrument? - zaciekał się doktor.
- A diabli go wiedzą! Trochę wygląda jak mała kobza, ale ma strunę. Podobno murzyński.
- Skądżeż Smidt zdobył murzyński instrument?
- A bo ja wiem? Opowiada, że był w Afryce i polował na dzikie zwierzęta. Ale bo to prawda - wzruszył ramionami.
- Z kim się pan widział od wczoraj wieczór? Z kim pan rozmawiał?

Mathews zastanowił się chwilę.

- Właściwie z nikim. Ano tylko z tą Ritą, z którą łąziłem od rana po mieście. Robiła sprawunki i poprosiła mnie, żebym jej pomógł nosić paczki.
- Uhm. No, dziękuję panu bardzo za wiadomości - powiedział doktor wstając. - Jeżeli chce pan naprawdę dopomóc swemu przyjacielowi Marvanowi, to niech pan mnie dokładnie informuje o tym, co się dzieje w cyrku. Będę znowu u pana za parę dni. Do widzenia!
- Do widzenia! - mruknął stary, podnosząc się z miejsca i wyprowadzając gościa.

Wyszedłszy od Mathewsa Gordon poczuł, że ma chaos w głowie. Zdobyty dotychczas materiał pozwalał na wysuwanie pewnych przypuszczeń, ale właściwie nie było jeszcze podstaw do prawidłowego wnioskowania. Doktor odczuł nagle potrzebę porozmawiania z kimś na temat swych rozmyślań. Jak zwykle w

takich wypadkach pomyślał natychmiast o Horacym. Wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Służący dość długo nie otwierał drzwi. Wreszcie jednak ukazał się. Twarz miał zatroskaną i poważną.

- Nie słyszałeś dzwonka? - spytał dość ostro Gordon.
- Zaczytałem się trochę sir. Przepraszam.
- Cóż ty znowu czytasz?
- Arsen Lupin w walce z Sherlockiem Holmesem - odparł

Horacy.

- Znasz już chyba tę powieść? - Uśmiechnął się doktor.
- Yes sir, ale chciałem sobie pewne szczegóły przypomnieć.
- Nie było do mnie żadnej poczty? - rzucił Gordon.
- No, sir.
- To dobrze. Chodź do gabinetu.

Horacy ruszył posłusznie za swym panem. Doktor kazał mu usiąść w fotelu, sam zaś zapalił papierosa i przez czas dłuższy przechadzał się nerwowo po pokoju.

- Czy wiesz czym się obecnie zajmuję? - spytał wreszcie.
- Yes sir. Interesujemy się łapami goryla. Gordon spojrzał zdziwiony.

- Skąd wiesz? - spytał, zatrzymując się przed lokajem.

- Zauważyłem sir, że pan wyciął z gazet pewne artykuły, a poza tym był tu dziś mister Hawkins i pan miał wyjeżdżać. Odwołaliśmy wizyty pacjentów. To znaczy, że znowu zaczynamy pracować ze Scotland Yardem. A że obecnie najbardziej sensacyjną sprawą jest morderstwo Borelliego, więc nie tak trudno było mi się domyśleć wszystkiego.

Doktor popatrzył na mówiącego z uśmiechem.

- Rozumiesz zupełnie logicznie - powiedział z uznaniem.

- Pana szkoła, sir - skłonił głowę Horacy.

- No dobrze - mruknął Gordon - ale co ty sądzisz o tym drabie, który zmarł tutaj u nas?

- Nie wiem, co mam o tym sądzić - odparł cicho lokaj.

- Tak, tak. Wszystko to jest trochę dziwne. Wczoraj spotkałem tego opryszka w knajpie z Mathewsem i kazałem mu przyjść do

siebie. Przychodzi i umiera nie rozmówiwszy się. Prawdopodobnie został otruty, Mathews dowiedział się od niego wielu ciekawych rzeczy i prawdopodobnie zwierzył się ze swych wiadomości Ricie, woltyżerce, z którą dziś był od rana. Rita jest kochanką, a może i współniczką Winklera. Nie jest wykluczone, że zdołała o niektórych sprawach powiadomić swego przyjaciela. A może Winkler znał się nazbyt dobrze z „Czerwonym Natanem”, może się czegoś obawiał? Co ty o tym wszystkim sądzisz, Horacy?

Lokaj pomyślał, chwilę, pocierając swój ogromny nos.

- Niestety nie mogę podążyć za pańskimi myślami, sir, ponieważ nie znam sprawy. Wydaje mi się jednakże, że tego rodzaju rozumowanie posiada pewne słabe strony.

- Mianowicie?

- Ten człowiek, którego pan nazywa „Czerwonym Natanem”, mógł przecież zwierzyć się jeszcze komuś, że ma porozmawiać z panem doktorem. Poza tym trudno uwierzyć, aby Rita tak od razu zdołała o wszystkim powiadomić swego kochanka. Można także przyjąć, że Mathews jest zamieszany w jakiś sposób w tę całą sprawę. Tak czy inaczej pańskie rozważania mogą okazać się słuszne, ale nie dają żadnych pewnych podstaw do wnioskowania.

Gordon potarł dłonią czoło.

- Oczywiście, oczywiście, to wszystko nie posiada jeszcze twardego ugruntowania - powiedział w zamyśleniu. - Co do Mathewsa jednak, to nie przypuszczam, aby ten stary był zamieszany w historię. Wyczuwam w nim porządnego człowieka. Robi tylko wrażenie ogromnie prostodusznego i dobrotliwego. Dlatego też może być łatwo wykorzystywany przez innych.

- Czy ten człowiek, który tutaj umarł, zawsze miał taką czerwoną twarz? - spytał Horacy.

- Tak. Dlatego był znany pod przydomkiem „Czerwony Natan”.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek u drzwi frontowych. Służący poderwał się z miejsca i po chwili w drzwiach gabinetu ukazała się drobna postać doktora Prista. Staruszek był bardzo jakiś

zaaferowany, usiadł na krześle i hałaśliwie wytarł nos.

- Mam dla pana wiadomości - powiedział, chowając kraciatą chustkę do kieszeni.

Gordon poruszył się niespokojnie.

- Słucham uważnie, doktorze. Czy coś ciekawego?

- Sądzę, że tak. Stwierdziłem, że ten człowiek u pana został otruty.

- Tak przypuszczałem - mruknął Gordon. - Czy stwierdził pan, jakiego rodzaju trucizny użyto w tym celu?

- Właśnie na tym polega cała trudność - odparł Prist. - Nie znam tej trucizny. Zupełnie nie wiem, co to takiego. Mogę jedynie stwierdzić, że był to jakiś specjalny preparat, działający w przeciągu dłuższego okresu czasu. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie dopiero w parę godzin po zażyciu trucizny.

- To bardzo ciekawe - szepnął Gordon. - Więc pan zupełnie nie orientuje się jakiego rodzaju była to trucizna?

Doktor potrząsnął głową.

- Nie spotkałem się jeszcze w mej praktyce z takim związkciem.

- Musimy pojechać do profesora Polkinsa.

- I ja tak sądzę - przytaknął staruszek. - Właśnie miałem to panu zaproponować.

- A więc nie traćmy czasu! - rzucił Gordon. - Czy ma pan przy sobie preparat?

- Oczywiście. Wziąłem probówkę.

- Czy ma pan samochód?

- Tak.

Gordon włożył płaszcz i porozmawiawszy chwilę z Horacym, wyszedł w towarzystwie doktora Prista.

Profesor Polkins mieszkał na Trafalgar Square. Był to bardzo dystyngowany starszy pan, o rysach twarzy arystokraty i dużych zamyślonych oczach. Posiadał sławę najlepszego znawcy toksykologii i często oddawał nieocenione usługi Scotland Yardowi. Doktora Prista znał doskonale, z Gordonem zapoznał się przed paroma miesiącami. Profesor miał u siebie jakichś interesantów i

dopiero po pół godzinie zaprosił gości do swego gabinetu.

- Cóż pana do mnie sprowadza, kochany doktorze? - powiedział ściskając dłoń staruszka. - Witam pana, mister Gordon. Proszę, niech panowie siadają.

- Przychodzimy do pana profesora z wielką prośbą - zaczął Prist.

- Słucham. Cóż tam nowego? Znowu ktoś został otruty?

- Właśnie.

- Cyjanek potasu, czy arsenik?

- Ani jedno, ani drugie.

- Więc?

Doktor Prist zapalił papierosa, nie częstując nikogo.

- Otóż to, panie profesorze - powiedział z wolna. - Otóż to właśnie, że nie mogę się zorientować, jakiego rodzaju trucizna została użyta, a ponieważ obecny tu mister Gordon przywiązuje do tej sprawy dużą wagę, więc pozwoliliśmy sobie niepokoić pana profesora.

- Czy ma pan to przy sobie? - spytał krótko profesor Polkins.

Prist wydobył z kieszeni niewielką próbkę, zawiniętą starannie w papier.

- Służę panu.

Polkins wstał i obejrzał zawartość pod światło.

- Przepraszam panów na chwilę - powiedział pośpiesznie. - Muszę zbadać tę sprawę w moim laboratorium. To nie potrwa długo.

- Wydaje mi się, że ten płyn zainteresował profesora - mruknął Gordon, gdy Polkins zniknął za drzwiami.

Prist zrobił zdruzoną minę.

- Bardzo możliwe.

Umilkli. Gordon niecierpliwie spoglądał na zegarek. Spodziewał się telefonu Bianki i chciał jak najprędzej wrócić do domu. Jednakże dopiero po trzech kwadransach toksykolog pojawił się w gabinecie. Był jeszcze bardziej zamyślony niż zazwyczaj.

- No i co? - rzucił pośpiesznie Gordon, - Co się stało?

Polkins usiadł i pogładził swą gładko wygoloną twarz.

- No tak, rzeczywiście - powiedział w zamyśleniu. - Mamy tu do czynienia z bardzo ciekawym przypadkiem. Jest to trucizna pochodzenia egzotycznego. Mam wrażenie, że działanie jej jest silne, ale nie natychmiastowe. Mógłbym zaryzykować przypuszczenie, iż jest ona pochodzenia afrykańskiego.

- Afrykańskiego? - zawołał Gordon.

- Tak jest. Bardzo zbliżonym preparatem Murzyni w dorzeczu Konga zatruwają swoje strzały. Specjalny wyciąg roślinny. Są to niezbadane jeszcze przez Europę tajemnice Czarnego Łądu.

- Więc to na pewno nie jest żadna ze znanych nam trucizn? - spytał Prist.

- Mogę pana zapewnić, że nie, doktorze - uśmiechnął się profesor. - Niestety nie potrafię dać panom dokładnych informacji w tym względzie, ponieważ sam spotykam się z tym po raz pierwszy. Mogę tylko wysnuć pewne przypuszczenia, oparte na dotychczasowym doświadczeniu.

- Zrobił pan wielkie głupstwo, mister Prist! - zawołał nagle Gordon.

- Ja? - zdumiał się starszek.

- Tak, pan. Nie dokonał pan sekcji zwłok Borelliego.

- A to po co? Nie widziałem najmniejszej potrzeby. Przyczyna śmierci była zupełnie wyraźna.

- Panie profesorze - zwrócił się Gordon do Polkinsa. - Czy pan uważa, że po paru dniach można będzie ustalić czy dany osobnik został otruty?

- Teoretycznie można, ale to właściwie bardzo trudna sprawa - odparł profesor.

- Czy pan profesor uważa, że ta trucizna, którą pan przed chwilą badał, może swym działaniem spowodować symptom uduszenia?

Polkins pomyślał chwilę.

- Tak, to jest możliwe - odparł z namysłem. - Tego rodzaju jad atakuje często drogi oddechowe.

- Doktorze Prist - zawołał podniecony Gordon. - Musimy

natychmiast dokonać sekcji zwłok Borelliego.

- Ależ - zaproponował starszek. - Borelli jest już pochowany.
- Trudno. Zarządzi się ekshumację.
- W tej sprawie musi się pan porozumieć z inspektorem

Hawkinsem.

- Oczywiście.
 - Czy panowie życzą sobie jeszcze ode mnie jakichś informacji
- spytał Polkins. Gordon wstał.

- Dziękujemy bardzo, profesorze. Na razie to byłoby wszystko. Nie zabieramy już panu więcej czasu. Do widzenia!

- Do widzenia!

Doktor Prist odwiózł Gordona do domu. Starszek był posępny i milczący. Robił wrażenie człowieka zmęczonego.

- Pan naprawdę myśli o tej ekshumacji? - spytał przy pożegnaniu.

- Oczywiście. Jutro musimy się tym zająć.
- Czy pan sądzi, że to da jakieś wyniki?
- Obawiam się, że obecnie już nie, ale nie możemy tego zaniedbać.

- All right - mruknął stary, wyciągając rękę.

Po powrocie doktora do domu, Horacy spojrział badawczo na swego pana. Od razu zauważył, że coś się stało.

- Co nowego, sir? - spytał nieśmiało.

Doktor pośpiesznie zdjął palto.

- Nowa sensacja - powiedział, przyglądając włosy. - „Czerwony Natan” został otruty jakąś nieznaną murzyńską trucizną. Czy ty rozumiesz, co to znaczy?

- Nic nie rozumiem.
- Wszystko skupia się wokół Afryki. „Czerwony Natan” gra na murzyńskim instrumencie, ginie od tajemniczej murzyńskiej trucizny. Goryle także żyją w Afryce. Rozumiesz Horacy, rozumiesz?

- Nie bardzo.
- Mniejsza o to - machnął ręką Gordon. - Daj mi coś do

zjedzenia, bo jestem wściekle głodny!

Horacy zakrzętnął się pośpiesznie koło kolacji. Gdy Gordon kończył pić herbatę, w przedpokoju zadzwęczał dzwonek.

- Miss Borelli - zaanonsował po chwili służący.

Doktor zerwał się od stołu.

- Proszę, niechżeż pani wejdzie! Proszę bardzo - powiedział wybiegając do przedpokoju. - Może się pani ze mną napije herbaty?

Bianka była blada, ale już całkowicie opanowana i spokojna. Przywitała się z Gordonem, a zajmwszy miejsce przy stole, spojrzała pytająco na doktora.

- Z niepokojem oczekuję wiadomości - powiedziała pośpiesznie. - Czy ma mi pan coś pomyselnego do zakomunikowania?

Gordon z wolna zapalił papierosa.

- No cóż - odparł po chwili. - Trudno mi pani jeszcze coś konkretnego powiedzieć. Sprawa jest niewątpliwie dość skomplikowana, ale...

- Czy sądzi pan, że Fredowi grozi naprawdę poważne niebezpieczeństwo?

- Hm. Zapewne. Oskarżenie jest bardzo poważne. Policja posiada pewne dowody winy. Nie przeczę, że te dowody mogą mieć fałszywe podstawy. Tym niemniej nie wydaje mi się, aby pani narzeczony tak prędko znalazł się na wolności.

- Ależ panie doktorze! Przecież Fred jest niewinny, przecież to tylko jakieś nieporozumienie, które musi się w najkrótszym czasie wyjaśnić, przecież...

Gordon uważnie spojrzał na dziewczynę, ześlizgując się zachwyconym spojrzeniem po jej gęstych puszystych włosach.

- Czy pani jest rzeczywiście tego pewna? - powiedział z naciskiem, patrząc Biance w oczy - że Marvan jest niewinny, czy nie ma pani co do tego żadnych wątpliwości?

Pod wpływem przenikliwego wzroku doktora dziewczyna zmieszła się wyraźnie.

- Wydaje mi się, że Fred nie byłby zdolny do czegoś podobnego - szepnęła niewyraźnie.

- Więc tylko się pani wydaje, że Marvan jest niewinny - mruknął Gordon. - To, co pani przed chwilą powiedziała, nie brzmi przekonywująco.

Bianka zerwała się z miejsca.

- Na miłość boską, niechżeż mnie pan nie łapie za słówka! Marvan jest niewinny, niewinny! Słyszysz pan! I muszą go puścić! Muszą! Muszą!

- Niechżeż się pani uspokoi - powiedział łagodnie doktor. - Ma pani przed sobą przyjaciela. Nie trzeba się tak unosić. Jeśli o coś pytam, to dlatego, że mi to może rzucić pewne światło na sprawę. Proszę jednak powiedzieć mi czy to prawda, że ojciec pani był bardzo silny?

- Ojciec mój był bardzo silny. Przecież występował jako atleta. Ale dlaczego pan o to pyta?

- Bo mi się wydaje, że gdyby nawet Marvan chciał popełnić zbrodnię, to chyba nie zdołałby zamordować ojca pani gołymi rękami.

- Ależ to niemożliwe! Ojciec by go zabił na miejscu - zawołała Bianka.

- Hm. Tak. Czy pani wie, na jakiej podstawie oskarżają Marvana?

- Wiem. Oczywiście. Znalezione na miejscu zbrodni odciski łap goryla.

- Co pani o tym sądzi?

- Nie wiem. Nie rozumiem - szepnęła cicho Bianka.

Gordon spojrzał na dziewczynę ze współczuciem. Dość już tego inkwizytorskiego tonu. Dlaczego właściwie tak ją męczy.

- Panno Bianco - powiedział serdecznie. - Proszę mi wybaczyć, że zadręczam panią tymi wszystkimi pytaniami, ale pani rozumie przecież, że staram się zdobyć maksimum materiału, który by nam pozwolił skutecznie ratować Marvana.

Podniosła na niego duże bardzo smutne oczy.

- Jest pan taki dobry dla mnie, że nie wiem czym się będę mogła panu odwdziaczyć - szepnęła. - Nigdy nie przypuszczałam, że

można spotkać takiego człowieka na świecie, doktorze.

Gordonowi zrobiło się trochę nieprzyjemnie. Ta dziewczyna wyobraża sobie, że wszystko to on robi dla niej, a tymczasem pracuje przecież na dwa, a raczej na trzy fronty.

- Nie mówmy o tych rzeczach - powiedział niechętnie. - Będę bardzo rad jeśli zdołam w czymś dopomóc. Czy znalazła już pani dla siebie jakieś mieszkanie?

- Tak. Wynajęłam pokój umeblowany na Oxford Street. Proszę mnie kiedyś odwiedzić. Numer dwadzieścia trzy.

Gordon zapisał sobie starannie adres w notesie.

- Dziękuję. Chętnie skorzystam z zaproszenia.

Bianka wstała.

- Muszę już iść - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Zrobiło się bardzo późno. Jeśli pan pozwoli, to dowiem się jutro lub pojutrze. Wpadnę albo zadzwonię. Proszę się nie gniewać za moje natręctwo, ale doprawdy w tej chwili nie mam się do kogo zwrócić o pomoc.

Doktor ze wzruszeniem uściśnął rękę dziewczyny.

- Jestem w każdej chwili do dyspozycji. Proszę absolutnie niczym się nie krępować i czuć się u mnie jak u siebie w domu. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli rzeczywiście zdołam dla pani coś zrobić.

Po wyjściu Bianki, Gordon jeszcze późno w noc pracował intensywnie, robiąc notatki i zbierając cały dotychczasowy materiał. Gdy wreszcie położył się do łóżka i usnął, śniła mu się piękna dziewczyna w powiewnej białej sukni. Chciał ją dogonić i porwać w objęcia, ale oddalała się coraz bardziej, aż zniknęła w srebrzystej, błyszczącej mgle.

Nazajutrz była niedziela. Nie zważając na to doktor wstał bardzo wcześnie i pojechał do Scotland Yardu. Postanowił natychmiast porozumieć się z Mellersonem. Pomimo święta nadinspektor urzędował jak zwykle w swym gabinecie. Zobaczywszy wchodzącego Gordona wstał i przywitał się uprzejmie.

- Cóż to, nie pojechał pan na weekend? - spytał przyjaźnie.

- Nie - odparł Gordon. - Mam ważniejsze sprawy.

- Domyślam się, że sprawa Borelliego tak pana absorbuje. Bardzo jestem ciekaw, co pan myśli o tej historii.

- Przede wszystkim utwierdzam się coraz bardziej w przekonaniu, że Marvan jest niewinny - odparł doktor.

- No, to ciekawe. A cóż pan na te odciski łap goryla. Przecież nikt inny nie potrafi w cyrku dyrygować tym potworem.

- Panie nadinspektorze - powiedział rzeczowo Gordon, puszczając mimo uszu pytanie. - Przychodzę do pana w trzech zupełnie konkretnych sprawach.

- Słucham!

- Po pierwsze, chciałbym się jak najprędzej zobaczyć z Marvanem.

- Każę panu zaraz wydać pismo do więzienia - rzucił Mellerson. - Słucham, cóż dalej?

- Następnie jestem zmuszony prosić pana o zarządzenie ekshumacji zwłok Borelliego.

- Ekshumacji?

- Tak. Zwłoki Borelliego muszą być poddane natychmiastowemu badaniu. Mam poważne podejrzenie, że Borelli nie został uduszony, lecz otruty.

Mellerson spojrzał bardzo uważnie na mówiącego.

- Mister Gordon - powiedział dobitnie. - Zdaje sobie pan sprawę z tego, że to jest bardzo poważne żądanie z pana strony

- Oczywiście. Lecz nie mogę z tego zrezygnować, panie nadinspektorze.

- Dobrze więc. Zarządzę ekshumację. Polegam na pańskim zdaniu. Czy pan ma jeszcze jakąś sprawę?

- Tak - odparł Gordon. - Mam jeszcze jedną prośbę, ale boję się, że pan inspektor nie zgodzi się na to.

- Słucham. Cóż to takiego? - zainteresował się Mellerson.

- Pragnę pana prosić o zgodę na nakręcenie filmu.

- Pan chce kręcić film?

- Tak. Krótkometrażówkę.

- Co panu przychodzi do głowy? - zawołał nadinspektor. - Chce

pan zostać aktorem filmowym?

- Nie. Raczej reżyserem.

- To coś zupełnie niesłychanego, doktorze. Nie możemy na to przeznaczyć funduszków.

- Panie nadinspektorze - powiedział spokojnie Gordon. - Nakręcenie tego filmu jest mi potrzebne do wykonania zadania zleconego mi przez pana. Może pan to oczywiście uważać za głupstwo. Chodzi tu o pewien eksperyment psychologiczny. Zaproponuję panu takie rozwiązanie tej sprawy. Jeśli eksperyment się nie uda, ja po kryję z własnych funduszków koszty produkcji, jeśli się uda, pan znajdzie na to odpowiednie pieniądze. Dobrze?

Mellerson pomyślał chwilę.

- Dobrze. Wydaje mi się to jakimś fantastycznym pomysłem, ale zgadzam się. Nie chcę krępować pańskiej inicjatywy.

- Dziękuję - rzucił Gordon. - Poproszę teraz o pismo w sprawie widzenia z Marvanem.

- Dobrze. Zaraz będzie.

Nadinspektor podniósł słuchawkę i wydał odpowiednie polecenie. Po upływie kwadransa Gordon opuszczał Scotland Yard z zamiarem natychmiastowego rozmówienia się z Marvanem. Zamiar jednak nie został zrealizowany.

Wszystkie wozy Scotland Yardu były na razie zajęte, toteż Gordon nie chcąc tracić czasu zatrzymał na ulicy taxi i kazał się zawieźć do więzienia. Gdy wóz ruszył, doktor zauważył w rogu dużą bardzo elegancką teczkę z żółtej skóry. W pierwszym odruchu chciał wręczyć ją szoferowi, ale wiedziony ciekawością zawodową zajrzał do środka. Były tam rozmaite papiery, notatki i szeroki notes. Kierowca, który nie miał przed sobą lusterka, nie zauważył manipulacji pasażera. Gordon przerzucił pobieżnie zawartość teczki i nagle kazał zatrzymać auto przed jakąś skromną restauracją. Zapłacił szoferowi i wszedł do wnętrza. Lokal był drugorzędny i o tej porze prawie pusty. Doktor usiadł w końcu niewielkiej salki i zamówił herbatę. Mógł tutaj spokojnie przejrzeć zawartość znalezionej teczki. Z notatek oraz z biletu wizytowego wywnioskował, że nieuważnym

pasażerem taksówki był Oliver Hollay, który, jak wynikało z listu do jakiegoś Francuza, mieszkał w „Savoyu”.

Kto to jest Hollay? - pomyślał Gordon. - Hollay, Hollay - mruknął pod nosem w zadumie. Nazwisko to wydało mu się bardzo znajome. - No tak, oczywiście, oczywiście! Hollay jest owym bogatym adoratorem Bianki, za którego Borelli chciał koniecznie wydać swą córkę. To się zgadza.

Dalsze badania przyniosły dużo ciekawego materiału. Były to kalkulacje jakichś transakcji handlowych, sporo rozmaitych adresów oraz zapiski szyfrowe. W pewnej chwili doktor zauważył zanotowane nazwisko Winklera.

Co może mieć wspólnego kłown cyrkowy z wielkim przemysłowcem?

Było to trochę zastanawiające. Należało nawiązać natychmiastowy kontakt z Hollayem, który, jak wynikało z notatek, prowadzi jakieś skomplikowane interesy z Afryką.

Ciągle Afryka, ciągle Afryka - mruczał Gordon zgarniając papiery. Skinął na kelnera i zapłacił za herbatę. Zrezygnował na razie z jazdy do więzienia. Wyczuwał instynktownie, iż przypadek daje mu do ręki nowy materiał do sprawy Marvana. Hollay mógł w każdej chwili wyjechać z Londynu. Nie można było tracić czasu. Ciemna limuzyna zawiozła doktora do Savoyu. Gordon nie był tu częstym gościem i portier go nie znał.

- Czy mieszka tu mister Hollay?
- Yes sir.
- Czy jest u siebie w numerze?
- No sir. Mister Hollay wyszedł.
- Proszę o numer - rzucił Gordon.

Portier pokręcił głową.

- Niestety, sir. Wszystkie pokoje zajęte.
- Niech pan dobrze poszuka. Może się coś dla mnie znajdzie?
- Chyba na czwartym piętrze. Mały pokoiik.
- Dobrze. Niech będzie na czwartym piętrze.
- Nazwisko pana?

- John Brown. Proszę kazać przygotować pokój. Zaraz przywiozę swój bagaż.

Gordon wyszedł pośpiesznie z hotelu i pojechał do domu. Tu rozkazał Horacemu natychmiast spakować dużą walizę, a sam jeszcze raz przejrzał dokładnie zawartość żółtej teki. Spośród kartek dużego notesu wypadły na podłogę dwa zdjęcia. Doktor szybko podniósł fotografie i w pierwszej chwili osłupiał. Były to zdjęcia Marvana. Gordon potarł ręką czoło, jakby chciał się przekonać, czy nie ma gorączki. Potem zaś błyskawicznie wydobyl z biurka fotografię Marvana, którą otrzymał w Scotland Yardzie. Skąd u diabła mogło się znaleźć zdjęcie Marvana i Hollay'a? - mruknął zaintrygowany Gordon. -

- Horacy! Horacy! - zawołał nagle. Ogromny nos służącego pojawił się w gabinecie.

- Słucham sir?

- Bierz natychmiast taksówkę i jedź po pannę Biankę Borelli. Oxford Street dwadzieścia trzy. Zabierz ją do samochodu i jak najprędzej wracaj.

- Yes, sir. Horacy zniknął bez dłuższych rozmów. Tymczasem Gordon połączył się z Yardem.

- Proszę z inspektorem Hawkinsem - rzucił w słuchawkę. - Tak. Dziękuję. Halo, inspektorze. Przenoszę się na jakiś czas do Savoyu. Będę tam mieszkał pod nazwiskiem John Brown. Jestem kupcem z Oxfordu. Rozumie pan. Gdyby było coś pilnego proszę mnie zawiadomić w hotelu, albo najlepiej przez mego służącego. Tak, tak. Horacy jest o wszystkim poinformowany. Bardzo mi zależy na szybkiej ekshumacji zwłok Borelliego. Tak. Tak. Dziękuję panu. To wszystko. Do widzenia!

Doktor odłożył słuchawkę i zapaliwszy papierosa przeszedł się w zamyśleniu po pokoju. Fotografie Marvana w tece Hollay'a dały mu bardzo wiele do myślenia. Trudno było uwierzyć, aby to był prosty przypadek. Ale co w tym mogło być. Co łączy Hollay'a z pogromcą? Gordon usiadł w fotelu i przechyliwszy w tył głowę zamknął oczy. Ta pozycja usposabiała go najlepiej do myślenia.

Po upływie trzech kwadransów powrócił Horacy z Bianką. Dziewczyna była bardzo niespokojna i zdziwiona tymi niespodziewanymi zaprosinami. Gordon wskazał jej uprzejmie krzesło i poczęstował papierosem.

- Niechcesz pan mówi co się stało? - zawołała niecierpliwie Biana. - Umieram z niepokoju.

- Niepotrzebnie się pani denerwuje - uśmiechnął się doktor. - Nie stało się nic złego ani nadzwyczajnego. Po prostu chciałem panią zapytać, czy pani zna tego człowieka?

To mówiąc Gordon podał zdjęcie.

- Ależ to Fred! Fred Marvan!! - zawołała dziewczyna. - Skąd pan ma tę fotografię? Proszę mi ją dać.

- Czy pani jest pewna, że to pani narzeczony? - spytał Gordon chowając zdjęcia do teczki.

- Śmieszne pytanie. Oczywiście, że jestem pewna. Nie mam wątpliwości.

- To dobrze. Niestety nie mogę dać pani tych zdjęć, chciałbym natomiast zadać pani jedno pytanie.

- Słucham?

- Czy Marvan znał Hollay'a.

- Naturalnie. Nienawidził go. Nieraz się bałam, że go zabije.

- I nie przypuszcza pani, aby ich mogły łączyć jakieś, powiedzmy, sprawy handlowe.

- Wykluczone. Hollay bał się Freda, a jednocześnie również go nienawidził. Mówiłam już panu chyba, że Hollay chce mnie poślubić.

- Tak, słyszałem o tym - mruknął Gordon. - Aha. Jeszcze jedna sprawa. Gdyby mnie pani przypadkowo spotkała gdzieś w towarzystwie Hollay'a, proszę udać, że się nie znamy. Czy może mi pani to obiecać?

- Ależ oczywiście. Co prawda zupełnie nie rozumiem o co chodzi, ale skoro pan sobie tego życzy, to naturalnie nie mam nic przeciwko temu.

Gordon wstał.

- Dziękuję - powiedział z lekkim ukłonem. - Proszę mi wybaczyć, że muszę już panią pożegnać, ale mam bardzo pilne sprawy do załatwienia. Przepraszam, że panią fatygowałem.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - spytała dziewczyna.

Doktorowi wydało się, że w tonie jej głosu zadźwięczało może coś więcej, aniżeli zainteresowanie sprawą Marvana. Spojrzał badawczo na Biankę, ale w jej oczach nic nie wyczytał.

- Dam pani znać w najbliższych dniach - powiedział wyciągając rękę. - Tymczasem proszę nie tracić nadziei, że wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję panu. Do widzenia! - szepnęła dziewczyna.

- Do widzenia.

Gdy drzwi się za Bianką zamknęły, Gordon zawołał Horacego i wręczył mu żółtą teczkę. - Idź, odnieś to do pierwszego lepszego komisariatu i powiedz, że znalazłeś w taksówce. Nie podawaj ani swego adresu, ani nazwiska. Jeśli by cię koniecznie o to pytali, powiedz jakikolwiek fikcyjny adres. Rozumiesz?

- Yes, sir. Rozumiem doskonale.

- To dobrze. Sprowadź mi zaraz taksówkę. Przenoszę się do Savoyu. Będę tam mieszkał pod nazwiskiem John Brown. Przyjmuj wszystkie telefony i poczty. Będę z tobą w stałym kontakcie. Gdyby się ktoś o mnie pytał powiedz, że wyjechałem na wieś.

- Yes, sir.

- A teraz spiesz się.

- Yes, sir.

Po upływie pół godziny samochód wiozący Gordona zatrzymał się przed Savoyem i doktor rozkazał wnieść walizę do hallu.

- Czwarte piętro. Pokój 517 - oznajmił portier. - Gordon wsiadł do windy.

Pokoik był rzeczywiście maleńki, ale bardzo przyjemnie urządzone. Doktor rozpakował rzeczy i rozgościł się w numerze. Chciał stworzyć wszelkie pozory. Musiał grać rolę człowieka zmęczonego podróżą. Zamówił kąpiel i zabrał się do golenia.

Teraz dopiero poczuł, że jest bardzo zmęczony. Źle spał ostatniej

nocy. Postanowił trochę odpocząć. Wykąpał się i poszedł do łóżka. Jakżeż przyjemnie było wyciągnąć się w czystej, chłodnej pościeli.

Dzwonek telefonu wyrwał Gordona z głębokiego snu. Przetarł oczy i trochę zdziwiony podniósł słuchawkę. Dzwonił portier, oznajmiając mu, że mister Hollay już wrócił i czeka na niego w swoim pokoju. Doktor uśmiechnął się do swych myśli i począł się szybko ubierać. Po upływie kwadransa zeszedł na drugie piętro i zapukał, do pokoju nr 217.

- Come in - rozległo się z wewnątrz.

Gordon pchnął drzwi i energicznym krokiem wszedł do wnętrza. Z głębokiego fotela podniósł się wysoki, tęgi mężczyzna o krótkim bawolim karku i potężnych barach. Twarz miał szeroką, nalaną, pozbawioną wszelkiego wyrazu. Mogło się zdawać, że ten człowiek nieustannie posługuje się martwą maską. Duże czerwone dłonie wystawały trochę bezradnie z krótkich rękawów marynarki.

Był to Oliver Hollay, zwany popularnie „tłustym milionerem”.

- Czy pan Brown? - spytał grubas, wyciągając szeroką łapę.

- Tak, jestem John Brown z Oxfordu - odparł z ukłonem Gordon.

- Mówiono mi, że pan pytał o mnie. Proszę niech pan siada, mister Brown.

- Tak jest. Przyjechałem specjalnie do Londynu, aby się z panem zobaczyć.

- Ze mną? - zdziwił się Hollay.

Tak jest. Skierował mnie do pana mister Darlinger.

Mister Darlinger - mruknął zdumiony olbrzym - mister Darlinger. Kiedy ja wcale nie znam mister Darlingera.

- Niemożliwe! - wykrzyknął szczerze zaskoczony Gordon. - Mister Darlinger powiedział mi, że zna pana doskonale i właśnie mnie do pana skierował. Musiał go pan chyba zapomnieć.

- Tak, tak, oczywiście. Czekał pan. Mister Darlinger, Darlinger - powtarzał w zamyśleniu Hollay. - Zaraz, zaraz. Może taki nieduży łusy.

- No, właśnie. Taki nieduży łusy - podchwycił Gordon.

Grubas podrapał się za uchem.

- Hm. Wydawało mi się, że on się nazywa Mokey, ale możliwe, że mi się coś pomyliło,

- Prawdopodobnie.

- No, mniejsza o to - machnął ręką Hollay. - Czym mogę panu służyć, mister Brown?

- Jestem handlowcem - zaczął Brown. - Interesują mnie transakcje zamorskie. Właśnie mister Darlinger mnie objaśnił, że pan organizuje jakieś poważniejsze interesy ze Środkową Afryką, więc...

- Ze Środkową Afryką?

- Tak słyszałem.

Hollay zapalił papierosa.

- Jest pan w błędzie, mister Brown - powiedział z naciskiem. - Ja nie handlowałem i nie handluję ze Środkową Afryką ani w ogóle z Afryką. Ktoś musiał pana źle poinformować.

Zapanowało trochę kłopotliwe milczenie.

- Hm. Doprawdy nic nie rozumiem - uśmiechnął się trochę głupkowato Gordon. - Doprawdy bardzo pana przepraszam, że pana niepokoiłem, ale widocznie to jakieś nieporozumienie. Nie rozumiem, przecież mister Darlinger...

Daj pan spokój z tym Darlingerem - zawołał Hollay. - Przykro mi, że się pan trudził aż z Oxfordu, ale ja rzeczywiście nie prowadzę żadnych interesów z Afryką. Wie pan co, może sobie pogadamy przy lunchu. Jestem wściekle głodny. Jeżeli pan pozwoli zapraszam pana do Ritza.

- All right - zgodził się Gordon. - Chętnie będę panu towarzyszył.

- A więc za piętnaście minut spotkamy się w hallu - powiedział Hollay.

Gordon skłonił się uprzejmie wyszedł. Idąc do siebie po schodach rozważał szczegóły rozmowy z milionerem. Wiedział już w tej chwili bardzo wiele o Hollayu, ale miał nadzieję, że w najbliższej przyszłości zdobędzie dalsze informacje. Znalazłszy się u siebie w numerze przebrał się pospiesznie, a następnie zjechał windą na dół.

Grubas czekał już na niego.

- Jedziemy, mister Brown - zawołał wesoło. - Umieram z głodu!

Wspaniały Paccard Hollay'a zawiózł ich do Ritza. Znano tu dobrze „tłustego milionera”, toteż dobry stolik znalazł się mimo tłoku. Wiedziano, że ten gość podchodzi do zagadnień gastronomicznych bez żartów i blagi. Wyfraczony maitre d'hotel natychmiast podbiegł do stolika. Hollay z namaszczeniem przestudiował kartę i zamówił lunch. Gordon zorientował się w jednej chwili, że ma do czynienia z niepowszednim smakoszem.

- Widzę, że bywa tu pan częstym gościem - powiedział, aby przerwać milczenie.

- Tak. Przychodzę tu często na lunch - mruknął grubas, zawiązując sobie serwetę pod brodą.

- I jest pan zadowolony?

- Raczej tak. Tutaj dają jeść najmożliwiej. Chociaż także czasem potrafią coś spaskudzić. Nie ma to jak kuchnia francuska.

- Bywał pan we Francji?

- Tak. Dawnymi laty. Obecnie już dość dawno nie widziałem Paryża.

Gordon kupił od przechodzącego chłopca gazetę i spojrzął na pierwszą stronę. Grubymi czcionkami czernił się tytuł odnośnie zamordowania Borelliego.

- Czy pan czytał o zbrodni w cyrku? - spytał niedbale, podnosząc oczy na Hollay'a. Przez nieruchomą twarz olbrzyma przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz.

- Mówi pan o zamordowaniu Borelliego?

- Tak.

- Czytałem o tym w jakiejś gazecie. Na ogół nie interesują mnie te wszystkie kryminalne sprawy. Podobno aresztowano pogromcę Marvana. Szkoda mi tego chłopca. Widziałem go na arenie, był znakomity. Chciałem nawet otrzymać od niego autograf i kupiłem jego fotosy, ale niestety za późno. Nie mogę pojąć, jak ludzie mogą tak lekkomyślnie decydować się na zbrodnię.

Gordon bacznie spojrział na mówiącego.

Czyżbym popełnił jakąś nieostrożność? - pomyślał niespokojnie.

Tymczasem kelner podał zamówione potrawy i Hollay z niezwykłym zapałem zabrał się do jedzenia. Umilkł też zupełnie, oddając się bez reszty rozkoszom gastronomicznym. Gordon obserwował go bez słowa, podziwiając w duchu znakomity apetyt olbrzyma. Gdy Hollay zaspokoił pierwszy głód, otarł usta serwetą i pogodnie spojrział na swego towarzysza.

- Więc pan, mister Brown, chce koniecznie robić afrykańskie interesy - uśmiechnął się dobrotliwie.

- Niekoniecznie afrykańskie - odparł spokojnie Gordon. - W ogóle interesuję sir handlem zamorskim. Pragnę założyć większą firmę importowo-eksportową.

- Brawo! - zawołał grubas. - Zupełnie dobra myśl. Czy pan ma przy sobie jakąś swoją fotografię? - zapytał niespodziewanie. Gordon spojrział na mówiącego zdumiony.

- Fotografię? Nie, nie mam fotografii. Ale dlaczego pan mnie o to pyta?

- Mam taką manię, że zbieram fotografie wszystkich moich znajomych, prosząc jednocześnie o autografy. Mam już ładnych kilkanaście albumów.

- Szczególne zamiłowanie - mruknął Gordon. - Słyszałem dotychczas, że są amatorzy autografów sławnych ludzi, ale...

- A widzi pan, a ja proszę o fotografię z podpisem każdego poznanego człowieka. Taki mam rodzaj ewidencji znajomych. Kto wie, czy moja kolekcja nie przydałaby się czasem policji - zaśmiał się Hollay.

- Nie sądzę, aby pan zawierał znajomości z kryminalistami - zauważył Gordon.

- Oczywiście, że nie. Chociaż właściwie nigdy nie wiadomo na pewno z kim się ma do czynienia - mruknął sentencjonalnie grubas. - Ot, chociażby i teraz. Siedzę tu sobie z panem, mister Brown i właściwie co ja mogę wiedzieć o panu. Czy pan jest porządnym człowiekiem, czy gangsterem, albo może detektywem ze Scotland

Yardu?... Czy pan się rzeczywiście nazywa John Brown. Któż to wszystko odgadnie?

Doktor wyjął papierośnicę z kieszeni i poczęstował Hollay'a. Nie był pewny co ma właściwie oznaczać ta cała przemowa.

- Widzę, że pan jest bardzo pesymistycznie nastawiony do ludzi - uśmiechnął się, podając zapaloną zapałkę. - Trudno w każdym napotkanym człowieku zaraz podejrzewać bandytę czy oszusta.

Olbrzym zaciągnął się dymem.

- Życie mnie nauczyło wielu rzeczy, mister Brown, bardzo wielu rzeczy.

- Tak, tak - skinął głową Gordon. - Nie przeczę, że czasami można popaść w pesymizm. Czy pan na długo przyjechał do Londynu?

- Nie wiem. To zależy od moich interesów - odparł wymijająco Hollay.

Lunch upłynął w atmosferze wzajemnej życzliwości. Gordon jeszcze parokrotnie próbował delikatnie coś wydobyć ze swego towarzysza, jednakże bez skutku. Hollay był bardzo uprzejmy, ale pomimo wypitych trunków nie dał się wyciągnąć na żadne zwierzenia. Widać było, że bardzo się pilnuje i uważa na to co mówi. Doktor był mimo wszystko zadowolony z tej rozmowy, która pozwoliła mu wyrobić sobie pewną opinię o „tłustym milionerze”.

- Czy można pana odwiedzić do hotelu? - spytał Hollay, gdy wyszli z restauracji.

- Nie. Dziękuję panu bardzo. Skorzystam z okazji i zwiedzę trochę Londyn.

- To zobaczymy się zapewne wieczorem.

- Bardzo możliwe - uśmiechnął się Gordon. - Do widzenia!

- Good bye, mister Brown - rzucił wesoło grubas, wsiadając do samochodu.

Doktor postać chwilę na brzegu chodnika, a gdy limuzyna Hollay'a zniknęła za rogiem, zatrzymał przejeżdżające taxi i kazał się zawieźć do Scotland Yardu.

Hawkins siedział za biurkiem pochylony nad stosem papierów.

Lampa z zielonym abażurem oświetlała skupioną twarz inspektora.

- Hallo inspektorze - zawołał Gordon. - Widzę, że pan jest dosłownie zawałony robotą.

Hawkins podniósł głowę.

- A mister Gordon. How are you? Proszę niechże pan siada. Cóż tam słyhać z pańską sprawą? Zaczyna się pan robić coraz bardziej tajemniczy.

- Chciałem pana o coś zapytać, inspektorze - powiedział bez żadnych wstępów Gordon. - Czy może mi pan poświęcić dziesięć minut czasu?

- Oczywiście. Bardzo chętnie. Słucham pana.

Doktor wyjął papierośnicę.

- Co pan sądzi o tym Winklerze? - spytał częstując Hawkinsa papierosami.

Inspektor popatrzał na niego uważnie.

- Hm. Cóż. Właściwie nic specjalnego.

- Badał go pan. Prawda?

- Oczywiście. Czytał pan przecież akta sprawy.

- Tak, tak. Naturalnie - przytaknął Gordon. - Chciałem się tylko przekonać, czy Winkler nie zwrócił czymś pańskiej specjalnej uwagi.

Inspektor pomyślał chwilę.

- Nie. Chyba nie. No cóż. To zwykły kłown cyrkowy, jakich wielu. Czy przypuszcza pan, że on ma coś wspólnego z tą sprawą?

- Jestem daleki od posądzania kogokolwiek - zaprzeczył żywo Gordon.

- Wie pan co - powiedział w zamyśleniu Hawkins. - Teraz sobie dopiero przypominam, że podczas badania jedna rzecz mnie uderzyła.

- Mianowicie?

- Mianowicie to, że Winkler ma tak doskonałe alibi i że pierwsza rzecz, to podkreślił to swoje alibi.

- Właśnie, właśnie - zawołał doktor. - Mnie uderzyło zupełnie to samo, gdy przeglądałem akta sprawy.

- Więc pan przypuszcza...?

- Jeszcze nic nie przypuszczam inspektorze - przerwał doktor. - Sprawa jest bardzo skomplikowana i nie chcę przedwcześnie wysnuwać żadnych wniosków. Czy portier, który owego wieczoru miał służyć w Savoyu, współpracuje z Yardem?

- Dorywco, ale to zupełnie pewny człowiek.
- Nie pamięta pan jego nazwiska?
- Zdaje mi się, że Gambert, ale nie jestem pewien.
- Sprawdź w aktach - uśmiechnął się Gordon.
- Tak będzie najlepiej, czy ma pan coś jeszcze do mnie?
- Czy jadł pan kiedy u Ritza śledzia w śmietanie?
- Śledzia w śmietanie? Owszem, jadłem, ale dlaczego pan o to pyta? - zdumiał się inspektor. - Doprawdy nie rozumiem co to ma za związek z...

- Ach, nic takiego - uśmiechnął się Gordon. - Tak zapytałem. Coś mi się przypomniało. Nic ważnego. No, nie będę panu dłużej czasu zabierał. Jeśli byłoby coś ciekawego, to bardzo proszę o wiadomość. Do widzenia, mister Hawkins.

- Do widzenia!

Pożegnawszy się z inspektorem Gordon wyszedł ze Scotland Yardu i zamyślony posuwał się z wolna wzdłuż zatłoczonej ulicy. Był zły na siebie, że dotychczas nie potrafił stworzyć ugruntowanej teorii odnośnie morderstwa Borelliego. Ciągle jeszcze obracał się w ciasnym kręgu przypuszczeń i ewentualnych koncepcji, opartych raczej na intuicyjnych przesłankach, aniżeli na logicznie powiązanych faktach. Zdobył niewątpliwie dość pokaźny materiał, ale to było za mało, stanowczo za mało. Najrozmaitsze myśli krążyły mu po głowie, ale żadnej z nich nie pozwalał się za nadto rozwinąć, ażeby się przedwcześnie nie zasugerować jakąś koncepcją, która w rezultacie mogłaby się okazać fałszywa.

Wszystkie możliwości należało rozpatrywać wszechstronnie, każdą z nich poddać głębokiej analizie krytycznej. Gordon był zbyt doświadczonym człowiekiem, ażeby się dać od razu porwać jakimś niesprawdzonemu pomysłowi, zrodzonemu przez gorączkowo pracującą fantazję. Trzeba było każdy szczegół

gruntownie przemyśleć.

Wszedł do pobliskiej cukierni i zatelefonował do Bianki. Uplynęła dłuższa chwila, nim dziewczyna podeszła do telefonu.

- Hallo - powiedział Gordon. - Muszę się z panią zobaczyć. Czy moglibyśmy się spotkać gdzieś za pół godziny?

W małej kawiarence na Old Kent Road było prawie zupełnie pusto. Gdy doktor stanął w drzwiach, Bianka nerwowo podniosła się od stolika.

- Czy stało się coś złego? - spytała pośpiesznie, spoglądając niespokojnie na Gordona.

- Niech się pani uspokoi - odparł doktor. - Nie przychodzę z żadnymi złymi nowinami. Chciałem tylko z panią pogawędzić. Mam nadzieję, że nam tu nikt nie przeszkodzi - dodał rozglądając się dokoła.

- O, na pewno nie. To bardzo zaciszny kącik.

Gordon zamówił kawę i dłuższy czas przyglądał się dyskretnie Biance. Ta dziewczyna działała na niego dziwnie niepokojąco. Już bardzo dawno nie zdarzyło mu się napotkać tego rodzaju kobiety. Czuł zupełnie wyraźnie, że rodzi się w nim coś, co mu może bardzo przeszkodzić w jasnym i logicznym rozumowaniu. Otrząsnął się jednakże bardzo szybko z tego nastroju i zapalił papierosa. Ostatecznie nie była to właściwa pora na flirty.

- Jak się pani czuje na tym nowym mieszkaniu? - spytał z obojętną uprzejmością.

Dziewczyna spojrzała na niego trochę zdziwiona..

- Dziękuję. Dobrze - odparła krótko.

Gordon wypuścił dym nozdrzami i złamał w palcach wypaloną zapałkę.

- Chciałbym o coś zapytać - powiedział po chwili.

- Słucham.

- Czy jest pani gotowa mi pomóc w tej całej sprawie?

- Oczywiście. Zrobię wszystko, aby ratować Freda.

- To dobrze, ale ostrzegam panią, że to, o co chcę prosić, może nie być zbyt przyjemne.

- Nie cofnę się przed niczym! - zawołała dziewczyna.
- Chodzi o Winklera.
- O Winklera?
- Tak.
- Nie rozumiem. Czyżby pan przypuszczał, że...?
- Nic nie przypuszczam - przerwał niechętnie doktor. -

Potrzebne mi są tylko pewne informacje i dlatego chciałbym, aby pani nawiązała pewien kontakt z Winklerem.

- To niemożliwe.

Gordon uśmiechnął się nieznacznie.

- A przecież obiecała mi pani pomoc w naszej sprawie.
- No tak, ale...
- Co ale?
- Pan przecież wie, że Winkler prześladował mnie stale swą

miłością.

- Oczywiście, że wiem i właśnie dlatego zwracam się do pani w tej sprawie.

- Co mam robić? - spytała cicho zrezygnowana dziewczyna.
- Po prostu chciałbym, aby pani utrzymywała z Winklerem pewien kontakt. Niech pani chodzi z nim do kina, do kawiarni czy do teatru. Niech mu pani nie okazuje za bardzo swej niechęci.

- Ale przecież ja się teraz z nim zupełnie nie widuję. Jakżeż...

- Panno Bianco - powiedział dobitnie Gordon. - Jeśli pani chce mi naprawdę pomóc, to proszę zrobić to. To już jest pani rzeczą w jaki sposób „przypadkowo” zaczniecie się widywać z Winklerem. Przecież podobno kobiety celują w tego rodzaju dyplomatycznej grze.

- Dobrze - szepnęła Bianka - postaram się wykonać wszystko, o co mnie pan prosi.

Gordon niespokojnie spojrzął na dziewczynę.

- Chciałem jeszcze o coś panią zapytać.

Słucham.

- Niech mi pani powie szczerze, czy ma pani do mnie zawsze to samo zaufanie?

- Tak, ufam panu i wierzę, że jeśli pan tylko zechce, to wszystko się dla mnie pomyślnie ułoży.

- Proszę tylko nie przeceniać moich możliwości. Zrobię co będzie w mej mocy, ale zawsze może się coś nie powieść.

- Ja jednak wierzę, że pan potrafi uwolnić Freda.

Gordon zgasił papierosa.

- Ano zobaczymy. Nie wolno nam tracić nadziei. Teraz musimy się już rozstać. Niech pani wyjdzie stąd pierwsza. Nie chciałbym, aby nas ktoś niepożądany zobaczył razem na ulicy.

- Kiedy się znowu zobaczymy?

- Zadzwonię do pani w najbliższych dniach.

Zostawszy sam Gordon zapalił nowego papierosa i kazał sobie podać jeszcze jedną filiżankę kawy. Zrobił bardzo ryzykowne posunięcie i bał się teraz, żeby zdenerwowana dziewczyna nie zdradziła się z czymś przed Winklerem. Nie można było jednak postąpić inaczej. Doktor czuł, że musi dokładnie rozpracować osobę niesympatycznego kłowna.

W tej chwili tknięty jakąś myślą wstał i podszedł do telefonu.

Połączył się z Savoyem i ku swemu zadowoleniu skonstatował, że portier Gambert objął przed chwilą służbę i jest przy aparacie.

- Tu mówi inspektor Hawkins ze Scotland Yardu - rzucił w słuchawkę. - Proszę pod jakimkolwiek pozorem opuścić hotel i przyjechać do mnie natychmiast do kawiarni na Old Kent Road. Oczywiście niech pan to załatwi dyskretnie, mister Gambert. Czekam.

Po upływie pół godziny portier z hotelu Savoy wszedł do małej cukierenki i rozejrzał się ciekawie wokoło. Gordon zaraz zaprosił go do swego stolika i w kilku zdaniach wyjaśnił całą sytuację.

- Rozmawiałem o panu z inspektorem Hawkinsem - powiedział na zakończenie - i dowiedziałem się od niego, że mogę mieć do pana całkowite zaufanie.

- Yes, sir - przytaknął portier. - Mister Hawkins zna mnie od dawna.

- To dobrze - powiedział doktor. - Chciałem pana zapytać, co

pan sądzi o jakimś Winklerze, który mieszka w Savoyu.

Mister Gambert przetań swe duże rogowe okulary.

- Hm. Cóż. Artysta. Cyrkowiec. Zachowuje się spokojnie. Jest uprzejmy i niczym specjalnym się nie odznacza.

- Tak, tak - mruknął Gordon. - Czy to prawda, że pan miał służbę w tym dniu, kiedy dyrektor cyrku Borelli został zamordowany?

- Tak, składałem już w tej sprawie zeznania w Yardzie.

- I pan jest pewien, że tego wieczora Winkler był u siebie w numerze?

- Najzupełniej pewien, sir. Mister Winkler wrócił tego dnia wcześniej niż zazwyczaj. Skarżył się na ból głowy i na silny katar. Prosił o gorącą herbatę i położył się do łóżka.

- Która to była godzina?

- Mniej więcej wpół do dziesiątej.

Gordon zamyślił się głęboko.

- No, tak. Na razie dziękuję panu. Będę pana jeszcze w tych dniach potrzebował. Chciałem pana poznać poza obrębem hotelu. W Savoyu jestem zameldowany jako mister Brown z Oxfordu. Niech pan nie zapomni.

Był już późny wieczór, gdy Gordon wrócił do hotelu. Przed samym wejściem natknął się na swego starego kolegę po fachu doktora Berta.

- U kogo tu byłeś? - spytał wesoło.

- U Winklera.

- U Winklera? - zdumiał się Gordon. - A cóż mu jest. Chory?

- Ciężki atak malarii tropikalnej - odparł Bert. - No, bądź zdrow! Bardzo się spieszę.

Ciężki atak malarii tropikalnej - powtórzył w zamyśleniu Gordon.

ROZDZIAŁ V

- Życzę wesołej zabawy i mam nadzieję, że pani przed

jedenastą nie wróci do domu.

Gordon odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Dochodziła siódma. A więc miał przynajmniej około trzech godzin czasu. Należało działać natychmiast. Połączył się z portiernią i wezwał do siebie do numeru Gamberta.

- Mister Gambert - powiedział poważnie, gdy starszy pan usiadł na wskazanym krześle. - Mam do pana jedną prośbę.

- Słucham.

- Musi mnie pan natychmiast wpuścić do pokoju Winklera. Niech pan przez cały czas pozostanie u siebie na dole. Gdy by przypadkowo Winkler wrócił wcześniej aniżeli się tego spodziewam, da mi pan znać telefonicznie. Rozumie pan? - Wszystko musi być załatwione cicho i dyskretnie.

- Yes, sir. Rozumiem doskonale.

- To dobrze. Niech pan teraz zjedzie na dół po klucz od pokoju Winklera.

- Mam go przy sobie.

- O, widzę, że pan jest przewidujący - uśmiechnął się doktor. - W takim razie chodźmy! Każda chwila jest droga.

Zeszli na drugie piętro i portier podał Gordonowi klucz, wskazując jednocześnie drzwi.

- W razie niebezpieczeństwa proszę do mnie zadzwonić i podać swoje nazwisko - rzucił Gordon i rozejrzawszy się bacznie dokoła przekręcił klucz w zamku.

Pokój Winklera był dość duży i elegancko urządzone. Ciężka kolorowa stora zasłaniała okno, wychodzące na podwórze. Doktor stojąc nieruchomo badał uważnie wzrokiem każdy szczegół umeblowania. Wreszcie podszedł do okna, otworzył je i czas dłuższy przyglądał się zewnętrznemu parapetowi, a następnie zabrał się do przeprowadzania szczegółowej rewizji. Robił to szybko i sprawnie, umieszczając każdy przedmiot na swoim miejscu w ten sposób, aby właściciel pokoju nie domyślił się jego obecności.

Praca była żmudna i denerwująca. Czas płynął, a doktor właściwie nie znajdował nic specjalnie godnego uwagi. Garnitury,

bielizna, krawaty, kostiumy cyrkowe, walizy, pudła, albumy z fotografiami, przybory toaletowe itp.

Gordon przeszukał szafę, kufry, szuflady w biurku, zajrzał do spluwaczki, do kosza ze śmieciami, przetrząsnął kieszenie ubrań i płaszczy i nie natrafił na nic ciekawego. Żadnego śladu, żadnego potwierdzenia jego niejasnych przypuszczeń. Zrezygnowany postanowił zakończyć to niemiłe zajęcie, gdy wzrok jego padł na spore pudło, stojące za szafą. Wziął je do ręki i otworzył.

- Ładny kapelusz - mruknął pod nosem, ujrawszy jasny włochaty filc. Wyjął kapelusz i przyjrzał mu się uważnie. Nagle drgnął. Na wewnętrznej stronie runda widniały wyraźnie czarne ostre włosy przychepione do filcu. Kilka takich samych włosów leżało na dnie.

Gordon wydarł kartkę ze swego notesu i pogwizdując z cicha zawinął pieczołowicie czarne włosy w papier. Należało się spieszyć. Kto wie, czy Biance uda się zabawiać tak długo Winklera.

Na szafie stało małe pudełeczko, a w nim piękne złote spinki do mankietów, wysadzone drobnymi rubinami. Doktor zauważył od razu, że brak było połowy jednej spinki. Widocznie musiał pęknąć delikatny łańcuszek. Dłuższy czas przyglądał się spinkom, jakby chciał sobie zapamiętać ich wygląd, a następnie położył wszystko na szafie i wyszedł z pokoju. Nikt go nie widział. Pobiegł więc do siebie na czwarte piętro i zadzwonił do portiera. Po chwili zjawił się mister Gambert. Był jak zwykle uprzejmy i uśmiechnięty.

- W porządku - powiedział Gordon. - Proszę, zwracam panu klucz od pokoju Winklera.

- Czy pan zadowolony, sir? - spytał portier.

- To się okaże - odparł wymijająco doktor. - Chciałbym tymczasem zadać panu parę pytań.

- Słucham. Jestem do usług.

Gordon zapalił papierosa.

- Niech mi pan powie, mister Gambert, czy każdy gość mieszkający w hotelu musi przejść koło pana, wychodząc na miasto.

- Oczywiście.

- No, a powiedzmy, że ja bym chciał tak opuścić swój pokój, żeby mnie pan nie zauważył, czy mógłbym ewentualnie wydostać się przez dach.

- Wykluczone. Strych jest zamknięty, a gdyby się nawet pan tam dostał, i tak na dach pan nie wyjdzie. Zresztą, zejść z dachu na ulicę jest rzeczą niemożliwą.

Gordon zamyślił się.

- No, a gdybym spróbował spuścić się przez okno po linie?

- Na podwórzu jest nieustanny ruch, w dzień i w nocy. Trudno przypuścić, żeby nie spostrzeżono takiej akrobacji. Ale co też pan inspektor ma na myśli?

- Ach nic. Takie różne pomysły chodzą mi po głowie, ale obawiam się, że to wszystko do niczego nie prowadzi. Niech mi pan jeszcze łaskawie powie, czy tu u was jest jakaś służbowa winda wewnętrzna?

- Owszem. Mamy taką windę. Może ją pan sobie obejrzyć w każdej chwili.

- Czy sądzi pan, że w tej windzie zmieściłby się człowiek?

- Ależ wykluczone - zaśmiał się Gambert. - Co najwyżej pies albo dziecko. Windą tą służba wozi śmiecie i różne narzędzia. Dorosły człowiek nie może się w niej zmieścić.

Gordon zanotował coś na kartce papieru.

- Na razie bardzo panu dziękuję - powiedział uprzejmie. - Gdy tylko będę potrzebował pańskiej cennej pomocy, zwrócę się do pana.

- Bardzo proszę.

Gambert wyszedł, Gordon zaś palił papierosa za papierosem i myślał intensywnie. Po upływie pół godziny wyszedł z hotelu i pojechał do swojego mieszkania. Długonosy Horacy powitał radośnie swego pana.

- Co słychać? - spytał doktor, zdejmując płaszcz.

- Doktor Prist przyszedł. Czeka na pana w gabinecie - szepnął lokaj.

- Doktor Prist? - zdziwił się Gordon - o tej porze?

Chudy staruszek poderwał się z krzesła na widok wchodzącego

Gordona. Widać było, że jest bardzo zaaferowany.

- Przepraszam pana za tak spóźnioną wizytę, ale mam ważną dla pana wiadomość.

- Proszę, niechcesz pan siada - powiedział spokojnie Gordon.

- Może papierosa?

- Nie, nie. Bardzo dziękuję. Nie będę palił. Powiem panu tylko co mam do powiedzenia i uciekam. Jestem okropnie zdenerwowany.

- Ale o cóż to chodzi, doktorze? - zdziwił się Gordon. - Nigdy nie widziałem pana tak podnieconego.

- Skompromitowałem się. Nic innego, tylko się straszliwie skompromitowałem.

- Pan? Niemożliwe.

- - Tak, tak. Ja, właśnie ja. Na stare lata. Pan miał jednak rację, mister Gordon, pan miał rację.

- Ale o co chodzi. Niechcesz pan mówi nareszcie - zniecierpliwił się Gordon.

- Borelli został otruty - wykrztusił starszek.

- Dokonałście ekshumacji i sekcji? - spytał cicho Gordon.

- Tak.

- No i co?

- Okazało się, że we wnętrznościach Borelliego są ślady trucizny, a ja głupiec uważałem przez cały czas, że on jest uduszony.

- Niechcesz się pan tak nie przejmuj, doktorze! Każdy się przecież może pomylić - uspokajał Gordon. - Proszę mi lepiej powiedzieć, jakiego rodzaju była to trucizna.

- Ta sama.

- Co to znaczy?

- Ta sama, którą otruto tego człowieka tutaj, u pana, mister Gordon.

- Jest pan tego pewien?

- Najzupełniej. Nie ma żadnej wątpliwości. Ale żebym ja, żebym ja...

- Niechcesz się pan nie przejmuj - uśmiechnął się Gordon. - Ostatecznie nic się takiego nie stało. Jest pan zupełnie

usprawiedliwiony. Przecież wszystko przemawiało za tym, że Borelli został uduszony przez goryla.

- To jest okropne - biadał Prist - żebym ja... Niech pan pomyśli, tyle lat pracuję! Jestem starym człowiekiem. Uważali mnie dotychczas za najlepszego eksperta, a teraz?

- Ręczę panu, że i teraz jest pan uważany za najlepszego eksperta - powiedział Gordon. - Ostatecznie odciski łap goryla na szyi zamordowanego nie budziły wątpliwości, a ta nieznaną trucizną pozostawia po sobie objawy uduszenia.

- Ha, cóż - mruknął stary. - Nic już się teraz nie poradzi. Przyszedłem, aby panu o tym zakomunikować, mister Gordon, a teraz żegnaj pana. Do widzenia.

Gordon odprowadził starszaka do drzwi i zawołał do siebie Horacego.

- Słuchaj no, przyjacielu - powiedział, wyjmując z biurka sporą kopertę - zanieś jutro z samego rana ten materiał reżyserowi Morissonowi. Wiesz, gdzie on mieszka?

- Yes, sir.

- To dobrze. Powiesz, że resztę materiału dostarczę mu wieczorem.

- Yes, sir.

Gordon odprawił służącego i połączył się z Yardem. Okazało się, że Hawkins jeszcze pracował.

- Hallo inspektorze - rzucił w słuchawkę. - Chciałbym pana prosić o przysłanie natychmiast do mnie do Savoyu Jorgensa i Chaneya. Niech im pan powie, że sprawa jest bardzo pilna i że będą mieli ciężką nocną robotę. Ale, ale, czy macie u was w Yardzie odciski Winklera? Jeśli tak, to doskonale. Ja teraz jadę do hotelu i czekam na Jorgensa.

- Kiedy pan będzie znowu w domu? - spytał Horacy, otwierając drzwi doktorowi.

- Jeszcze dzień lub dwa muszę mieszkać w Savoyu, a potem wracam pocieszyć cię, mój stary - uśmiechnął się Gordon i szybko zbiegł po schodach.

W hotelu usłużny portier szepnął mu dyskretnie, że Winkler już wrócił i jest w swoim pokoju. Gordon pojechał do siebie na górę i przeglądając wieczorną prasę czekał cierpliwie na przedstawicieli Scotland Yardu. Dopiero po upływie godziny posłyszał pukanie do drzwi i do pokoju wszedł wytworny Jorgens wraz ze swoim pomocnikiem Chaneyem. Obaj gentelmani byli w niezbyt różowych humorach i niechętnie spojrzeli na Gordona.

- Cóż tam znowu takiego pilnego, doktorze? - spytał Jorgens, siadając na fotelu i wyjmując srebrną papierošnicę. - Mieliśmy nadzieję, że chociaż dzisiejszą noc spokojnie prześpimy.

- Doprawdy, bardzo mi przykro, że byłem zmuszony panów niepokoić, ale sprawa jest rzeczywiście pilna - powiedział Gordon. - Muszę mieć za wszelką cenę wszystkie dowody w rękę, a nie potrzebuję przecież panom mówić, że najpewniejszym dowodem są odciski palców.

- A o co właściwie chodzi? - spytał Chaney, spoglądając nie bez pewnej dumy na swe pięknie wyszlifowane paznokcie. - Czy możemy zaraz zabrać się do roboty?

- Niezupełnie - odparł doktor. - Musimy jeszcze chwilę poczekać, aż w hotelu trochę się uspokoi. Nie chciałbym, żeby wasza działalność zwróciła czyjaś specjalną uwagę.

- To tutaj będziemy pracować. W Savoyu?

- Tak. Jest w hotelu służbowa winda, którą wozi się śmiecie i różne drobiazgi. Chodzi mi o dokładne opracowanie tej windy.

- Cóż to znowu takiego? - zdziwił się Jorgens.

Gordon uśmiechnął się.

- Mam powody przypuszczać, że przed kilku dniami posługiwał się tą windą człowiek. Chciałbym zbadać, czy tak było rzeczywiście.

- Przed kilku dniami? - mruknął Chaney. - I pan sądzi doktorze, że do tej chwili zachowały się jakieś odciski. Bardzo wątplię.

- Oczywiście, że może ta cała robota nie dać żadnych wyników - przyznał Gordon. - Nie wolno mi jednakże bagatelizować żadnego szczegółu. Sprawa jest zbyt poważna. Nadinspektor Mellerson

specjalnie zlecił mi to śledztwo.

Jorgens pokiwał głową.

- All right - powiedział lakonicznie. - Zrobimy co do nas należy.

- Dziękuję panom - uśmiechnął się doktor. - Zrewanżuję się przy okazji, a nie wątpię, że taka okazja niedługo się zjawi.

Trzej panowie gawędzili jeszcze czas jakiś, a gdy życie hotelowe poczęło z wolna zamierać, Gordon przerwał rozmowę i zaprowadził swych gości do windy służbowej, sam zaś postanowił zaraz się położyć. Był bardzo zmęczony.

Nazajutrz wesołe słońce zajrzało ciekawie do okna sypialni. Pogoda była prześliczna. Gordon wcześniej zerwał się z łóżka i począł się spieszenie ubierać. Jorgensa i Chaneya już nie było. Widocznie skończyli w nocy swą robotę i pojechali do Scotland Yardu. Doktor zadzwonił i kazał sobie podać do numeru śniadanie. Odczuwał dotkliwy głód. W tym całym zamieszaniu zapomniał przecież wczoraj zjeść kolację. Pijąc pospiesznie kawę, myślał nieustannie o profesorze Dicksonie. Jedyne ten człowiek mógł mu teraz pomóc. Sprawdził po śniadaniu adres profesora w książce telefonicznej i nie tracąc czasu wyszedł z hotelu.

Profesor Dickson był to mały stary człowieczek, odznaczający się krótką spiczastą bródką i niezwykle żywymi czarnymi oczkami, przewiercającymi każdego napotkanego człowieka na wylot. Nosił staromodny, wyświechtany tużurek i wysoki sztywny kołnierzyk z wywiniętymi lekko przybrudzonymi rogami. Profesor wstawał wcześniej i nie był specjalnie zaskoczony poranną wizytą Gordona.

- Czym panu mogę służyć? - spytał sadzając go w obszernym renesansowym fotelu.

- Przychodzę do pana profesora z wielką prośbą - zaczął Gordon.

- Słucham, cóż to takiego?

- Jestem współpracownikiem Scotland Yardu - wyjaśnił doktor.
- Polecono mi przeprowadzenie śledztwa w pewnej zawiłej dość sprawie i w związku z tym chciałbym posłyszeć opinię pana

profesora co do znalezionych przeze mnie paru włosów. Wiem przecież, że pan profesor jest najlepszym specjalistą w tej dziedzinie.

- Zapewne chodzi tu o jakieś włoski pięknej kobietki - zaśmiał się starszy, przetykając gładko komplement doktora. - Proszę, niech mi pan pokaże loki tej ślicznotki.

Gordon wyjął z kieszeni małe zawiniątko i podał profesorowi. Dickson rozwinął ostrożnie papier i przez krótką chwilę przyglądał się zawartości przez dużą lupę.

- Małpa! - zawołał wreszcie, spoglądając ze zdziwieniem na Gordona.

- Jak to, małpa? - zdumiał się doktor.

- - To są włosy małpy - wyjaśnił profesor. - Niewątpliwie włosy małpy.

- Czy pan profesor jest tego pewny? - spytał Gordon, którego oczy zabłyśły nagle z podniecenia.

- Najzupełniej.

- A jaka to mogła być małpa?

- Pan wybaczy - wzruszył ramionami Dickson. - Ma pan trochę za duże wymagania. To była jakaś duża małpa. Szympan, orangutan, pawian, a może nawet goryl. Włos jest niezbyt długi, ale gruby i bardzo mocny.

- Pan profesor przypuszcza, że to mógł być goryl? - zawołał podniecony Gordon.

- Oczywiście, to nawet bardzo prawdopodobne.

A czy można by określić, czy ten włos dawno został wyrwany z tej małpy - spytał doktor.

Profesor pokręcił głową.

- To właściwie niemożliwe - odparł po chwili namysłu. - Ale niech pan poczeka chwilę.

Starszy podreptał do mocnej dębowej szafy, stojącej w rogu pokoju i wyjął z niej duży mikroskop.

- Zobaczmy, zobaczmy - mruczał pod nosem, umieszczając ostrożnie włosy. - Wydaje mi się, że ta sierść nie została wyrwana z żywej małpy - powiedział po chwili. W każdym bądź razie włosy te

już bardzo dawno utraciły kontakt ze skórą żywego zwierzęcia. Są zupełnie martwe. Nic tu właściwie więcej powiedzieć panu nie mogę.

- Ależ panie profesorze, to co się od pana dowiedziałem posiada dla mnie ogromne znaczenie - pośpiesznie zapewnił Gordon.
- Jestem panu niesłychanie wdzięczny. Nie ma pan pojęcia, jakie to światło rzuca na całą moją sprawę.

- Cóż to tak pana interesują małpy? - zdziwił się Dickson.

- Specjalnie goryle - uśmiechnął się doktor. - Czy nie mógłby mi pan, profesorze, wskazać tu w Londynie jakiegoś dobrego znawcy Afryki i plemion murzyńskich?

Dickson pomyślał chwilę.

- Wie pan, że nie. Nie znam nikogo takiego. Wprawdzie mój brat powrócił niedawno z Afryki, ale on raczej zajmował się botaniką. Nie wiem czy mógłby się pan czegoś ciekawego od niego dowiedzieć.

- Czy brat pana profesora jest obecnie w Londynie? - spytał z zainteresowaniem Gordon.

- Tak. Mieszka u mnie. W tej chwili segreguje swoje zielniki. To bardzo groźna mania ta botanika.

Gordon w zamyśleniu zapalił papierosa.

- Czy mógłby pan przedstawić mnie swemu bratu? - spytał po chwili. - Byłbym ogromnie zobowiązany.

- Ależ bardzo chętnie - zawołał starszek. - Zaraz go tutaj sprowadzę.

Zniknął szybko za drzwiami i po chwili wrócił w towarzystwie rosłego starszego już mężczyzny o krótko przystrzyżonych siwych wąsach i szerokiej ogorzałej twarzy.

- How do you do, mister Gordon - powiedział podróżnik, ściskając mocno rękę doktora. - Mój brat wspominał mi, że interesuje się pan Afryką.

Tak. To prawda - odparł Gordon. - Interesuje się gorylami i ich życiem.

- Gorylami?

- Właśnie.

- Mało zajmowałem się życiem zwierząt - powiedział niskim głosem uczony. - Interesowały mnie przede wszystkim rośliny, ale to co wiem chętnie panu opowiem. Siadajmy.

Usiedli koło niewielkiego owalnego stolika i Gordon poczęstował swych gościnnych gospodarzy papierosami. Z przyjemnością przyglądał się szczerzej sympatycznej twarzy brata profesora.

- Cóżby pan właściwie chciał wiedzieć? - spytał po chwili podróżnik. - Zdaje mi się, że pan nie jest naukowcem.

Gordon uśmiechnął się.

- Muszę posiadać zbyt dużo różnorodnych wiadomości, abym mógł się zająć jakąś wyraźną specjalizacją - powiedział wesoło. - Pracuję w tej chwili dla Scotland Yardu.

- Ach, tak. Pan jest z policji? - mruknął młodszy Dickson.

- Niezupełnie. Pracuję raczej amatorsko, ale to chyba nie ma większego znaczenia.

- Oczywiście, oczywiście. Ale cóż to pan ma za sprawę z goryłami?

- Chodzi o to, mister Dickson - odparł Gordon - że chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób można w Afryce zdobyć łapy goryla.

- Łapy goryla? No cóż, trzeba zapolować na tę małpę i odciąć jej łapy.

- Tak, ale polowanie na goryla jest przecież bardzo niebezpieczne.

- Oczywiście, że tak - przytaknął podróżnik.

- Czy pan nie słyszał nigdy, mister Dickson, żeby jakieś plemię murzyńskie polowało na...

- Zaraz, zaraz - przerwał Dickson. - Teraz sobie coś przypominam. Tak, owszem. Słyszałem, że gdzieś w środkowej Afryce istnieje takie plemię murzyńskie, które specjalnie trudni się polowaniem na goryle. Tubylcy nazywają tych Murzynów „łowcami goryli”. Tak, tak, teraz sobie dokładnie przypominam. Opowiadał mi o nich pewien Niemiec.

Gordon poruszył się niespokojnie.

- No i co, i co? Co pan więcej może powiedzieć na ten temat?

- Nic specjalnego. No, cóż. Murzyni ci polują na goryle. Mięso ich zjadają, a łby i łapy wyprawiają i przechowują te trofea jako dowody swej odwagi. To chyba wszystko. Ja osobiście nie spotkałem się z tymi ludźmi, ale ten Niemiec mieszkał wśród nich nawet przez pewien czas.

- Przechowują wyprawione łapy goryli? - powiedział w za myśleniu Gordon.

- Tak. Tak słyszałem. Nie biorę oczywiście za tę wiadomość żadnej odpowiedzialności, ale tak mi opowiadano. Pamiętam nawet, że jeden z moich przewodników wspomniał także o łowcach goryli.

Gordon wstał.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział z ożywieniem. - Nie ma pan pojęcia, jakie ta wiadomość ma dla mnie znaczenie. Dziękuję panom najserdeczniej i nie zabieram czasu. Muszę spieszyć się do mej roboty. Jestem naprawdę bardzo panu zobowiązany.

- Cieszę się, jeżeli naprawdę ta wiadomość może się panu na coś przydać - uśmiechnął się uprzejmie Dickson. - Mam nadzieję, że nas pan kiedyś odwiedzi.

Gordon wsiadł do auta i pojechał do Scotland Yardu. W głowie mu szumiały słowa Dicksona, które były potwierdzeniem jego teorii. Czuł się jak pływak, który po długotrwałym wysiłku dobija wreszcie do brzegu.

Inspektor Hawkins przyjął go dosyć niechętnie i czas dłuższy nie rozpoczął rozmowy, temperując z zajęciem ołówki.

- Nic z całej tej roboty - powiedział wreszcie.

- Z jakiej roboty? - spytał niespokojnie Gordon.

- No z tej nocnej pracy w hotelu.

- Ach tak. Nie zdołali znaleźć odcisków?

Inspektor wzruszył ramionami.

- To było przecieź do przewidzenia. Trudno sobie wyobrazić, aby w przeciągu tygodnia nikt ze służby nie wytarł windy ścierką. Jorgens jest na pana wściekły. Prawie całą noc nie spali.

- Przykro mi - powiedział doktor, ale pan to przecieź rozumie,

inspektorze, że w takiej sprawie trzeba rozważać każdą możliwość, choćby ona nawet była mało prawdopodobna. Bardzo żałuję, że Jorgens nic nie znalazł. To mi komplikuje sprawę, ale trudno. Trzeba będzie pomyśleć o czymś innym.

- Czy pan ma już stworzoną jakąś koncepcję w sprawie Borelliego? Czy w dalszym ciągu upiera się przy tym, że Marvan jest niewinny? - spytał Hawkins.

- Ależ oczywiście. Coraz bardziej utwierdzam się w tym przekonaniu.

Inspektor uśmiechnął się trochę ironicznie.

- Pan daruje, mister Gordon, ale wydaje mi się, że tym razem nazbyt pana poniosła fantazja. Ja rozumiem, że trudno panu skapitulować, ale jestem zdania żeby pan już dłużej nie przeciągał tej roboty. Wstrzymuje pan niepotrzebnie cały proces. Niepokoi pan ciągle Scotland Yard. Radzę panu po przyjacielsku niech pan zrezygnuje już z tych pomysłów. To przecież szkoda pańskiego i naszego czasu.

Gordon spojrział niechętnie na mówiącego.

- Niech pan będzie cierpliwy jeszcze parę dni. To już nie potrwa długo. Jeszcze w tym tygodniu wyłożę wszystkie swoje karty i jeśli wtedy przegram, będę niewątpliwie uważał, że pan ma rację. Niech pan się jeszcze trochę uzbroi w cierpliwość.

- Jak pan uważa - mruknął Hawkins. - Gdybym był na miejscu Mellersona, już dawno skończyłbym z tą całą komedią. Sprawa jest jasna i nie rozumiem, dlaczego traci się czas na jakieś urojenia.

Gordon podniósł się z miejsca.

- Do widzenia, inspektorze - powiedział chłodno. - Odwiedzę pana, jak pan będzie w lepszym nastroju. Doradzam spacer. Jest bardzo piękna pogoda.

Opuściwszy Scotland Yard Gordon pojechał do Savoyu. Wobec niepowodzenia Jorgensa należało zastanowić się nad zdobyciem nowych dowodów. W hotelu o tej porze wrzało jak w ulu. Doktor odebrał klucz od portiera, ale nie pojechał od razu do siebie, lecz począł krążyć po całym gmachu, starając się wpaść na jakiś ślad.

Obejrzał dokładnie obie windy i skonstatował, że winda służbowa zjeżdżała do podziemi. Postanowił zbadać ten teren.

W suterynie ten i ów spojrzął z pewnym zdziwieniem na eleganckiego pana, ale jakoś nikt ze służby nie śmiał zaczepić niespodziewanego gościa. Może myślano, że to ktoś z dyrekcji bada urządzenia hotelowe. Gordon bardzo uważnie obejrzał windę, nie pomijając żadnego szczegółu, ale na próżno. Nie znalazł nic, co by mogło rzucić choć trochę światła, co by mogło w jakikolwiek sposób uzasadnić jego koncepcję. Zrezygnowany postanowił wrócić do swego pokoju, gdy nagle na korytarzu pierwszego piętra mignęła mu postać Bianki. Gordon przyspieszył kroku i dogonił dziewczynę.

- Dzień dobry - powiedział głośno. - Skąd się pani tu wzięła?

Odwróciła się. Nie, to nie była Bianka, tylko ktoś bardzo do Bianki podobny. Ta sama figura, te same ruchy, tylko twarz bardziej pospolita i ordynarna

- Co pan sobie życzy? Nie znam pana - rzuciła opryskliwie.

Gordon zmieszał się. Nie znosił takich sytuacji.

- Przepraszam - mruknął niewyraźnie. - Przepraszam panią.

Pomyliłem się.

Nagle wzrok jego padł na rękę dziewczyny na której błyszczała wyzywająco szeroka bransoleta. Był to zwyczajny krążek ze sztucznego złota obwieszony różnymi kolorowymi breloczkami. Gordon drgnął. Jeden z owych breloczków był to złoty kwadracik wysadzany drobnymi rubinami. Spinka, połowa spinki znalezionej w pokoju Winklera. Nie mogło być żadnej wątpliwości. Szlachetny metal wyodrębnił się wyraźnie od tej całej tandety. Skądżeż ta spinka tutaj, na ręce tej dziewczyny? Doktor otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nieznajoma wzruszyła niezbyt wytwornie ramionami i oddaliła się. Gordon pobiegł za nią. Pod żadnym pozorem nie mógł jej stracić z oczu.

Właścicielka tajemniczej bransolety weszła na drugie piętro i zastukawszy do jakiegoś pokoju zniknęła

Gordon uplasował się w dogodnym punkcie obserwacyjnym i cierpliwie czekał, utkwivszy wzrok we drzwiach. Myśl pracowała

gorączkowo, w jaki sposób uda mu się zawrzeć znajomość z tą dziewczyną. Kim ona jest? Czy mieszka w tym hotelu?

Nie czekał długo.

Po chwili wyszła z numeru niosąc błyszczącą tacę zastawioną naczyńmi. Gordon odetchnął z ulgą. A więc pokojówka. Nie potrzebuje się niepokoić, że może mu uciec. Może działać powoli i z rozważą. Nie należało jednak całej sprawy zbytnio odwlekać. Dziewczyna mogła dla jakichś powodów pozbyć się tej bransolety i to skomplikowałoby całą sprawę. Doktor po stanowił działać natychmiast. Dogonił pokojówkę i zatrzymał ją, uśmiechając się uprzejmie.

- Czuję się w obowiązku przeprosić panią za niedawną napaść. Po prostu pomyliłem się. Jest pani uderzająco podobna do pewnej bardzo pięknej damy. Właśnie myślałem, że to ona.

Ten prymitywny komplement podziałał natychmiast. Dziewczyna pokazała białe zdrowe zęby w uśmiechu i skinęła głową.

- Nie szkodzi - powiedziała rumieniąc się leciutko.

- Czy mógłbym coś dla pani uczynić? Chciałbym jakoś uświetnić naszą przypadkową znajomość. Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Brown, kupiec z Oxfordu. Czułbym się szczęśliwy, gdyby pani zechciała pójść ze mną na filiżankę kawy.

Nie ma chyba na świecie pokojówki, która by się zdołała oprzeć tak ponętnej propozycji. Bogaty kupiec z Oxfordu, a w dodatku bardzo przystojny i młody.

- Ależ mister Brown! Przecież ja jestem pokojówką w tym hotelu.

- To mi nie przeszkadza - zauważył poważnie Gordon. - Jestem prawdziwym demokratą.

- Ale ja nie mam czasu.

- Pewnie po południu zdoła się pani jakoś wyrwać stąd?

- Chyba, że po południu.

- No właśnie. Zawsze mówiłem, że dla chcącego nic trudnego.

A więc może o piątej. Dobrze?

- Dobrze! Poproszę koleżankę, żeby mnie zastąpiła.

- Doskonale. O piątej tutaj w tym miejscu.
- Och nie, nie. Nie tutaj. Tylko nie tutaj.
- Dlaczego? - zdziwił się Gordon.
- No, nie chcę tu. Wolę na ulicy.
- Dobrze. Niech będzie na ulicy przed hotelem.
- Po drugiej stronie ulicy.
- Dobrze. Mam jeszcze jedną prośbę.
- Słucham.
- Niech pani będzie tak dobra i nie zapomni włożyć tej

wspaniałej bransolety. Jestem trochę artystą i muszę stwierdzić, że ręka pani w tej bransolecie wygląda naprawdę nadzwyczajnie. Chciałbym ją namalować.

Dziewczyna zaczerwieniła się gwałtownie.

- Też coś - pisnęła cienko i uciekła, spostrzegłszy nadchodzącego służącego.

Gordon, zadowolony z siebie, poszedł na górę i zamknąwszy się w swoim pokoju zabrał się do pisania scenariusza. Musiał się spieszyć. Rozmowa z Hawkinsem dała mu dużo do myślenia. Wprawdzie Mellerson nie wtrącał się do jego działalności, ale należało przypuszczać, że nadinspektor wspomniał coś niecoś Hawkinsowi na ten temat. Gordon postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Uwielbiał hazard w życiu.

Lunch kazał sobie podać do numeru i pracował bez przerwy. Parę minut przed piątą zerwał się i przeczesawszy się przed lustrem, włożył płaszcz i wybiegł pośpiesznie z hotelu. Piękna pokojóweczka czekała już na niego po drugiej stronie ulicy. Ubrana była w popielaty skromny kostium i brązowy filcowy kapelusik. Doktor zauważył momentalnie, że na ręce dziewczyny połyskiwała bransoleta.

- Dokąd pójdziemy? - spytał biorąc dziewczynę pod rękę.
- O, proszę! Niech mnie pan puści! - zaprotestowała energicznie.
- Przepraszam - mruknął zaskoczony.
- Może pójdziemy do kina?

- Dobrze - zgodził się Gordon. - Chodźmy do kina, ale na następny seans. Teraz już nie zdążymy. Proponuję więc, abyśmy się napili kawy.

- All right.

Doktor wybrał jakąś zaciszną cukierenkę i zamówiwszy kawę począł emablować swą towarzyszkę.

- Naprawdę, bardzo pomysłowa bransoleta - szepnął, ujmując delikatnie drobną rączkę. - Szalenie mi się podobają te wszystkie maskotki, które tutaj wiszą. Ja sam jestem zbieraczem różnych amuletów i rozmaitych drobiazgów. Na pewno każda z tych pani maskotek ma jakąś swoją historię. Czy nie mam racji?

- Tak - odparła poważnie dziewczyna - Na przykład ten słoń w czarne kropki jest pamiątką po mojej cioci Annie. Nigdy się biedaczka z nim nie rozstawiała.

- A ten złoty kwadracik z czerwonymi kamyczkami? - spytał Gordon.

Pokojówka zmieszała się.

- Ach, to nic takiego ciekawego. Takie sobie świecidełko...

- Bardzo mi się podoba. Ciekaw jestem, skąd to pani ma? - nalegał doktor.

- Znalazłam.

- Gdzie pani znalazła? - Może to jakaś interesująca historia?

- E, nic interesującego. Znalazłam po prostu w Savoyu.

- W Savoyu. W hotelu?

- Tak. Ale dlaczego pana tak to interesuje?

- Ach nie, nie. Pytam przez ciekawość. Mówiłem pani, że sam jestem zbieraczem. Gdzież pani znalazła to cacko, w którym miejscu?

- W służbowej windzie, podczas sprzątania.

- W służbowej windzie?

- Tak, sama nie wiem, w jaki sposób taka rzecz mogła się tam znaleźć

- Może ktoś zgubił?

- Możliwe, ale nie wiem, kto to mógł być. Pytałam moich

kolegów i koleżanek. Nikt jednak ze służby hotelowej nie miał takiego drobiazgu.

- Mam do pani wielką prośbę - szepnęła Gordon.

- Słucham?

- Tak mi się ta maskotka podoba, że bardzo pragnąłbym ją mieć w swoich zbiorach. Czy pani nie mogłaby mi jej podarować?

- Podarować panu?

- Tak. Bardzo o to proszę. Na pamiątkę naszego pierwszego spotkania. W zamian zaś za to ja także ofiaruję pani coś na pamiątkę. Co by pani chciała mieć? Niech się pani zastanowi.

- Srebrną puderniczkę - powiedziała bez namysłu dziewczyna.

- Doskonale - zawołał doktor. - Kupię pani srebrną puderniczkę w zamian za ten drobiazg. Zgoda?

Zarumieniła się

- Doprawdy, chciałby pan mi kupić taką rzecz? Naprawdę?

- Oczywiście Mówię całkiem poważnie.

- Ależ to bardzo dużo kosztuje!

Gordon uśmiechnął się.

- Jakoś sobie chyba z tym poradzimy - powiedział wesoło. - Niech się pani nie martwi.

Dziewczyna odpięła od bransoletki spinkę Winklera i podała ją doktorowi.

- Proszę na pamiątkę.

- Dziękuję pani - szepnęła Gordon, całując ją w rączkę. - Idąc do kina wybierzemy jakąś efektowną srebrną puderniczkę.

- Jaki pan dobry!

W tej chwili drzwi cukierń otworzyły się z trzaskiem i na salę wpadł młody, dwudziestoparoletni chłopak z pobladałą twarzą i płonącymi gorączkowo oczami. Stał, rozejrzał się wokoło i w jednej chwili skoczył do stolika, przy którym siedział Gordon.

- Co ty tu robisz!?! - wrzasnął, chwytając dziewczynę za rękę.

- Puść, to boli! Puść, Jack! Opamiętaj się! -Ty... ty...!

- Co to ma znaczyć, młodzieńcze? - powiedział spokojnie Gordon. - Proszę natychmiast odejść od mojego stolika.

Posłyszawszy te słowa, chłopak błyskawicznie wydobył z kieszeni rewolwer i lśniąca lufę skierował na doktora.

- Zabiję cię jak psa, ty łotrze!

Gordon nie poruszył się z miejsca. Wyciągnął tylko szybko nogę i ciężkim sportowym butem trzasnął w uzbrojoną dłoń. Rewolwer potoczył się pod stół. Doktor w jednej chwili schwycił rękę napastnika i wykręcił ją z taką siłą, że chłopak zwinął się w kłębek, jęcząc z bólu.

- No, dość tego! - rzucił wreszcie Gordon. - Zabieraj, głupcze, swoją dziewczynę, a na drugi raz nie urządź idiotycznych awantur, bo to się może źle skończyć! Rewolweru nie rusz! Już ja się nim zajmę - dodał widząc, że młodzieniec schyla się po broń.

Chłopak błądząc jak płótno schwycił pod rękę pokojówkę i oboje wybiegli pośpiesznie z cukierni. Doktor zamówił jeszcze jedną kawę i zapaliwszy papierosa począł przeglądać gazetę. Miał w kieszeni to o co mu chodziło, połowę spinki Winklera.

Mglisty gmach podejrzeń i przypuszczeń poczynał coraz bardziej nabierać realnych kształtów.

Gordon przejrzał uważnie dział ogłoszeń i dopiwszy ostatni łyk kawy, podniósł głowę znad gazety, aby przywołać kelnera. W tej chwili drgnął. Tuż przed sobą ujrzał potężną postać Hollay'a, za którym swym kocim krokiem szedł Winkler.

- A! Mister Brown! How are you. - powiedział hałaśliwie „tłusty milioner”. - Dawnośmy się nie widzieli. Czy pan pozwoli przysiąść się do pańskiego stolika? A prawda, prawda! Panowie się nie znają. Pozwólcie, że was zapoznam. Mister Brown z Oxfordu, a to jest mój przyjaciel Winkler, artysta.

- How do you do - rzucił chłodno Gordon. - Proszę, niech panowie siadają. Cóż tam słyszeć u pana, mister Hollay?

- A, nie bardzo! nie bardzo dobrze, mister Brown. Coś nie bardzo czuję się ze zdrowiem.

- Doprawdy? A cóż panu dolega? Wygląda pan znakomicie.

- Nerwy, mister Brown, nerwy. Jestem ogromnie rozstrojony. Wybieram się nawet do lekarza.

- Bardzo rozsądnie z pańskiej strony - zauważył obojętnie Gordon.

- Doradzono mi doktora Gordona. Podobno świetny specjalista - powiedział Hollay. - Wybieram się do niego wieczorem.

Gordon bez zmruczenia powieki wytrzymał spojrzanie grubasa.

- Niestety. Nie mogę panu nic doradzić. Nie znam zupełnie lekarzy londyńskich - mruknął bez żadnego zainteresowania.

Winkler nie odzywał się ani słowem, obserwując tylko badawczo twarz domniemanego kupca z Oxfordu.

- Jakżeż tam interesy, mister Brown? - zaśmiał się Hollay. - Z niczym wraca pan do Oxfordu?

- Cóż robić - mruknął Gordon. - Nie miałem tym razem szczęścia.

- Miałbym dla pana może pewną propozycję.

- Słucham. Interesują mnie wszystkie dobre propozycje.

Hollay zaostrzył scyzorykiem zapałkę i tak sfabrykowaną wykałaczkę pogrążył w otchłań swego uzębienia.

- Pod Londynem mieszka jeden z moich przyjaciół - powiedział po chwili. - Posiada bardzo piękną willę. Jutro po południu mam być u niego w sprawach handlowych. Postanowiliśmy zorganizować eksport do Meksyku. Gdyby pan miał ochotę, mister Brown, chętnie zabiorę pana swym samochodem. Nie wątpię, że pańska firma mogłaby wziąć udział w tej robocie. A więc jutro powiedzmy o godzinie czwartej, będę na pana czekał. Dobrze?

Gordon pomyślał chwilę. Postać Hollay'a intrygowała go bardzo, ale obecnie taka wyprawa wydawała mu się zbyt ryzykowna. Wszystko co dzisiaj usłyszał wydawało mu się bardzo podejrzane. Węszył w propozycji grubasa jakieś niebezpieczeństwo.

- Nie, dziękuję panu - powiedział uprzejmie. - Bardzo to ładnie z pańskiej strony, ale nie mogę. Wyjeżdżam jutro z samego rana do Oxfordu. Już i tak się dość długo zasiedziałem w Londynie. Ale jak się przyjedzie do wielkiego miasta, to człowiek chce się trochę zabawić.

- Przecież pan może odłożyć na jeden dzień swój wyjazd -

zauważył Hollay.

- Niestety, to niemożliwe. Otrzymałem już alarmujący telegram.

- W takim razie nie namawiam pana, ale bardzo żałuję.

- Ja również - przyznał szczerze Gordon. - Może innym razem.

Wstał od stolika i pożegnał swych towarzyszy. Wyszedłszy na ulicę, doznał jakiegoś niejasnego wrażenia, że grozi mu niebezpieczeństwo. Należało się spieszyć, należało kończyć całą historię. To wszystko rzeczywiście trwa za długo, Hawkins ma rację. Nie można przeciągać zbyt długo struny, nie można ryzykować. Chodziło o życie, o życie Marvana. Jeśli on, Gordon, nie zdoła odnaleźć właściwego sprawcy zbrodni, pogromca bezapelacyjnie zostanie skazany na karę śmierci.

Tak rozmyślając Gordon postanowił działać natychmiast. Wsiadł w samochód i kazał się zawieźć do wytwórni filmowej.

Reżyser Morisson był to mężczyzna średniego wzrostu, tęgi i dobrze zbudowany. Miał duże czarne oczy i bujną szpakowatą czuprynę. Z całej jego postaci emanowała niezwykła energia i przedsiębiorczość. Był bardzo ruchliwy, mówił szybko i miał zwyczaj spoglądać często na zegarek. Aktorzy lubili go bardzo, chociaż był niezwykle wymagający i nikomu nie folgował w robocie. Spostrzegłszy wchodzącego Gordona, Morisson odłożył jakiś gruby maszynopis i serdecznie uściśnął dłoń doktora.

- Spodziewałem się pana lada chwila - powiedział głośno. - Czy ma pan dalszy ciąg scenariusza?

- Tak - odparł Gordon. - Przyniosłem już cały materiał. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał jakichś większych zastrzeżeń.

Morisson uśmiechnął się.

- Muszę się przyznać, mister Gordon, że po raz pierwszy w życiu robię coś podobnego. Jest to rzeczywiście niezwykle ciekawy eksperyment. Nie wiem tylko czy pan jest pewien rezultatu.

- W takich sprawach nigdy nie można być niczego pewnym - odparł Gordon - jest to dość ryzykowna próba, która mnie może dużo kosztować. Niestety, nie zdołałem wymyślić innego sposobu. Kiedy

pan może być gotowy ze zdjęciami, mister Morisson? Sprawa jest rzeczywiście niezwykle pilna. Zależy mi dosłownie na każdej godzinie.

Reżyser wstał i przeszedł się po pokoju.

- No, cóż - powiedział, zapalając papierosa. - Mam wrażenie, że powinniśmy skończyć w tym tygodniu. Pracujemy dzień i noc.

- Więc, powiedzmy, na wtorek przyszłego tygodnia mogę zmontować seans.

- Tak. Na pewno. Wszystko już będzie gotowe.

- W jakim kinie projektuje pan wyświetlać nasz dodatek? - spytał doktor.

- Proponowałbym Rialto,

- Dobrze, niech będzie Rialto. Wydam odpowiednie zarządzenia. Czy ma pan jeszcze jakieś sprawy do mnie?

- Chciałem tylko zaznaczyć, że nie udało mi się zdobyć tylu sobowtórów - rzucił Morisson. Nawet najlepsza charakteryzacja nie dałaby odpowiedniego efektu.

Gordon spochmurniał.

- To szkoda - powiedział zamyślony. - Wielka szkoda. No cóż, postaci występujące nie będą miały twarzy. Nie ma innego wyjścia.

- Na miejscu każdej głowy wmontuje się nazwisko na czarnym tle. To jedyne wyjście - wyjaśnił reżyser.

- Tak. Ma pan rację.

Gordon pożegnał sympatycznego reżysera i pojechał do Yardu. Hawkinsa nie było, kazał się więc zameldować Mellersonowi. Nadinspektor przyjął go natychmiast. Twarz miał zmęczoną i widać było, że jest przepracowany.

- Co nowego, mister Gordon? - spytał wskazując doktorowi krzesło. - Oczekuję z niecierpliwością wyników pańskiej pracy. Obawiać się zaczynam, że może obaj pomyliliśmy się, może rzeczywiście Marvan jest winien

- Panie nadinspektorze - powiedział wolno Gordon - robota moja dobiega końca. Dowie się pan wszystkiego we wtorek w kinie Rialto. Właśnie przyszedłem zaprosić panów na ostatni seans.

- O czym pan mówi? - zdziwił się Mellerson. - Nic nie rozumiem.

- Zrozumie pan wszystko we wtorek. Pamięta pan przecież, że prosiłem o zgodę na kręcenie filmu. Właśnie zapraszam na ten film. Chciałbym tylko uprzejmie prosić, aby całe kino było dobrze obstawione policją.

- To mogę obiecać. Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś sprawy?

- Tak. Chciałbym jeszcze prosić o przydzielenie Winklerowi dwóch najlepszych wywiadowców. Należy zrobić wszystko, aby ten człowiek nie zniknął z Londynu.

- - Dobrze. Wydam odpowiednie rozkazy.

- - Wobec tego nie będę już panu zabierał czasu - skłonił się Gordon. - Oczekuję pana oraz inspektora Hawkinsa w kinie Rialto we wtorek. Do widzenia!

- Do widzenia, mister Gordon! Życzę powodzenia!

W Savoyu miał dyżur Gambert. Gordon kazał sobie przygotować rachunek i powiedział, że wyjeżdża. Portier spoglądał na niego spod oka.

- Co powiedzieć, gdyby się ktoś o pana pytał?

- Niech pan powie, że mister Brown wyjechał do Oxfordu. Nic więcej. Nie spodziewam się, aby ktoś interesował się moją osobą.

- Owszem. Jedna miła pokojóweczka bardzo się o pana dopytywała - uśmiechną się Gambert.

- Ach tak, prawda! Niech jej pan da ode mnie pięć funtów - powiedział Gordon wręczając pieniądze. - To bardzo porządna i miła dziewczyna. Chciałbym się jeszcze zobaczyć z mister Hollayem - dodał po chwili namysłu.

- Mister Hollay wyjechał przed pół godziną - oświadczył portier.

- Wyjechał?

- Tak. Spakował pośpiesznie rzeczy i kazał sobie na gwałt przygotować rachunek. Mówił, że dostał jakieś ważne wiadomości.

- Czy Hollay wyjechał sam? - spytał półgłosem Gordon, czując, że mu zasycha w gardle, a krew w skroniach poczyna żywiej

pulsować.

- Sam - odparł Gambert, nakładając okulary.
- A Winkler?
- Mister Winkler jest teraz w swoim pokoju. Zdaje się, że czeka

na czyjś telefon.

Doktor odetchnął z ulgą.

- Dziękuję panu za informację - powiedział cicho. - Niech się pan pospieszy z tym rachunkiem.

- Wszyscy się dzisiaj jakoś dziwnie spieszą - mruknął niechętnie portier, który lubił wykonywać każdą rzecz powoli i z namysłem.

Zlikwidowawszy mieszkanie w Savoyu, Gordon kazał sobie sprowadzić taksówkę i pojechał do domu.

- Czy był ktoś u mnie? - spytał bez żadnych wstępów Horacego.

- Miss Borelli czeka - odparł służący, chwytając walizę.
- Więcej nie było nikogo?
- Nie.
- I nikt nie widział u mnie miss Borelli?

Lokaj zrobił zdziwioną minę.

- Nie - odparł kręcąc głową. - Nie otwierałem nikomu.
- To dobrze. Gdzie jest panna Bianka?
- W gabinecie.

Dziewczyna zerwała się żywo z miejsca na widok wchodzącego.

- Jak to dobrze, że pan przyszedł! Już myślałam, że się pana nie doczekam.

- Przecież nie umówiliśmy się. Nie może mieć pani do mnie żalu - uśmiechnął się Gordon.

Bianka zarumieniła się.

- Ach nie, nie! Nie mam do pana najmniejszej pretensji, tylko...
- Tylko co?
- Muszę się pana poradzić. Znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji. Nie wiem zupełnie co mam robić.
- Co się stało? - zainteresował się Gordon.

Dziewczyna zmieszana się.

- Poleciał mi pan podtrzymać kontakt z Winklerem.

- No, tak. I jestem pani za to bardzo zobowiązany. Wielka to dla mnie pomoc.

- Ale widzi pan, Winkler nie jest gentlemanem. To jest bardzo trudne.

- Chce pani powiedzieć, że zachowuje się w stosunku do pani niewłaściwie.

- Właśnie. Staje się coraz bardziej agresywny i obawiam się, że nie będę mogła długo panować nad tą sytuacją.

Gordon zamyślił się i zapalił papierosa.

- Panno Bianco - powiedział wolno. - Rozumiem, że ta rola nie jest pani przyjemna, ale pomoc pani jest dla mnie w obecnej chwili nieodzowna. To już nie potrwa długo. We wtorek przyszłego tygodnia wszystko się skończy.

- We wtorek?

- Tak. Musi pani być w tym dniu w kinie Rialto na ostatnim seansie z Winklerem. Od tego zależy powodzenie naszej sprawy. Niech pani o tym pamięta.

- - I Marvan będzie wolny?! - zawołała radośnie Bianka, - Fred będzie wolny?

- Za nic nie można ręczyć. Zawsze coś się może nie udać - powiedział doktor. - Ale mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Proszę być dzielną i wytrzymać jeszcze tych parę dni w swej roli. Bardzo o to proszę. Od pani zależy teraz los Marvana.

- Zrobię wszystko co trzeba - zawołała stanowczo. - Nie zawiedzie się pan na mnie, panie doktorze.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę - skinął głową Gordon. - Mam nadzieję, że po szczęśliwym zakończeniu tej całej sprawy nadal będziemy przyjaciółmi.

- Jak pan może nawet o tym wątpić? - oburzyła się dziewczyna, spoglądając z pewnym zdziwieniem na doktora.

Gordon patrzył na nią w zadumie. W tej chwili uświadomił sobie, że przecież po zakończeniu śledztwa nie będzie już jej widywał, że

Bianka poślubi Marvana i stworzy sobie swoje życie. Było mu żal. Ta jasnowłosa dziewczyna niepostrzeżenie zajęła miejsce w jego myślach i sam nie zdawał sobie dotychczas sprawy, jak bardzo się cieszył z każdego spotkania. Przecież nie poświęcał się ani dla Mellersona, ani dla Hawkinsa, tylko właśnie dla niej.

Prawda, że Marvan był jego towarzyszem i że powinien był go ratować, ale właściwie to nie dla niego wkładał tyle wysiłku w to śledztwo.

A teraz cóż? Marvan za parę dni będzie wolny i znowu zaczną się szare monotonne dni, poprzez które przesuwac się będzie codzienny korowód pacjentów. Przecież to jasne, że dla Bianki on tak długo ma jakieś znaczenie, dopóki jest potrzebny.

- O czym pan tak rozmyśla, doktorze? - postępszał nagle dźwięczny głos dziewczyny.

Gordon drgnął, przywołany do rzeczywistości.

- Ach, nic. Takie sobie rozważania. Bardzo panią przepraszam - powiedział z uśmiechem. - A więc we wtorek w kinie Rialto, tak?

- Będę na pewno. Dobranoc panu!

Wstała, ale nie wychodziła z pokoju, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć. Gordon patrzył na nią pytająco. Bianka jednakże zarumieniła się tylko i wybiegła pospiesznie, a doktor usiadł za biurkiem i machinalnie wziął do ręki jakąś książkę. Poczul się w tej chwili ogromnie samotny.

Nazajutrz była sobota i kto żył spieszył na weekend. Gordon zmęczony i w nienajlepszym humorze. Długo bowiem w noc nie mógł zasnąć, dręczony najróżnorodniejszymi myślami. Postanowił zobaczyć się mimo wszystko z Marvanem, ale doszedł do wniosku, że powinien zachować incognito. Porozumiał się więc ze Scotland Yardem i zaraz po śniadaniu pojechał do więzienia.

Pogromca przyjął go zupełnie obojętnie. Był bład i twarz miał zrezygnowaną i zaciętą. Doktor w jednej chwili zorientował się, że rozmowa nie będzie łatwa. Ponury blask w oczach Marvana nie wróżył nic dobrego.

- Dzień dobry.

Pogromca milczał, nie podnosząc głowy.

- Mister Marvan - powiedział łagodnie Gordon. - Jestem pańskim obrońcą. Chciałem z panem pomówić. Nazywam się Brenton.

Głuche milczenie.

- Niechże pan będzie rozsądny! - ciągnął dalej doktor. - Przecież w ten sposób nie dopomaga mi pan w mojej pracy. Pragnę panu pomóc. Niechże pan zrozumie.

- Czego pan właściwie chce ode mnie?! - warknął Marvan. - Ja nic nie mam do powiedzenia. Pytano mnie już tu tysiąc razy. Mają moje zeznania. Może pan sobie przeczytać. Dlaczego mnie pan męczy.

Gordon położył łagodnie rękę na ramieniu więźnia.

- Niech się pan uspokoi. Ja chcę się czegoś dowiedzieć od pana osobiście.

- To nie ja zabiłem Borelliego! - wykrzyknął nagle pogromca. - Nic nie wiem. Nie było mnie wtedy w cyrku. Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić. Dajcie mi wszyscy spokój! Dostyc mam tego, do wszystkich diabłów!

- A jak pan to sobie tłumaczy, że na ciele ofiary znaleziono odciski łap goryla? - spytał cicho doktor.

- Nie wiem, nie wiem. Niech mnie pan nie męczy.

- Czy to jest możliwe, aby ktoś inny poza panem mógł wprowadzić z klatki goryla?

- Nonsens. „Kapitan” rozszarpałby każdego.

Gordon pomyślał chwilę.

- Czy pan zna Winklera? - spytał nagle.

- Oczywiście. Przecież to kłown z naszego cyrku.

- Jak Winkler odnosił się do pana?

- Nienawidził mnie od dawna.

- Czy miał pan ostatnio jakąś scysję z tym człowiekiem?

- Coś tam było, ale nic specjalnego. Miał do mnie pretensje, że jego kochanka była u mnie w hotelu.

- Rita?

- Tak.
- Czego chciała od pana?
- Proponowała mi jakieś nieczyste interesy w Afryce.
- W Afryce?
- Tak. Myślałem początkowo, że to Winkler ją przysłał, ale potem dowiedziałem się, że to była sprawa Hollay'a.
- Ach, tak - mruknął uśmiechając się nieznacznie Gordon. - Niech mi pan jeszcze powie, czy wiadomo panu, że Winkler przebywał dawniej w Afryce?
- Tak. Opowiadał czasem po pijanemu o swoich egzotycznych przygodach, ale zazwyczaj nie bardzo mu wierzono. To jest wielki blagier.

Gordon skinął głową.

- Dziękuję panu. To byłoby właściwie wszystko co chciałem wiedzieć - powiedział szybko. - Niech pan będzie dobrej myśli, mister Marvan. Mam na dzieję, że wszystko się dobrze dla pana skończy.

- Niech mnie pan nie pociesza, mecenasie - zaśmiał się gorzko pogromca. - Sam wiem najlepiej co mam sądzić o swojej sytuacji, ale nie boję się śmierci. Zapewniam pana. Złości mnie tylko, że męczą mnie tak długo tymi wszystkimi głupimi pytaniami.

Gordon pożegnał pogromcę i wyszedł. Był przygnębiony. Widok tego człowieka rozstroił go nerwowo. A jeśli cały jego system zawiedzie, jeżeli prawdziwy morderca w ostatniej chwili zdoła się wymknąć z zastawionej pułapki, jeżeli wytrzyma próbę nerwów, to co? Co wtedy? Żal mu było Marvana. Teraz miał głębokie przeświadczenie, że ten człowiek jest rzeczywiście niewinny.

Pełen niespokojnych myśli Gordon pojechał do domu i położył się do łóżka, zapowiadając Horacemu, że nie ma go w domu dla nikogo. Postanowił się przespać.

Wtorek był dniem silnych wrażeń. Wypadki w tym dniu rozwijały się z niezwykłą szybkością. Bianka już od rana była niesłuchanie podniecona i zdenerwowana. Umówiła się poprzedniego dnia z Winklerem i po południu czekała na niego w kawiarni. Klown

przyszedł punktualnie. Był pochmurny i złym spojrzeniem obrzucał dziewczynę.

- Słuchaj - wybuchnął wreszcie po dłuższej chwili milczenia. - Ja mam już tego wszystkiego dosyć. Nie pozwolę się dłużej wodzić za nos. Musisz do mnie należeć, słyszysz, musisz! - Twarz mu się skurczyła jak u rozwścieczonego złego psa, oczy zabłyśły gniewem i tłumioną długo żądzą. Przysunął się bliżej do Bianki i ujął ją mocno za rękę. Wzdrygnęła się mimo woli z obrzydzenia.

- Puść! Ludzie patrzą - szepnęła trwożnie. Winkler zaklął.

- Niech patrzą. Niech ich wszyscy diabli wezmą! Bianco, chodź, chodź do mnie, słyszysz? Ja dłużej tak żyć nie mogę. Chodź, albo...

Dziewczyna spojrzała na zegarek.

- Późno już - zawołała z przestraczem. - Chodźmy już. Spóźnimy się do kina. Chodźmy!

- Daj mi spokój! - warknął Winkler. - Do żadnego kina nie idę. Chodź do mnie do hotelu. Chodź! Nikt cię tam nie zobaczy. No, chodźże nareszcie!

- Nie, nie. Nie dzisiaj, nie dzisiaj - prosiła dziewczyna. - Dzisiaj nie mogę. Chodźmy do kina.

- Dajże mi raz spokój z tym kinem. Mam dość!

- Proszę cię chodźmy, a jutro, jutro...

- Co jutro?

Jutro przyjdę do ciebie.

- Naprawdę?

- Tak.

Szara twarz Winklera rozjaśniła się triumfem.

- Dobrze. Pójdziemy do kina, ale jeślibyś mnie oszukała...! Jeżeli jutro do mnie nie przyjdiesz, zabiję cię - szepnął złowrogo.

Ciałem Bianki wstrząsnął dreszcz. Wiedziała doskonale, że to nie była czaa pogróżka.

Gdy na sali światło zgasło, Winkler ujął mocno rękę dziewczyny. Z trudem wytrzymała dotknięcie tej zimnej, wilgotnej dłoni. Czuła się bardzo źle. Spostrzegła na sali prawie wszystkich cyrkowców.

Był Mathews, Somerss, Patrick, była Rita, Klara i bracia Smith. Zdawało jej się, że patrzą na nią z niemym wyrzutem. Jak to, Marvan w więzieniu, a ona?...

Nagle drgnęła gwałtownie. Po kronice aktualności, zajaśniał na ekranie napis: „Nadzwyczajny dodatek kryminalny. Wykrycie mordercy dyrektora cyrku Borelliego”. Bianka zwilżyła językiem spieczone wargi. Teraz następowały zbliżone zdjęcia wszystkich bohaterów ponurego dramatu. Marvan, Borelli, Somerss, Mathews, Patrick, Bianka, Rita i wreszcie Winkler. Pod każdym zdjęciem umieszczony był napis. Bianka czuła, że drży na całym ciele i że nie może tego drżenia opanować w żaden sposób. Akcja na ekranie rozwijała się w błyskawicznym tempie. Montaż był doskonały. Reżyser Morisson nie żałował starań. Przed oczyma widzów przesuwwały się obrazy owego pamiętnego wieczora. Postacie występujące na ekranie nie miały głów, a na miejscu twarzy widniały białe napisy na czarnym tle. Początek przedstawienia w cyrku. Kłótnia Borelliego z Somerssem. Rozmowa Marvana z Bianką, awantura Marvana z Borellim. Każda scena ujęta była niezwykle sugestywnie i prawdziwie. Na ekranie ukazała się postać Winklera.

- Niech pan teraz uważa - szepnął Gordon do ucha Mellersona.
- Niech pan uważa. Czy ludzie są w pogotowiu?
- Tak - odparł cicho nadinspektor.

Akcja filmu rozwijała się ciągle, trzymając widzów w niesłabnącym napięciu. Winkler opuszcza cyrk zaraz po swym numerze. Jedzie do hotelu, aby położyć się do łóżka. Oświadcza portierowi, że czuje się źle i prosi o gorącą herbatę do numeru. Następnie niepostrzeżony przez nikogo zjeżdża na dół służbową windą, wyjąwszy uprzednio z pudła na kapelusze cztery wyprawione łapy goryla. W windzie gubi pół spinki wysadzonej rubinami i nie zauważywszy tego, biegnie do cyrku. Tutaj odwiedza Borelliego i do herbaty dolewa mu niepostrzeżenie trucizny. Atletka wali się na ziemię, a Winkler dusi go własnymi rękami uzbrojonymi w łapy goryla. Takie same łapy ma na nogach.

Na sali powstało jakieś zamieszanie. Ktoś biegł pospiesznie,

oddychając ciężko. Zabłysło światło, Inspektor Hawkins błyskawicznym ruchem wytrącił rewolwer z ręki cyrkowca. Winkler wyglądał strasznie. Je go szaro-ziemista twarz zrobiła się zupełnie biała. Jakiś potworny, nieludzki grymas wykrzywił mu rysy. Ryczał jak zwierz, miotając się w bezsilnej wściekłości. Kilku roślących wywiadowców otoczyło w jednej chwili mordercę. Przedstawienie było skończone.

- Gratuluję panu, mister Gordon - powiedział z uśmiechem nadinspektor Mellerson, ściskając dłoń doktora. - To było na prawdę artystycznie zrobione!

Gordon skinął głową w milczeniu. Czuł się rzeczywiście niebywale wyczerpany,

- Co pana naprowadziło na to, że Winkler jest mordercą? - spytał nadinspektor.

- Przede wszystkim to, że ten człowiek tak starannie opracował swe alibi i że tak to alibi podkreślał na badaniach. Poza tym nie wierzyłem od początku w winę Marvana.

- Jednego tylko nie mogę zrozumieć - mruknął w zamyśleniu.

- Czegóż to, inspektorze?

- Dlaczego właściwie zapytał pan mnie wtedy, czy jadłem u Ritza śledzia w śmietanie.

Gordon zaśmiał się serdecznie.

- To bardzo proste, inspektorze, ale pan pozwoli, że wyjaśnię to kiedy indziej. Na razie musimy jak najprędzej zwolnić z więzienia Marvana.

- Jedziemy do Scotland Yardu - rozkazał Mellerson - stamtąd zatelefonuję do więzienia.

Bianka z niecierpliwością oczekiwała zwolnienia ukochanego. Była bardzo blada i Gordon bał się, żeby nie zemdląta. Hawkins bawił ich pogodną rozmową.

W pewnej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Mellerson. Nadinspektor miał twarz poważną i stroskaną.

- Mam dla pani trochę może dziwną wiadomość - powiedział zwracając się do Bianki.

- Co się stało? Jezus Maria! - zawołała rozpaczliwie dziewczyna.
- Marvan uciekł z więzienia. Obecni spojrzeli na siebie z osłupieniem.
- Uciekł z więzienia? - powtórzył jak echo Hawkins
- Tak.
- Hollay - mruknął w zamyśleniu Gordon i wziął papierośnicę.

KONIEC

Dalsze losy pogromcy Marvana
w powieści pod tytułem
„Pan z wielką głową”.